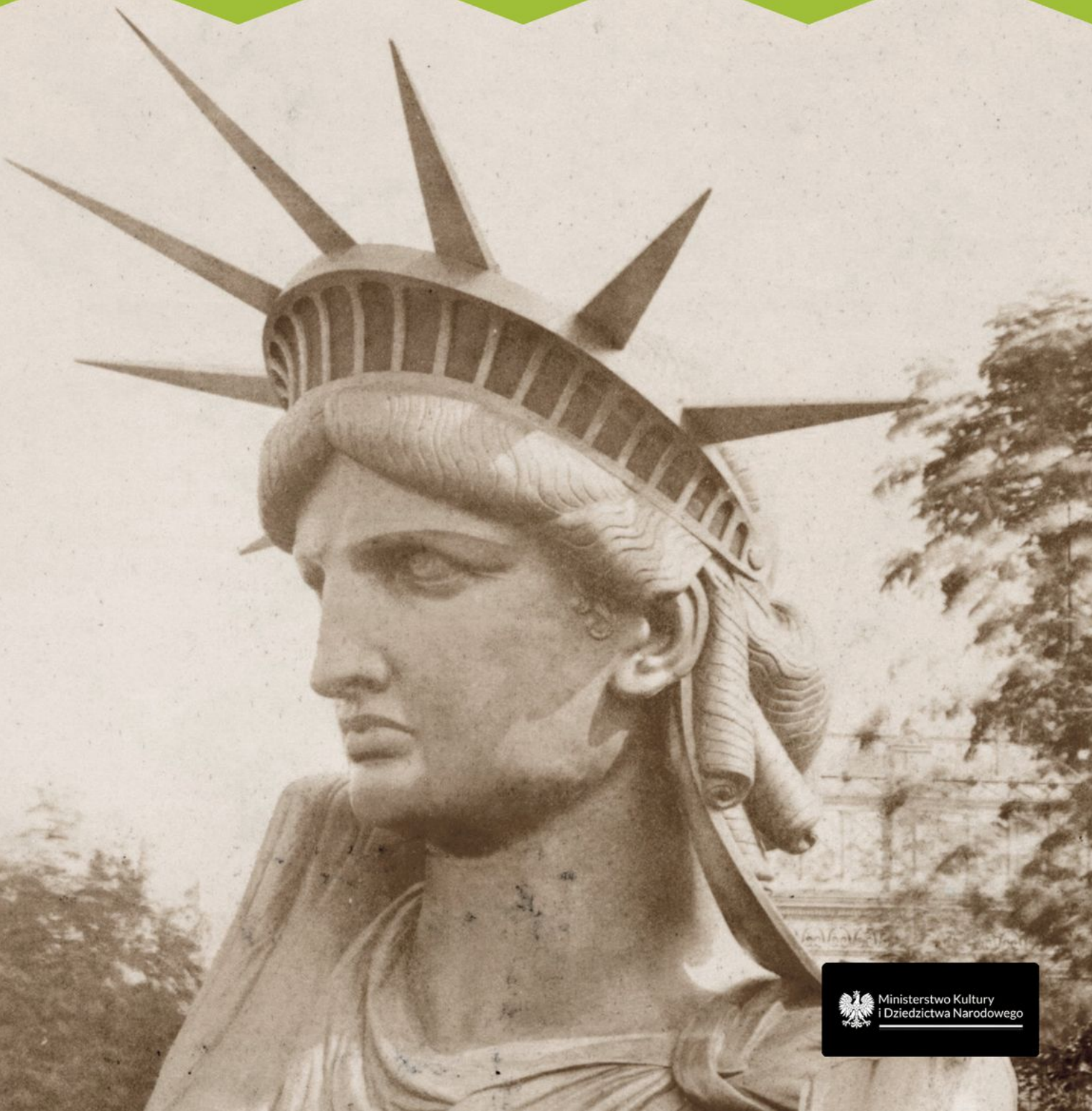


Podróż po Ameryce Północnej



OLYMPE AUDOUARD

Podróż po Ameryce Północnej

TŁUM. NIEZNANY

ROZDZIAŁ I. Z HAWRU DO NOWEGO JORKU

W wieku, w którym, jak mówi Wiktor Hugo: „Paryż, Londyn, Nowy Jork połączone są drutem drgającym w głębi mórz”; w wieku, w którym para pokonała odległość; w wieku, w którym postęp sunie także jakby napędzany parą, narody nie powinny żyć zamknięte w sobie, muszą uczyć się, poznawać i oceniać wzajemnie. Wielka rodzina ludzka, ten tyśiąc milionów ludzi rozrzuconych po kuli ziemskiej musi się ze sobą zapoznać.

Może wtenczas znikną te przesady, ta nienawiść jednego narodu do drugiego.

Ludzie skierują całą swą inteligencję do rolnictwa i przemysłu, nauk i sztuk i zaczną robić wynalazki użyteczniejsze, a mniej oburzające niż pomysły coraz nowszych bomb pękających, kartaczownic¹ i karabinów.

Ludy zrozumieją wreszcie, że własny ich interes zobowiązuje jednych względem drugich, że powinni żyć w zgodzie, dopomagać sobie zamiast się zabijać.

Dziś więc ktokolwiek pragnie być użytecznym ojczyźnie, czy to w naukach, czy sztukach, przemyśle, handlu lub polityce, nie powinien ograniczać się do poznania swojego kraju, trzeba mu objechać świat; dzięki wynalazkowi pary to przedsięwzięcie łatwiejsze jest teraz, niż była niegdyś podróż po Francji.

Mniej dziś potrzeba czasu na przejazd z Marsylii do Chin, niż za panowania Ludwika XIV² potrzeba było na podróż z Paryża do Marsylii.

U wszystkich ludów, nawet uważanych za barbarzyńskie, znajdzie się coś dobrego, użytecznego praktycznego do zbadania; w nadużyciach nawet, w ciemności dopatrzeć można jakiejś nauki dla siebie.

Biorąc samą istotę postępu, reform, zwyczajów świata całego, będzie można dojść dopiero do tego *nec plus ultra*³ prawdziwej cywilizacji. Dlatego właśnie że Francuzi, ten naród najdowcipniejszy⁴ w świecie, zanadto żyją u siebie, nie troszczą się o to, co się dzieje gdzie indziej, dlatego zachowują zwyczaj nieszczęsnej rutyny i zawikłani są w pewne przesady, które opóźniają ich postęp.

Dwudziesty wiek będzie kosmopolityczny, niechże Francuzi zrozumieją to i idą za postępem.

Byłoby niegodne tej pięknej Francji widzieć się wyprzedzoną przez sąsiednie narody.

Ameryka pod względem nauki rządzenia się i tej wielkiej sztuki, umiejętności bycia wolnym daje nam piękny przykład. Przyczyniliśmy się do jej usamowolnienia, do jej wielkości... Nazwiska Rochambeau i Lafayette⁵ są czczone poza oceanem, Francuzi są tam uważani za braci.

¹*kartaczownica* — dawna szybkostrzelna broń wielolufowa; w odróżnieniu od karabinu maszynowego wymagała przeladowywania ręcznego, dźwignią lub korbą. [przypis edytorski]

²*Ludwik XIV* (1638–1715) — król Francji (od 1643), zwany „Królem Słońce”, panujący w okresie szczytowego rozwoju francuskiej monarchii absolutnej. [przypis edytorski]

³*nec plus ultra a. non plus ultra* (łac.) — nic ponad to, ani kroku dalej; szczyt doskonałości. [przypis edytorski]

⁴*dowcipny* — daw. również: inteligentny, bystry. [przypis edytorski]

⁵*Rochambeau i Lafayette* — francuscy generałowie walczący w wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych: *Jean-Baptiste de Rochambeau* (1725–1807) oraz *Marie Joseph de La Fayette* (1757–1834); brali udział w oblężeniu Yorktown, które powiodło się jedynie dzięki francuskiemu wsparciu i przypięcętowało brytyjską przegraną w wojnie. [przypis edytorski]

Ale ten młody naród, któremuśmy pomagali, wyprzedził nas, umiejmy przynajmniej iść za nim. Francuz nie bardzo lubi podróżować; jemu tak dobrze w swoim kraju, może ktoś powie... Tak jest, we Francji żyć najwygodniej.

Ależ, Francuzi, połóżmy rękę na sercu i powiedzmy, czy to nam pochlebia, że cudzoziemcy nachodzą nasz kraj, że uważają go za wyborną austerię⁶... za kasyno, gdzie kupują się wszelkie przyjemności?... Czy wiecie, co o nas mówią za granicą? Traktują nas tam bez ceremonii, nazywają Francuzami *de la Grande Duchesse*⁷, Francuzami chylącymi się do upadku.

Przytaczają naszą lekkomyślność, nasz dowcip, nie mówią o nas poważnie... Czyż Francja zechce przyjąć smutną rolę suflera Europy? Nie, to niepodobna! Ocknie się ona z tego letargu, w którym leży uspiona przez dwadzieścia lat władzy osobistej⁸.

Przypatrz się Ameryce, zwiedzić ten kraj, te trzydzieści osiem milionów ludzi, tych pracowników, tych najdoskonalszych producentów byłoby rzeczą najpożyteczniejszą dla Francuzów.

Czyż tu jeszcze kraj przesądu? I czemuż obawiać się jechać do Ameryki? Przebywa się wesoło Morze Śródziemne, jedzie się z Paryża do Egiptu, nie czując, że się oddalamy od Francji, ale w chwili siadania na statek dla przebycia wielkiego oceanu opanowuje nas nieprzewidywany smutek; ten Nowy Świat przedstawia się nam w czarnych kolorach.

Czy zobaczę kiedyś Francję? — pytanie to nasuwa się mimo woli.

Ja sama, która zawsze wyjeżdżam wesoła, kiedy mam zwiedzić jakiś kącik ziemi nieznaną, która bez namysłu długiego odjeżdżałam do Rosji, Turcji, Egiptu, Hiszpanii i Anglii, miałam jednakże ból w sercu, kiedy „Saint Laurent” podnosił kotwicę i całą siłą pary oddalał się z Hawru; na widok znikających brzegów Francji oczy moje zrosiły się łzami i w myśli zadałam sobie pytanie: „Czyż je kiedyś znowu oglądać będę?”

I mówiłam sobie potem nie bez obawy: „Cóż tam znajdę w tym Nowym Świecie?”

Kiedy tak się niepokoiłam, jakaś ładna panienka piętnasto- czy szesnastoletnia zbliżyła się do mnie i rzekła z przymileniem:

— Pani wydajesz mi się smutna; zapewne opuszczasz swój kraj, ja zaś powracam do swojego.

— Tak — odpowiedziałam — opuszczam Francję, a lękam się Ameryki; zdaje mi się, że tam ujrzę się zupełnie samotną, obcą dla wszystkich.

Powiedziałam jej, kim jestem i w jakim celu jadę do Nowego Świata.

Wtenczas wyciągnęła do mnie swoją drobną rączkę i rzekła:

— Uspokój się, pani, znajdziesz tam przyjaciół, znajdziesz kobiety uszczęśliwione, że cię będą mogły przyjąć, i będą się starały usilnie złagodzić smutek twego oddalenia z kraju.

Wzruszyła mnie szczerść tych wyrazów i ujmująca prostota, z jaką zapewniała mnie o przyjaźni swoich rodaczek, i pomyślałam: „Jeżeli wszystkie Amerykanki są tak uprzejme, to ich kraj musi być prześliczny i gościnny dla cudzoziemców”.

Następnie zauważyłam, że w samej rzeczy Amerykanie mają tę uprzejmość w obejściu, tę serdeczność, która im dodaje szczególnego wdzięku. Wszystkie kobiety, które spotykałam w Ameryce, miały swoim wzięciem⁹ się, swoją przychylnością, wzbudzić we mnie zaufanie; dały mi pewną swobodę, że nie czułam się obca wśród nich. Ich oświadczenia przyjaźni wcale nie są podobne do tej zimnej i ceremonialnej grzeczności europejskiej. Młoda moja towarzyszka podróży wielkie ma prawo do mojej wdzięczności, jej uśmiech dobrotliwy, jej uściśnienie ręki rozproszyły smutne myśli, które opanowały mój umysł i serce.

I wkrótce dowiodła mi, że jej słowa były szczerze i że chce odtąd uważać mnie za swego gościa; przedstawiła mnie swojej matce, ojcu, bratu i wszyscy powiedzieli mi:

— Niech pani będzie spokojna, znajdziesz przyjaciół w Ameryce, wszyscy tam starają się będą, żeby się pani kraj nasz podobał.

⁶*austeria* (daw.) — karczma, zajazd. [przypis edytorski]

⁷*de la Grande Duchesse* (fr.) — Wielkiej Księżnej. [przypis edytorski]

⁸*z tego letargu, w którym [Francja] leży uspiona przez dwadzieścia lat władzy osobistej* — Podróż ta pisana przed ostatnią wojną. [przypis autorski]

⁹*wzięcie* (daw.) — sposób bycia, zachowanie, postępowanie. [przypis edytorski]

Od tej chwili było mi z kilkoma rodzinami amerykańskimi tak dobrze, jak w gronie starych przyjaciół. Bardzo mało i źle znałam język angielski, ubiegano się więc o pierwszeństwo zaszczytu nauczenia mnie czytać, wymawiać w sposób syczący te dziwne, nierówne wyrazy, aby być zrozumianą przez Anglików.

Jakże miłe mi było to dobre przyjęcie! Przyznaję, że gościnność, gotowość pomagania cudzoziemcom są prześliczne cnoty; ludy zbyt oświecone zapominają o nich, zastępują je zimną ceremonią, a to szkoda prawdziwie.

Niechże Amerykanka sama, jadąc statkiem do Francji, znajdzie się w towarzystwie rodzin francuskich, będą na nią spoglądali z nieufnością. „Kto to może być?” — zapytywać się będą między sobą. Kobiety będą dla niej obojętne, oględne, mężczyźni zaś zbliżą się do niej w chęci powiedzenia kilku frazesów grzeczności interesownej, a w każdym razie nieco zuchwałej, ja zaś przez całą drogę doznawałam od Amerykanów największych względów; starali się robić mi wszelkie przysługi, i to z taką grzecznością, że znajdowałam się między nimi z całym zaufaniem.

Na pokładzie „Saint Laurent” znajdował się jeden z najślawniejszych ludzi Ameryki, znany w świecie całym Morse, wynalazca najprostszego systemu telegraficznego przyjętego w całej Europie.

Wszystkie rządy razem dają panu Morse pięćdziesiąt tysięcy franków pensji jako wynagrodzenie za wynalazek, został nadto ozdobiony wieloma krzyżami i orderami.

Znakomity ten uczonej jest zarazem człowiekiem bardzo sympatycznej powierzchowności. Jest to starzec z długą siwą brodą, ma postać poważną, oko łagodne i pojętne. Jeden rys z jego życia może nam dać wyobrażenie o jego pięknym sercu.

Owdowiawszy, został członkiem Komisji Wychowania Głuchoniemych; zwiedzał więc często szkoły, w których kształcą te biedne ofiary dziwactwa natury.

I spostrzegł tam jedną dziewczynkę; była ona ładna, lecz na jej milej, słodkiej twarzy rozlany był smutek, pochodzący zapewne ze świadomości kalectwa, jakiemu podlegała!

Morse zrozumiał cierpienie pięknej dziewczyny i zajął się nią. Wyuczył się sam mowy głuchoniemych i w niej wyraził uczucia swe dla dziewicy, razu jednego rzekł do niej:

— Chcesz zostać moją towarzyszką, moją żoną?

— Nie — odpowiedziała młoda osoba — zbyt wielkie byłoby to poświęcenie z pańskiej strony. Istota pozbawiona słuchu i mowy smutną byłaby dla was towarzyszką.

Morse nalegał, bo kochał ją prawdziwie, a miłość jego była podwojona współczuciem dla nieszczęśliwej dziewczyny.

— Wyleczę cię — mówił — jestem pewny, że cierpliwość i starania moje obdarzą cię słuchem i głosem.

Głuchoniema także pokochała tego człowieka, tak dobrego i zacnego, który dawał jej dowody szczerzej miłości; oddała mu swą rękę.

Ślub odbył się w kościele głuchoniemych, w obecności wszystkich jej koleżanek szkolnych. Była to ceremonia bardzo wzruszająca.

Morse nie był jeszcze podówczas sławnym wynalazcą telegrafów, ale był już znakomitym malarzem.

Przyjaciele jego nie mogli zrozumieć podobnego wyboru.

— Co za dziwaczna myśl — mówili — żenić się z głuchoniemą.

On tymczasem pojechał z żoną na wieś i tam, z dala od świata, poświęcił jej się zupełnie, badał tajemnice nauki i sztuki, aby ją tylko uzdrowić.

Przez trzy lata robił na niej doświadczenia magnetyczne i elektryczne z cierpliwością bez granic. Udało mu się najprzód słyszeć, jak jąkała parę wyrazów, następnie wypowiadała małe zdanie, aż nareszcie zaczęła cokolwiek słyszeć i mówić.

Dziś można tylko powiedzieć, że ma nieco tępy słuch, ale słysząc ją mówiącą, nikt by nie domyślił się, że do osiemnastu lat była niema.

Jąka się tylko trochę i z trudnością wymawia długie wyrazy.

Męża swego ubóstwia. Wielkie czarne oczy zwraca zawsze ku niemu z niewypowiedzianą czułością. Mają troje dzieci, dwóch synów, dobrze wychowanych młodzieńców, i jedną córkę, najśliczniejsze stworzenie w świecie; dobra, kochająca, zawsze zajęta przypodobaniem się każdemu, zdaje się nie wiedzieć ani domyślać nawet, że jest piękna.

Kaleka, Ciało, Obyczaje,
Małżeństwo

Cała rodzina Morse'ów znajdowała się na pokładzie „Saint Laurent”. Przyjemnie mi było poznać się z nimi, a gdy przybyłam do Nowego Jorku, oprowadzili mnie po mieście i przyjmowali z największą życzliwością i dobrocią. Kiedy patrzę na tę rodzinę kochającą się, szanującą wzajemnie, gościnną, rodzinę prostych obyczajów, przychodzą mi na myśl te rody patriarchalne, o których wspomina Pismo Święte.

Było kilku Francuzów na pokładzie „Saint-Laurent”. Zaraz w podróży przekonałam się, że to prawda, jakoby Francuz tracił takt i dowcip, opuściwszy swój kraj. Nie wiem dlaczego, każdy mój rodak za granicą nie widzi nic przyjemniejszego nad wyszydzanie i krytykowanie wszystkiego, co nie jest francuskie.

O wszystkich krajach wydaje uporczywy sąd ze stanowiska Francji.

Każdy zwyczaj, każda opinia różniąca się od naszych oburzają go.

Dla niego kraj jest francuski albo nie jest francuski.

Jeżeli obyczaje, zwyczaje różnią się od francuskich, mówi bez ogródki:

— To kraj dziki, barbarzyński, śmieszny.

Nie chce zrozumieć, że każda kraina ma swoje wady, przymioty, obyczaje, zależne od klimatu, w którym się znajduje.

Bo jeżeli klimat ma wpływ na zwierzęta, rośliny, minerały, wpływa także, i to nie równie więcej na charakter, temperament, a tym samym na obyczaje i zwyczaje ludzi.

Wszyscy Francuzi na pokładzie, uważając to pewnie za dobry ton, powtarzali głośno przy Amerykanach:

— Jaki to szkaradny naród, sami złodzieje, grubianie, źle wychowani, pospolici.

Amerykanie, snadź¹⁰ przywykli do tych grzeczności, wzruszali tylko ramionami.

To przypomina jednego Chińczyka, bardzo rozumnego, który mi raz powiedział:

— Naród francuski jest bardzo grzeczny i dowcipny; lubię bardzo Francuzów, ale takich, jakimi są we Francji, ale bynajmniej nie takich, jakich widziałem w Chinach.

W samej rzeczy, gdziekolwiek ich spotkałam, robiłam to samo spostrzeżenie, że każdy z nich inny jest za granicą i że traci bardzo na tej zmianie.

Kiedy ktoś tak jak ja nie boi się morza, choroby morskiej, to podróż po Atlantyku jest dla niego bardzo interesująca; robią się tu spostrzeżenia nadzwyczaj ciekawe; na pokładzie odgrywają się komedie, czasami zabawne, czasami sentymentalne.

Lekarz statku „Saint Laurent”, człowiek pełen rozumu, nader spostrzegawczy; pisze on dziennik, pewien rodzaj latarni czarnoksiężskiej¹¹, w której pokazują się typy najdziwniejsze obok najpiękniejszych. Ten dziennik, fotogram pokładu byłby dziełkiem humorystycznym, bardzo zabawnym. Znajdujemy w nim:

życiorysy pasażerek, pasażerów, nawet opis choroby morskiej,

dwa rozdziały pod tytułami „Całą siłą pary!” oraz „Nauka, która się bardzo udała”,

inny rozdział, nie mniej zabawny, pod tytułem: „Majtek na pokładzie”.

Pocziwy doktor mógłby dodać do tego wszystkiego biografię bojaźni. Jakże to uczucie czyni ludzi szpetnymi i nieprzyjemnymi!

Trzeba wyznać, że nasza podróż po oceanie nie jest wolna od niebezpieczeństwa, a w każdym razie dość jest przykra.

Zdaje się, jakoby żywioty sprzysięgły się celem przeszkodzenia mieszkańcom Starego Świata komunikować się z mieszkańcami Nowego.

Wiatr ciągle przeciwny; para, jak rumak zadyszany, wydaje huk rozpaczny i uderza o olbrzymie bałwany, które piętrząc się przed statkiem, chcą tamować jego bieg; maszty wstrząsane wichrem wydają ponury łoskot; od piątej godziny wieczór gęsta mgła rozciąga się na morzu; nie można dostrzec statku na dwadzieścia metrów, wtenczas dzwon rozlega się głosem przenikliwym przez noc całą i zdaje się przypominać podróżnym, że lada chwila mogą trącić o jakiś statek lub o jakąś skałę i że dosyć także jednej chwili dla pochłonięcia statku i podróżnych w głębokościach oceanu.

Obcy

Okręt, Niebezpieczeństwo

¹⁰snadź (daw.) — widocznie, zapewne. [przypis edytorski]

¹¹latarnia czarnoksiężska — prosty projektor, rzucający na ścianę obraz namalowany na szkle; uważany za wynalazek siedemnastowiecznego jezuita Athanasiusa Kirchera. [przypis edytorski]

Rok 1868 był najgorszym dla podobnych podróży¹². Zdaje się, że nigdy nie pływało po Atlantyku tyle gór z lodu i tak olbrzymich. Kiedy słońce pozłaca te masy, lód bliższy tysiącem ogni, widok prawdziwie czarujący.

Przez trzy dni „Saint Laurent” był otoczony tymi kolosalnymi masami, z których niektóre miały na wysokość pięćdziesiąt metrów i jeszcze raz tyle zagłębiały się pod wodą. Pędzą one szybko z mórz północnych i płyną przez ocean, niweczając wszystko po drodze. Biada statkowi, który o nie uderzy, gdyż zatonie w jednej chwili, a wraz z nim kilkaset istot żyć przestanie.

Tak nazwany *Le Tron du diable*, punkt środkowy oceanu, zdaje się być bardzo niebezpieczny. W tym miejscu istotnie bałwany jakby chciały nas pochłonąć lub wciągnąć w głębię otwartą; słychać pod okrętem podziemny ryk, coś przerażającego; statek walczy z jakimś wirem, ogromnym i wściekłym. Przyznając atoli, że na wielkich, mocnych stamerach¹³ Towarzystwa Transatlantyckiego¹⁴, nie ma obawy podróżować; mają one po sto metrów długości; ich budowa może się opierać wściekłości oceanu; dowódcy tych parowców są to ludzie chowani na morzu, przyzwyczajeni do tej niebezpiecznej żeglugi; lecz mówię otwarcie, nie chciałabym odbywać tej podróży na małych statkach różnych kompanii. Kiedy takie kolosy jak „Saint Laurent”, jak „Le Pereire”, jak „La Ville de Paris” ciężko walczą z rozhukanymi falami i wiatrami, jakże ubolewam nad podróżnymi małych statków, które od czasu do czasu spotykamy.

Statki pocztowe powstały za panowania Ludwika Filipa¹⁵. Na kilku statkach parowych o sile 160 koni¹⁶ (niektórych o sile 240), tak rządowych, jak prywatnych, przewożono najpierw depesze i pasażerów na główne punkty Morza Śródziemnego; te statki zostawały pod rozkazami poruczników okrętowych, a marynarze państwa stanowili ich załogę.

Wkrótce jednak przekonano się, że te statki pod zarządem wojskowym kosztowały wiele, a nie odpowiadały zamierzonemu celowi.

Kupcy i właściciele okrętów marsylskich, a na pierwszym miejscu dom handlowy Rostan, byli promotorami urzędzenia służby terazniejszej; wsparcia pieniężne wyjednano od rządu; okręty rządowe ustąpiono kompanii Kurierów Cesarskich¹⁷, która na szczęście miała na czele administracji i od samego założenia dwóch ludzi znakomitych: pana Alberta Rosta, organizatora i pana Simmensa finansistę; później pan Rostan ustąpił miejsca panu Behic, także doskonałemu administratorowi.

Przewozy wojska, sprzętów i osób prywatnych podczas wojny krymskiej wzbogaciły Kurierów Cesarskich; od tego czasu wzrosła potęga tej kompanii, jej akcje potroiły swą wartość i dlatego, kiedy szło o urządzenie komunikacji między Brazylią a Indiami, kompania ta łatwo znalazła fundusze do tego potrzebne.

Wiadomo, że kompania transatlantycka uformowała się przed samą wojną meksykańską¹⁸. Pereirowie byli głównymi jej założycielami. Statki jej w bardzo krótkim czasie doszły do wielkiej doskonałości. Dowódcy i oficerowie są doskonałymi marynarzami; liczba oficerów, mechaników, palaczy, majtków jest dostateczna dla zaradzenia wypadkowi.

¹²Rok 1868 był najgorszym dla podobnych podróży — zobacz artykuł w „Wędrowcu” z grudnia 1871 r. pt. *Burze morskie*. [przypis redakcyjny]

¹³steamer (ang.) — parowiec. [przypis edytorski]

¹⁴Towarzystwo Transatlantyckie — tu: *Compagnie Générale Transatlantique*, francuska firma transportowa, zał. w 1855 przez braci Émile i Isaaca Péreire, od 1860 dotowana przez państwo w celu zapewnienia transportu przesyłek pocztowych do Ameryki Północnej, swoją ostateczną nazwę przyjęła w 1861. [przypis edytorski]

¹⁵Ludwik Filip (1773–1850) — ostatni król Francji z dynastii Burbonów, panował w latach 1830–1848. [przypis edytorski]

¹⁶o sile 160 koni — mowa o koniu parowym, jednostce mocy powstałej z potrzeby porównania mocy nowo tworzonych w XIX w. maszyn do mocy koni pociągowych: maszyna o mocy 1 konia parowego, działająca całą dobę, miała zastąpić 3 konie, pracujące po 8 godzin każdy; 1 koń parowy stanowił ok. 745 W. [przypis edytorski]

¹⁷Kurierzy Cesarscy — fr. *Messageries Impériales*, francuska firma żegluga, zał. w 1851 jako *Messageries Nationales*, początkowo obsługująca przewozy na Bliski Wschód; podczas wojny krymskiej jej statki służyły jako transportowce: w podziękowaniu cesarz udzielił kompanii praw do działania na trasie do Brazylii; była pierwszą francuską linią transatlantycką wyposażoną w parowce. [przypis edytorski]

¹⁸wojna meksykańska — tu: wojskowa interwencja francuska w Meksyku w latach 1861–1867. [przypis edytorski]

Kuchnia na pokładzie statków Towarzystwa Transatlantyckiego jest bardzo zdrowa, wystarczająca dla służby okrętowej, a wyszukana i urozmaicona dla pasażerów; nakrycie stołu wykwiłtne, potrawy takie, że mogą zadowolić najwybredniejsze podniebienia.

Kawa, herbata czekolada od siódmej godziny podawane są w kabinach lub w sali; zupełne śniadanie o dziewiątej, obiad o piątej, herbata i grog¹⁹ o ósmej.

Podróż z Francji do Ameryki dlatego jest męcząca, że nie widać wcale lądu. Zostaje się ciągle wśród²⁰ niezmiernych wód, znikąd żywności nabyć nie można.

Wszystkie zapasy, nawet mleko, dobrze się przechowują w lodzie, nic się nie psuje; ale muszę wyznać, że jeżeli w pierwszych dniach jem wszystko z przyjemnością, to w ostatnich, przeciwnie, mogę jeść tylko jarzyny i pekeflejsz²¹. Myśl, że ryby i mięso są na statku od ośmiu lub dziesięciu dni, sprawia mi odrazę.

Statki Kurierów, jak i Towarzystwa prześlizgnie są zbudowane, część żeglarska zupełnie oddzielona od miejsca zostawionego dla pasażerów, żeby ci ostatni mogli tańczyć, śpiewać i bawić się, nie przeszkadzając służbie; to jeszcze ma i tę dogodność, że nieraz da się ukryć wypadek lub niebezpieczeństwo przed pasażerami, którzy, mówiąc tu nawiasowo, nie są zwykle bardzo odważni.

Niech mi będzie wolno odezwać się trochę złośliwie o płci silnej... Odwaga jej na morzu nie równa się nawet odwadze płci słabej, wszyscy żeglarze świadczą, że kobieta w chwili niebezpieczeństwa z większą obojętnością i stoicyzmem patrzy na śmierć nieuchronną...

Kapitan „Pereiry”, Duchesne, doskonały żeglarz, opowiadał mi raz, że dowodząc innym statkiem, spostrzegł ogromny otwór, którym się woda cisnęła; trzeba było wszelkimi sposobami zaradzić złu, inaczej statek zatonałby w bezdennej przepaści; gdy pomoc służby żeglarskiej była niedostateczna, wezwano pasażerów. Kobiety rączo i energicznie wzięły się do roboty; mężczyźni zaś na wiadomość o niebezpieczeństwie dostali większych ataków choroby morskiej i tylko jeden Anglik zeskoczył z łóżka, a drżąc z bojaźni i zimna, bo był zaledwie odziany, bez obuwia, pracował przez pięć godzin, powtarzając na głos ustępy z Pisma Świętego. Najodważniejszy człowiek na lądzie staje się dzieckiem na morzu, lada co go trwoży i sił pozbawia. Chciałby, żeby mu wytłumaczono przyczynę każdego manewru, każdego obrotu... Dlatego też kapitan okrętu trzyma się z daleka od pasażerów, aby uniknąć tych próżnych pytań, które powtarzałyby się co chwila.

I dlatego bardzo jest rzeczą pożyteczną i rozsądną, że część żeglarska statku jest odosobniona i może ukryć przed podróżnymi małe wypadki, a często nawet grożące niebezpieczeństwo.

Kiedy „L'Impératrice”, statek Kurierów, wybierał się w 1862 roku w żeglugę przez Kanał Sueski do Hongkongu, o dwieście mil od Adenu o ósmej godzinie wieczorem na okręcie zapalił się węgiel kamienny. Kapitan wydał rozkazy potrzebne dla przytłumienia pożaru, a chcąc uniknąć krzyku, płaczu i wrzawy pasażerów, co by przeszkadzało tylko robotnikom w niesieniu pomocy i gaszeniu ognia, nie pozwolił nikomu mówić o tym, ale owszem, rozkazał oświetlić tylną część okrętu i rzekł: „Ponieważ pogoda prześlizgnie, noc ciepła, statek prawie się nie porusza, pobawcie się państwo”. Przyjęto tę propozycję z wdzięcznością. Zawieszono płótno zasłaniające pracę robotników przy tamowaniu szerzących się płomieni, a zadowoleni podróżni tańczyli do drugiej godziny rano, po czym udali się na spoczynek, nie domyślając się wcale, na jakie niebezpieczeństwo byli narażeni.

Jest jedna trudność, prawie niepokonana na statkach, w uczynieniu życia wygodnym dla pasażerów, a tą jest nocleg. Miejsce jest ograniczone, ścieśnione, łóżka muszą być jedne nad drugimi... Czyż może być coś przykrzejszego jak pokoik na okręcie z czterema lub sześcioma łóżkami? Nad głową sąsiad trapiiony morską chorobą.

Być zamkniętą jakby w więzieniu i znosić towarzystwo nieznanym!

Co do mnie, dwanaście razy odbywałam podróże po różnych morzach, a zawsze tak szczęśliwie trafiałam, że nie miałam żadnej towarzyszkii w kajucie; samotność moją uważałam za największe szczęście.

¹⁹grog — napój alkoholowy sporządzany z rumu (lub innego mocnego alkoholu) rozcieńczonego wodą i doprawionego sokiem z cytrusów, cynamonem i cukrem. [przypis edytorski]

²⁰wśród (daw.) — wśród, pomiędzy. [przypis edytorski]

²¹pekeflejsz (z niem.) — mięso peklowane (konserwowane). [przypis edytorski]

Podróż

Niebezpieczeństwo,
Kobieta, Mężczyzna,
Odwaga

Niebezpieczeństwo

Podróż

Gdyby urządzono jak najszczuplejsze kajutki na jedną osobę, podróż stałaby się o połowę mniej przykra.

Może ktoś powie: „W takim razie można opłacić cały jeden pokoi i mieć wygodę”. Rada dobra dla krezusów²², ale krezusów niewiele... Każde łóżko kosztuje 3000 franków z Marsylii do Hongkongu, a zatem za jedną kajutę z czterema łózkami (najmniejsza) zapłacić trzeba 12 000 franków. Obok słusznych pochwał, jakie z przyjemnością oddaję budowniczym statków pocztowych transatlantyckich, wyznac jednak muszę, że panowie ci zapomnieli o grzeczności dla dam. Mężczyźni oprócz sali jadalnej wspólnej z kobietami mają osobny śliczny salonik do palenia cygar na pokładzie; jest w nim dużo okien, powietrze świeże, położony w samym środku statku, gdzie kołysanie najmniej czuć się daje... Kobiety mają także salonik, ale w głębi okrętu, światło dochodzi tylko z korytarzy, lekkie przepierzenie oddziela je od maszyny tak dalece, że narażone są na nieprzyjemny zapach rozgrzanego tłuszczu i na głuźący łoskot maszyny, mało mają powietrza, a już żadnego widoku. Administratorzy tych statków powinni by pamiętać, że nazwa Francuza obowiązuje, niech więc umieszczą gdzie indziej piękny salonik dla dam albo, co jeszcze łatwiej, ten lepszy, wygodniejszy niech dadzą kobietom, a gorszy przeznaczą dla mężczyzn. Płeć brzydka tak jest grzeczna, nie będzie to dla niej żadną ofiarą!

W każdym razie konieczną jest rzeczą zmienić miejsce salonu dla dam.

Nauka żeglugi jako trudność pokonana wydaje mi się jedną z najpiękniejszych, najgodniejszych podziwienia.

Ten niezmierny, jednostajny ocean to prawdziwy labirynt, a jednakże nasi żeglarze tak go znają, że urządzili wśród niego rodzaj grobli; trzymając się tego kierunku, nie zбочą nawet na pięćdziesiąt metrów w prawo lub w lewo.

Wszystkie okręty płynące do Nowego Jorku lub na powrót suną po tej grobli, która ma najwyżej dwieście metrów szerokości. Spotykają się i mijają obok siebie na odległość strzału karabinowego. Podczas mgły jest to jedno niebezpieczeństwo więcej; kapitanowie stoją całymi nocami na mostku jako na swoim stanowisku obserwacyjnym, bez względu na pogodę.

Przykry to obowiązek i niemało potrzeba odwagi do przyjęcia takowego.

Żeglarz tym się różni od żołnierza, że ten ostatni narażany bywa na niebezpieczeństwo raz, dwa razy w życiu, wtenczas kiedy jest na wojnie; po zawarciu pokoju walka ustaje, żołnierz może wrócić do spokojnego życia. Dla żeglarza walka nigdy się nie skończy, niebezpieczeństwo przed nim zawsze okropne, groźne!

Śmierć ciągle przed jego oczyma; nie może ani na chwilę być spokojny.

Musi walczyć, walczyć bez przestanku, życie jego całe to jedna długa walka ze strasznym niebezpieczeństwem, z wodą, z ogniem, z nawałnicą. Czuwa on dzień i noc, bo gdyby sobie pozwolił choć chwilę rozrywki, już byłoby po statku, kilkaset osób straciłoby życie.

Na okręcie wszyscy żeglarze, od chłopca okrętowego do kapitana, mają twarz zamysłoną, poważną, bo wiedzą, że najmniejsza nieroztropność, jeden obrót źle wykonany naraża życie wielu istot.

Nauka żeglugi trudna jest i zawiślana, wymaga znajomości matematyki, astronomii, ale za to jakże jest użyteczna, wielka i godna uwielbienia!

Chcąc być żeglarzem, trzeba mieć naukę, i co ważniejsze, tę odwagę stoicką, która czyni nas zdolnymi nie tylko nie lękać się śmierci raz, dziesięć razy w życiu, ale patrzeć jej w oczy dwadzieścia razy na dzień, co godzina, co chwila.

Żeglarz to człowiek niepospolity. Mając ciągle przed swoim wzrokiem nieskończoność, morze bez granic wokoło siebie i niebo bez końca nad sobą, przywyka do życia kontemplacyjnego, samotnego, staje się marzycielem, poetą; podziwiając wielkość natury, nie przywiązuje się, jak inni ludzie, do wielkości ziemskich, rzekomych.

Żeglarzami nie miota żądza wyniesienia się; biorą oni życie tak, jak się je brać powinno, za rzecz przemijającą, którą jedno nic, jeden cios, jedno tchnienie może zniweczyć.

Żeglarz jest zwykle dobry, prawy, jest filozofem, znosi ze swobodą nudy, troski, zmartwienia nieodstępne od doli ludzkiej.

Okręt, Żołnierz,
Niebezpieczeństwo

Morze, Samotnik

²²krezus — bogacz. [przypis edytorski]

Ze względu na naukę, jaką musi posiadać, życie czynne, usługi, jakie oddaje społeczeństwu, a także swój charakter jest to człowiek najsympatyczniejszy i najgodniejszy sympatii całej ludzkości.

Za przybyciem²³ do Nowego Jorku nie spostrzega się od razu wszystkich piękności natury Nowego Świata. Miasto przedstawia się przybyszowi z najbrzydszej strony. Podróżny, dokąd okiem zasięgnąć może, nie dopatry żadnego pięknego pomnika. Widzi tylko mnóstwo dachów płaskich i tysiące kominów, jak w miastach wschodnich. Nowy Jork nie ma pięknych ulic nadbrzeżnych; nadają tu to nazwę szerokiej drodze brudnej, zastawionej lichymi rudarami drewnianymi.

Każda kompania wystawiła na rzece pewien rodzaj ogromnej szopy. Statek zarzuca kotwicę w bliskości takiej szopy, ustawiają most, podróżni przechodzą na ląd; towary, pakunki przenoszą do szopy; komora posyła tam swoich ludzi do zrewidowania kufrów.

Nic nieznośniejszego dla podróżujących nad komory celne. Oburzające jest prawo pozwalać ludziom, którzy nie zawsze mają czyste ręce, przewracać w walizkach, ruszać każdą rzecz z osobna, rozrzucać ją, rozwijać, brudzić, a właściciel gniewać się nawet o to nie może.

Muszę jednak oddać sprawiedliwość celnikom amerykańskim; grzeczniejsi oni jeszcze od wielu innych. Nade wszystko pochwalam w nich to poszanowanie człowieka, wskutek którego naród amerykański postanowił, że każdy może być wolny od rewizji celnej, jeżeli tylko przysięgnie, że nie ma nic, co by ulegało opłacie.

Wolność ma także swoje nieprzyjemne strony. Powozy publiczne nie mają w Ameryce żadnej taryfy. W czasie niepogody woźnica podaje ceny niesłychane; wsiąść i kazać jechać, jak u nas zwykliśmy robić, nikt się nie odważy, bo właściciel dorożki zawołałby policjanta i kazałby wsiąść.

Zapłaciłam więc i wszyscy pasażerowie zapłacili, jak ja, po czterdzieści franków za przewiezienie z ulicy nadbrzeżnej do hotelu.

Europejczykowi przybywającemu pierwszy raz do Ameryki Nowy Jork źle wpada w oko.

Co do mnie, wydało mi się to miasto obszernym rynkiem jarmarcznym; wszędzie ogromne afisze, dziwaczne, śmieszne; całe domy, wszystkie mury nimi zawieszono.

Zaraz przychodzi Barnum²⁴ na myśl i bierze chętką zapytać, czy mamy przed sobą lud rozumny, silny, potężny, czy też oglądać będziemy samych wytrawnych kuglarzy.

Z wolna przyzwyczajają się cudzoziemiec do tych różnokolorowych afiszów. Pojmuje, że ten naród żyjący bardzo szybko, bo tylko z parą ma do czynienia, naród, który wziął za dewizę: „*Time is money*”²⁵, słusznie żąda, aby dostawcy oszczędzili mu trudu szukania swoich towarów, chce więc za jednym rzutem oka wiedzieć, gdzie sprzedają najlepszą czekoladę, gdzie robią dobre buty i gdzie może wieczorem przepędzić kilka godzin dla rozerwania się po całodziennych trudach.

Afisze i ogłoszenia są więc konieczne w Ameryce.

Nowy Jork i Albany to dwa najdawniejsze miasta Stanów Zjednoczonych.

W sześć lat po odkryciu i zbadaniu rzeki, której dał swoje imię nieustraszony podróżnik Henryk Hudson, uformowały się w bliskości dwie osady holenderskie: jedna została nazwana Port Orange, druga Nowy Amsterdam.

Port Orange przybrało później nazwę Albany: to miasto jest stolicą stanu Nowego Jorku. Nowy Amsterdam stał się samym Nowym Jorkiem, a nazwę tę zyskał za czasów posiadłości angielskiej, na cześć Jakuba, wielkiego księcia Yorku. Dziś to miasto najważniejsze w Stanach Zjednoczonych, ale jest do przewidzenia, że niedługo Chicago przewyższy je w ludności, zbytku i bogactwie²⁶.

Nowy Jork leży na południu wyspy Manhattan, nad wielką zatoką, rozciąga się więc jej ku części północnej wyspy, ale jeżeli ludność jego ciągle tak wzrastać będzie, to wkrótce

Miasto

²³za przybyciem (daw.) — dziś: po przybyciu. [przypis edytorski]

²⁴Barnum, Phineas Taylor (1810–1891) — amerykański przedsiębiorca cyrkowy, założyciel Barnum and Bailey Circus. [przypis edytorski]

²⁵*Time is money* (ang.) — Czas to pieniądz. [przypis edytorski]

²⁶jest do przewidzenia, że niedługo Chicago przewyższy je w ludności, zbytku i bogactwie — pomimo pożaru, jakim uległo w 1871 r., dzięki swemu położeniu wśród najżyźniejszych okolic Chicago niezawodnie wkrótce stanie się ludniejsze niż Nowy Jork. [przypis redakcyjny]

zapełni wyspę. Rzeka Hudson oblewa je wężykowato i tworzy małe wysepki; piękne to, wdzięczne, kiedy na statku objeżdża się wyspę naokoło, ale z miasta nie widać ani rzek, ani morza, bo, jak powiedziałam, ulice nadbrzeżne bardzo brudne; mnóstwo bud drewnianych zasłania wodę.

Rzeki te czynią pobyt w mieście nieznośnym, bo w lecie upał wilgotny, nużący; mniej pod tym względem cierpiałam na pustyni Sahary niż w Nowym Jorku.

W Egipcie noce chłodne i prześliczne, od czwartej godziny po południu promienie słońca tracą siłę, pada rosa i oddycha się swobodnie.

W Nowym Jorku przeciwnie, przez cały czas, jak słońce świeci, jest cokolwiek chłodu, wietrzyk chwilami odświeża powietrze, ale przestaje wiać, jak tylko słońce zniknie; powietrze wtenczas staje się ciężkie jak w łaźni parowej. W nocy niebo staje się czerwone jak krew; ciepłe wyziewy unoszą się nad miastem; człowiek doznaje uczucia oczadzenia, duszenia się; jedynym miejscem, w którym można mieć trochę lżejszą atmosferę, jest Central Park na wzgórzu nad miastem.

Amerykanie chcieli naśladować nasz Lasek Buloński²⁷. Trzeba przyznać, że dzięki urodzajności gruntu mają nawet coś piękniejszego, coś wspanialszego.

Roboty około tego parku zaczęły się od prawdziwej bitwy. Początkowo mnóstwo żebraków, cyganów, awanturników i złodziejów wyprowadziło się na to miejsce; nazwano ich *squatters*, popostawiali tu sobie chałupki, liche, drewniane. Nie można było we dnie zejść w te strony bez niebezpieczeństwa; w nocy z pewnością narażono by się na obdarcie lub zabicie.

Od ósmej, dziewiątej godziny wieczór ludzie ci puszczali się do Nowego Jorku, aby tam zużytkować swój przemysł, po czym powracali ze zdobyczą na swoje wzgórze. Policja nawet nie śmiała się zabrać do nich.

Kiedy już postanowiono urządzić park, a najprzód przebić szerokie drogi w lesie, wezwano urzędownie tych ludzi, żeby jak najprędzej zmienili miejsce swojego pobytu. Za całą odpowiedź złoczyńcy wzięli broń do ręki, zaklinając się, że pójdą gromadnie podpalić miasto, jeżeli władza zechce ich stamtąd wypędzić. Opierali się na prawie, które nadawało posiadanie gruntu temu, kto go pierwszy zajął. Lecz trzeba ich było koniecznie stamtąd wyrugować. Mieszkańcy chcieli mieć piękne miejsce przechadzki, a nade wszystko pozbyć się raz jaskini łotrów.

Jeszcze raz wezwano ich, ażeby się wydalili i zaczęto obalać ich chałupy; wtenczas wściekłość opanowała awanturników; rzucili się na Nowy Jork, każdy z zapaloną pochodnią w jednej ręce, a rewolwerem w drugiej.

Dał się słyszeć dzwon na trwogę, pozamykano magazyny, strach ogarnął wszystkich mieszkańców miasta; mer²⁸ zwołał pośpiesznie gwardię narodową, kilkuset żołnierzy znajdujących się w mieście wraz z policjantami wyruszyło na tych zbójców.

Walka zacięta z obu stron trwała dwa dni.

Zapewniano mnie, że do tysiąca tych nędzników zginęło; pochowano ich jak najśpieszniej, nic nie mówiąc o liczbie. Ci, którzy pozostali, schronili się na pola okoliczne, na stepy.

Central Park kosztował mieszkańców Nowego Jorku przeszło sto milionów.

Słyszałam nieraz o muchach, które w nocy wydają światło i blask taki jak najpiękniejsze diamenty; wiedziałam, że kobiety hawańskie wsadzają je na szpilki, dbając o to, by nie tak prędko pozbawiać je życia, bo z nim i iskra błyszcząca gaśnie; wpinają potem owe muchy we włosy, a czasem w fałdy tiulowych sukien; na balu zdaje się, jakoby te panie potarte były fosforem. Nie widziałam dotąd nigdy takich owadów i nie myślałam, że ich blask w ciemności może być tak znaczny.

Kiedy pierwszy raz wieczorem przybyłam do Central Parku, upał był nie do zniesienia. Wszedłszy do lasu, spostrzegam naokoło siebie to krzaki gorejące, to znowu słupy ogniste, z których jeden pędem zbliża się do mnie, i już widzę naokoło siebie mnóstwo drobnych iskier. Zapytuję, co to być może i skąd się biorą te błyskotki ogniste; wtem jedna z nich siada mi na głowie i więźnie we włosach. Czym prędzej chwytam ręką i wi-

²⁷Lasek Buloński — obszerny park na zachodnim krańcu Paryża, ulubione miejsce spacerów. [przypis edytorski]

²⁸mer — przewodniczący rady miejskiej lub gminnej we Francji. [przypis edytorski]

dzę muchę trochę większą od naszej; skrzydła jej i spód ciała tak błyszczą jak rozżarzony węgiel.

Wszystkie te *fire flies*, tak je nazywają, robią czarowny efekt podczas letnich nocy w Central Parku.

Kto ma bujną imaginację, może sobie wyobrazić, że te iskry są to dusze umarłych wesoło płasające.

Raz tworzą one grupy, to znów dziwaczne desenie, niektóre unoszą się parami, inne pojedynczo, jakby uciekały spłoszone; na prawo na lewo, wzbijają się w obłoki lub znowu spadają na ziemię... zbliżają się do krzaka, gdzie widać tysiące ich siostr, krążą koło nich, a następnie opuszczają zniechęcone, niby dusze szukające dusz ukochanych.

Szelest ich skrzydeł czyni wrażenie tajemniczego szmeru, coś w rodzaju westchnień lub pocałunków. A jeżeli któraś z nich dotknie twarzy, jeżeli na niej usiądzie, to mimo-wolnie człowiek zadrży i pomyśli: „Czy to nie duch drugi, ukochany, który tym ognistym pocałunkiem przypomina się naszej pamięci?”

Niektóre z tych *fire flies* blakają się i po ulicach Nowego Jorku. Widzieć je można przelatujące z drzewa na drzewo, a wtedy wydaje się jakoby deszcz ognisty spadał na miasto.

Jeżeli ciemno w mieszkaniach, to muchy te wlatują przez okna i w jednej chwili rój owadów oświetla wszystkie pokoje latającymi iskrami.

Wyobrażałam sobie, że Nowy Jork, to miasto pochodzenia holenderskiego, musi przypominać matkę-ojczyznę swoją nadzwyczajną czystością i porządkiem; jakże się zawiodłam!

Są tu wprawdzie piękne chodniki marmurowe, ale tak źle utrzymane, że można sobie w nocy połamać nogi, co krok to wyboje i dziury.

Domy kamienne, ciemnej marmurowej barwy, przed każdym ogródek, a nadto ulice wysadzone kwitnącymi drzewami; widok więc wesoły.

Ale niestety drzewa te pokryte są czarnymi liszkami²⁹ o czerwonych łebkach. Na każdym listku liszek tych pełno; gdy przechodzisz, zaczepiają się o ubranie i włożą na twarz; co za obrzydliwość! Raz znalazłam na sobie blisko pięćdziesiąt tych poczwerek.

Nie ma wróbli w Ameryce; te, które tam przywieziono, są cenione i chowane z wielką troskliwością; porobiono małe domeczki drewniane dla nich na każdym drzewie; lecz i cóż to pomoże: na dziesięć milionów liszek jest zaledwie jeden wróbel.

Biedne ptaszynki chorują, schną w tym klimacie piekielnym, ale za to liszki są niesłychanie tłuste. Administracja dróg i ulic powinna by pomyśleć o wytepieniu tych gąsienic i rozkazać palić siarkę pod drzewami.

Kiedy ktoś robi te uwagi Amerykanom, to usłyszy następującą odpowiedź:

— Płacimy i tak miliony na utrzymanie miasta, ale ci, do których to należy, wolą chować te pieniądze do kieszeni niż wydawać je na bruk lub na udogodnienie życia mieszkańców.

Gdyby jakiś wynalazca odkrył, że liszka spalona, utłuczona, żywa lub martwa może się na coś przydać, przynieść zysk jakikolwiek, z pewnością Nowy Jork uwolniłby się od tych brzydkich owadów, wszyscy gentlemani wdrapywaliby się na drzewa dla obierania ich z liszek.

O czystości ulic dwie rzeczy mogą nam dać wyobrażenie.

Na pięknych murowanych chodnikach przed każdym domem znajduje się beczka na półtora łokcia wysoka; mieszkańcy tego domu wrzucają w nią wszystkie nieczystości, służba wypróżnia je w nocy; łatwo sobie wyobrazić, jak mile te szeregi beczek wpadają w oczy.

Każdy w imieniu wolności może zastawiać chodniki czym chce... Kupcy urządzają tu filie swoich magazynów, wypakowują na nich skrzynie, paki z towarami... ustawiają kosze, butelki... Wszyscy używają zupełnej wolności, prócz przechodnia, który nie może chodzić!...

W najludniejszej i najpiękniejszej części miasta zdarzyło mi się kilka razy widzieć zdechłe psy lub koty, leżące od kilku dni na bruku.

²⁹liszka (pot.) — gąsienica. [przypis edytorski]

Na 23 ulicy³⁰, która jest jedną z ulic arystokratycznych, zostawiono raz przez trzy dni konia zdechłego przed moimi drzwiami. Było to w sierpniu, podczas upałów zwrotnikowych. Cóż to za powietrze z tych wyziewów!

Nieczystość niższej części miasta i ulic nadbrzeżnych może tylko iść w porównanie z nieczystością, jaką się spotyka w Konstantynopolu.

Wszystkie miasta amerykańskie budowane są na jeden wzór. Z południa na północ idą wielkie drogi, poprzerynane ulicami ze wschodu na zachód. Ulica, która tworzy środek Nowego Jorku i przerywa wyspę przez całą jej długość, nazywa się Broadway: wyraz złożony z *broad*, szeroka, i *way*, droga. Ulica ta jest rzeczywiście bardzo szeroka, ma bowiem 26 metrów szerokości, na 6 kilometrów jest długa. Ostatni dom oznaczony cyfrą³¹ 2800. Ulice są także numerowane. Wszystko tu dzieli się za wschód, południe, północ i zachód. Żeglarze mogą się łatwo orientować, ale ludzie pospolici niełatwo się z tym oswiają. Dlatego też radzę szukającym fortuny taki rodzaj przemysłu: kupić we Francji 600 000 busol po 2 franki i sprzedawać je w Ameryce po 20 franków.

Nowy Jork jest prawdziwie kosmopolityczny. Ci, co znają tylko to miasto, niech sobie nie pochlebiają, że mają jakieś wyobrażenie o obyczajach amerykańskich.

Jest tu miasto niemieckie, które liczy 75 000 mieszkańców; ma swoje hotele, kluby, dzienniki niemieckie. Zupełnie tu inne życie, inne obyczaje; zdaje się, że to Drezno lub Wiedeń. Jest nawet ładny teatr, w którym grywają opery i dramaty niemieckie.

Jest znowu część miasta francuska. Ludność francuska w Nowym Jorku dochodzi najwyżej do pięciu lub sześciu tysięcy. Prócz rzadkich wyjątków, Francuzi tu wegetują tylko, nie robiąc ogromnych majątków.

Zyją najwięcej między sobą; wielu z nich nie umie ani słowa po angielsku. Pan M., człowiek nadzwyczaj wykształcony, mieszka w Ameryce od dwudziestu lat; natura jego interesów zmusza go mieć ciągle do czynienia z Amerykanami, jednakże nie zna ani jednego wyrazu ich języka.

Nie uczy się po angielsku trochę z lenistwa, a więcej jeszcze z nienawiści do tego narodu. Charakter francuski tak różni się od charakteru amerykańskiego, że Francuzi w żaden sposób nie mogą sympatyzować z narodem Nowego Świata; nudzą się w Ameryce, źle im tu. Całą ich rozrywką jest krytykować tutejsze obyczaje, zwyczaje, ludzi i rzeczy.

Ale za to w interesach Amerykanie biorą górę i umieją wyprowadzić w pole Francuza. Ten ostatni, nawet najchciwszy zysku w porównaniu z Amerykaninem, nazywany być może człowiekiem niesłychanie bezinteresownym.

Jeżeli kolonia moich rodaków nie jest najbogatsza, to natomiast jest najpocziwsza, najszlachetniejsza.

Mamy tu również towarzystwo, kółko familijne, z kobiet i mężczyzn złożone. Nazywa się Harmonie Club. Zgromadzają się w nim całe rodziny. Jest wspólny stół, gdzie członkowie mogą jeść obiad, jest to salon do czytania, sala bilardowa, sala balowa, gdzie czasami tańczą, bez ceremonii i zbytku. Powinny by się i w Europie urządzać podobne towarzystwa. Zabawa byłaby serdeczniejsza; znaczna sumka od wszystkich dozwoliłaby za tanie pieniądze zjeść doskonały obiad, korzystać z bogatej biblioteki i z pięknych salonów. Ojcowie i mężowie graliby w bilard, a przez ten czas kobiety rozmawiałyby lub grały.

Prócz tych dwóch części miasta jest jeszcze trzecia, włoska; policja nie śmie tam nosa wetknąć, a mieszkańcy tej dzielnicy mogą się bić, zabijać, jak im się tylko podoba.

Jest nawet część miasta chińska!

Około tysiąc pięciuset Chińczyków osiadło w Nowym Jorku. Zebrali się w jeden punkt i tworzą mały osobny kraik; wszyscy prawie pożeni się z Irlandkami. Jeżeli mamy wierzyć podróżnikom piszącym o Chinach... kobiety są niewolnicami w Niebiańskim Cesarstwie i mężowie bardzo się źle z nimi obchodzą. Chińczycy osiedli w Nowym Jorku są natomiast mężami wzorowymi: łagodni, ulegli dla żon, wierni, stali, pracują z zapalem i zadziwiającą zręcznością.

³⁰23 ulica — 23rd Street, szeroka arteria w nowojorskiej dzielnicy Manhattan, jedna z głównych ulic w kierunku wschód-zachód. [przypis edytorski]

³¹cyfra (daw.) — liczba, wielkość liczbowa; dziś popr.: pojedynczy znak pisarski służący do zapisywania liczb. [przypis edytorski]

Dawne rodziny holenderskie i angielskie stanowią tu rodzaj przedmieścia Saint-Germain³² Nowego Jorku.

Widzieć się tam daje prosta i serdeczna gościnność dawniejszych panów; żyją tylko ze sobą, przypuszczając niekiedy do swego kółka znakomitych cudzoziemców; wśród nich oddycha się wonią dobrego towarzystwa.

Część miasta w bliskości ulic nadbrzeżnych zamieszкана jest przez kupców i rzemieślników.

Marzeniem każdego kupca, każdego przemysłowca jest nabycie takiego majątku, ażeby mógł kupić sobie dom na Fifth Avenue³³.

Fifth Avenue jest przedmieściem *schodesów*; tak nazywają nowo wzbogaconych parweniuszów, którzy nie mieli czasu jeszcze nauczyć się żyć w świecie. Ludzie ci tracą głowę, stawszy się panami domów we wspomnianej części miasta. Chcą błyszczeć, pokazać że są bogaci, olśnić wszystkich. Kobiety ozdabiają się złotem, brylantami, koronkami; od dziesiątej rano każda wystrojona jak na bal.

Widziałam na własne oczy w jednym z takich domów firanki prawdziwe koronkowe u okien i także pokrowce na meblach.

Schodes, wydając bal u siebie, stara się nade wszystko, żeby goście widzieli, jak go dużo kosztował; wszyscy też pamiętają tu o komplementach: „Musiałeś pan niemało wydać pieniędzy!”

Paryżanie uskarżają się, może i słusznie, na szwaczki za ich tysiączne wymysły przy robocie sukien i żądanie cen bajecznych. Narzekają na zbytek swoich żon. Niechby im któryś z Amerykanów pokazał rachunki za stroje swej żony, a musieliby przyznać, że paryżanka obok Amerykanki nie tylko jest skromna, ale i oszczędna, prawie skąpa.

Na balach żony tych dorobkiewiczów występują w strojach najdziwniejszych, bez żadnego gustu, ale bogatych, bardzo bogatych. Każda z tych kobiet ma na sobie pięćset lub sześćset tysięcy franków w klejnotach, koronkach, piórach i kwiatach. Kolory czerwony, różowy, niebieski i zielony mieszają się tu bez ładu i symetrii.

Każda suknia sprowadzona z Francji, kosztująca tam 300 franków, po opłaceniu przewozu, cła, komisjonerów³⁴ itd. wypadnie 900 franków. Ileż zapłacą za suknię balową, która w Paryżu kosztuje 1500 franków?

Kobieta przyswaja sobie prędzej niż mężczyzna każde nowe stanowisko, z łatwością i naturalnie wstępuje w nową sferę towarzystwa. Mężczyzna, przeciwnie. Niech tylko jakiś wielki pan lub człowiek dobrze wychowany pozostanie pewien czas w towarzystwie pospolitym, upodoba sobie w nim z pewnością.

W salonach więc Fifth Avenue kobiety nie zdradzają swego pochodzenia. Noszą one długie suknie, jeżeli nie ze swobodą, to zawsze z wdziękiem. Ubranie głowy z czasów Ludwika XV³⁵.

Lubią bardzo puder i muszki, chociaż zamiast przypominać dawne markizy, podobne są do zgrabnych pokojówek.

A mężczyźni!

Wszyscy ci *schodes* mają chód i ruchy pospolite; dziwnie wyglądają przy swoich żonach. Niejeden z nich bije w oczy niemiecczyną, żuje gałki tytoniu... Uderzają ręką w rękę na znak przyjaźni, odwijają rękawy dla powitania się.

Taniec w Ameryce jest twardą gimnastyką; dawny kadryl jest tylko w użyciu, ten kadryl, tak żalowany przez naszych ojców, którzy utrzymywali, że jest on weselszy i piękniejszy niż nowy kontredans.

Będąc dzieckiem, miałam metra³⁶ tańca, który uczył mnie terazniejszych tańców, mówił często:

— Za moich czasów tańczono, dziś się tylko chodzi; za moich czasów potrzebna była gracia, giętkość, teraz zaś dobry tancerz powinien mieć minę poważną i sztywną.

³²przedmieście Saint-Germain — lewobrzeżna dzielnica Paryża, od poł. XVIII w. zamieszkiwana przez arystokrację. [przypis edytorski]

³³Fifth Avenue (pol.: Piąta Aleja) — główna ulica centrum nowojorskiego Manhattanu, jedna z najpopularniejszych i najbardziej rozpoznawalnych ulic handlowych świata. [przypis edytorski]

³⁴komisjoner — kupiec, pośrednik sprzedaży. [przypis edytorski]

³⁵Ludwik XV (1710–1774) — król Francji z dynastii Burbonów. [przypis edytorski]

³⁶metr (daw., z fr. *maître*) — mistrz; nauczyciel, zwł. muzyki, tańca, języków. [przypis edytorski]

Dziś trzeba wydać się znudzonym przy zabawie. My zaś bawiliśmy się wesoło, co było naturalniejsze.

Kiedy wpadł na ten przedmiot, ożywał się i zaczynał wykręcać piruety lub *pas de Zephyr*³⁷.

Amerykanie nie chodzą, ale skaczą kontredansa. Nad walca i polkę przekładają germana. Taniec ten podobny jest do polki „skakanej” i mazurki „suwanej;” jest to rażąca mieszanina, a pary tancerzy podobne są do figurek klejonych z papieru, które się ciągnie za nitkę.

We Francji, jak w całej Europie, panny młode chodzą na bal, ale zachowują się skromnie, przyzwoicie. Ustupują miejsca szacowniejszemu mężatkom, osobom w wieku szczególnie.

W Ameryce wszystko się dzieje inaczej.

Jeżeli pani domu ma córkę, to ta czyni honory domu; jest uprzejma, uprzedzająca dla panien, matkom ich zaledwie się ukloni, nie troszczy się dla nich o miejsce, uważa je po prostu za osoby do towarzystwa przydane.

Można zarzucić Amerykankom, a tym bardziej Amerykanom, że nie szanują siwych włosów.

Po dziesięciu latach mieszkania przy Fifth Avenue, kiedy *schodes* przywyknie do swego majątku i stanowiska, opuszcza ze wszystkim to miejsce, a przenosi się na Madison Square lub Madison Avenue, gdzie mieszka arystokracja stara (do jej tytułu trzeba mieć najmniej dziesięć, a najczęściej czterdzieści lat posiadania majątku). Może ktoś myśli, że w tej wielkiej rzeczypospolitej³⁸ nędza jest nieznaną?

Po Londynie jest to pierwsze miasto, gdzie największa przedstawia się sprzeczność między ogromnymi majątkami z jednej strony a okropną nędzą z drugiej.

Są pewne ulice i zakątki, w które wchodzić nikt nie ośmiela się, nawet policja; jest tam ludność ogorziała, wynędzniała, w łachmanach, pokryta robactwem.

Wyrobownicy³⁹, ludzie biedni zajmują *tenement houses*⁴⁰, jest to pewien rodzaj osiedli fabrycznych.

Niepodobna wyobrazić sobie tych *tenement houses*, trzeba widzieć na własne oczy, aby uwierzyć.

Proszę sobie przedstawić dom poczerniały, przy każdym oknie wiszą łachmany, matrace, sienniki; roje much pokrywają te brudne gałgany.

Gdy wejdiesz zaduch nie pozwala ci oddychać, noga ślizga się po zabłoconej podłodze; słyszeć się dają kłatwy, błagania, skargi, jęki, narzekania, wybuchy śmiechu itd. Gdy się zatrzymasz z zadziwienia, osoby, które cię przeprowadzają (bo trzeba pomocy policji, aby dojść do tych jam), uspokajają cię, mówiąc:

— To nic; ten budynek powinien mieścić tylko dziesięć osób; a w nim obecnie znajduje się sto, nic więc dziwnego, że jedni się biją, drudzy się bawią.

Jeżeli masz odwagę wejść do pierwszej izby, to zobaczysz leżących na ziemi pięćdziesiąt istot ludzkich na mokrej słomie lub brudnych materacach.

Kobiety, dziewczęta, dzieci, mężczyźni, starcy — wszystko to leży razem, poruszane robactwem, bez wstydu, skromności i obyczajności.

Bydlęcość tylko pozostała w tych biednych pariach⁴¹, bystrość rozumu zgasła, twarze ich szpetne, oczy bez życia, ponure.

We wszystkich izbach tego domu znajdujesz pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt tych nieszczęśliwych razem; młoda mężatka obchodzi tam swój miodowy miesiąc, bo ci ludzie

³⁷*pas de Zephyr* (fr.: krok Zefira) — dawna figura tańca towarzyskiego, nauczana w ramach podstaw tańca, przypominająca figurę baletową. [przypis edytorski]

³⁸*rzeczpospolita* — tu: republika, państwo o ustroju, w którym władza jest sprawowana przez organ wyłoniony w wyniku wyborów na określony czas. [przypis edytorski]

³⁹*wyrobnicy* (daw.) — osoba wynajmująca się do różnych prac fizycznych; tu: robotnik. [przypis edytorski]

⁴⁰*tenement house* (ang.) — w Stanach Zjednoczonych nazwa dużego domu podzielonego na pomieszczenia przeznaczone na tani wynajem w związku z szybkim rozwojem miast i imigracją; później, od poł. XIX w., powstawały specjalnie budowane kamienice (*tenement*), liczące do sześciu pięter, mieszczące po kilka mieszkań do wynajęcia na każdym piętrze. [przypis edytorski]

⁴¹*paria a. parias* — członek najniższej kasty w Indiach; ogólnie: najbardziej pogardzany i krzywdzony członek społeczeństwa. [przypis edytorski]

żenią się czasami, tu znowu dziecię na świat przychodzi, a tam na kupie gałganów umiera kobieta.

Kiedy zwiedzałam *tenement houses*, było to w lecie, różne epidemie panowały w Nowym Jorku. Nie umiem wypowiedzieć, jakie tam było powietrze; myślałam, że się zaduszę. Są izdebki mające zaledwie jedno małe okienko, a w nich żyje, albo raczej kona trzydzieści osób.

Widziałam wielką salę, w której było pięćdziesiąt tapczanów na ziemi; na jednym z nich jakiś mężczyzna umierał w konwulsjach, przy nim dziewczynka trzynastoletnia, klęcząc, szlochała na głos; obok dwóch pijaków, wysączających butelkę lichego wina, wyśmiewało się z wykrzykiwań umierającego.

Kobiety, dziewczęta stały tam, obojętnie patrząc, co się działo około nich, jedna ogryzała kość, druga cesała się. Na innym barłogu kobieta jakaś łamała się w boleściach; nikt nie biegł jej z pomocą.

W izbie sąsiedniej pijatyka; mężczyźni i kobiety bili się o ostatni kieliszek ostatniej butelki whisky.

Widok to był rozdzierający. Nie widziałam nigdy i nie wierzyłam, żeby rodzaj ludzki mógł dojść do takiego spodlenia; a kiedy pomyślałam, że pomiędzy tymi bydlętami byli może ludzie rozumni, kobiety obdarzone wyższym uczuciem, to złorzeczyłam tej ohydnej nędzy, która staje się żywiołem poniżenia, znikczemnienia natury ludzkiej i która wyradza tyle występków, tyle podłych i brudnych namiętności.

Rzecz dziwna, ludzie tracący czas na wyszukiwanie narzędzi zniszczenia lub wystawianie pomników chwały swego kraju nie pomyślą przecież naprawdę nad sposobem wyrugowania głodu i nędzy ze świata.

Ten tylko naród, który mógłby wyrzec do innych narodów: „U mnie ani jeden człowiek nie umiera z głodu, nie drży z zimna”, ten tylko naród zaiste miałby prawo nazwać się wielkim oświeconym!

Myliłby się ten, kto by myślał, że *tenement houses* są to schronienia bezpłatne dla ludzi niemogących najmować sobie mieszkań. Nie, Amerykanin jest praktyczny, robi pieniądze ze wszystkiego, umie nawet z nędzy ciągnąć dla siebie korzyści; *tenement houses* są domami spekulacyjnymi.

W miarę wzrastania ludności Nowego Jorku handel dociera do górnej części miasta, gdzie mieszkają tylko obywatele lub bankierzy.

Wtenczas dorobkiewiczze, nie chcąc mieszać się z dawnymi kolegami, opuszczają swoje domy, a wielu obraca je na *tenement houses*; kilka z tych domów przed niedawnym czasem służyło za mieszkanie bogatym finansistom.

Wynajmują je nawet z meblami. Sprzęty te składają się z materaców lub ze słomy, o której mówiłam, z kilku krzeseł i stołów, z wielkiej kuchni, gdzie na wspólny koszt gotuje się zupę, w porównaniu z którą zupa naszych żołnierzy francuskich wydalaby się wykwinna.

Podczas epidemii mieszkania te są ogniskiem zarazy nie tylko dla tych, którzy tam przebywają i umierają jak muchy, ale i dla sąsiadów.

Rada zdrowia nie ma nad nimi żadnego dozoru: członkowie tego towarzystwa nie chcą się narażać na nieprzyjemność zwiedzania tych lochów.

Pożary często zdarzają się w tych domach, w jednym z takowych spaliło się sto sześćdziesiąt osób, bo jedno jest tylko wyjście, jedne schody; od czasu tej katastrofy policja zlitowała się i wymogła na właścicielach urządzenie kilkorga drzwi i schodów bocznych, dla ułatwienia ucieczki tym biednym ludziom.

Cudzoziemcom pragnącym poznać dobrze Nowy Jork polecam zwiedzać wszystkie poślednie części miasta, między innymi tak nazwaną niegdyś Five Points⁴². Tam zobaczą odwrotną stronę medalu zbytków Fifth Avenue, spostrzegą okropną demoralizację, która stanowi rażący kontrast z gorliwością religijną, tak głośną w innych częściach miasta.

Five Points ma swojego bohatera. Opowiem jego historię, bo ona maluje jedną stronę obyczajów i charakteru Amerykanów, a John Allene jest typem czysto amerykańskim.

⁴²*Five Points* — XIX-wieczna dzielnica na Manhattanie w Nowym Jorku, znana jako gęsto zaludnione, nękanie chorobami i przestępczością slumsy, które istniały przez ponad 70 lat. [przypis edytorski]

John Allène, lepiej znany z przydomka „Coickedestman”, odebrał staranne wychowanie; ojciec jego, członek sekty metodystów, kształcił syna na księdza. Brat jego poszedł za wyznaniem matki i został pastorem.

Należał więc nasz bohater, jak widzimy, do szlacheckiej rodziny. Mając lat dwadzieścia pięć, porzucił stan duchowny i oddał się handlowi: wszystkich dróg się chwycił.

Jednego dnia widziano na pozłacanym szyldzie błyszczący napis: „John Allène, bankier”. W sześć miesięcy później spotykano go jak na ulicy nadbrzeżnej pełnił obowiązki tragarza; brał się on i do faktorstwa⁴³, ale zły los prześladował go wszędzie.

Jednego pięknego poranku mieszkańcy Nowego Jorku przerażeni zostali wiadomością, że John Allène, niegdyś ksiądz, brat pastora powszechnie szanowanego, otworzył karczmę w Five Points, karczmę wraz z domem nierządnym, utrzymywanym i prowadzonym przez niego. Gorszono się tym bardzo, jednakże przez ciekawość wszyscy chcieli zobaczyć Johna Allena w tym nowym ohydnych zawodzie. Przez pół roku karczma jego była pełna. Ale gdy zaspokojono ciekawość, przychód zmniejszył się, Allène uciekał się do najniegodziwszych sposobów, aby tylko ściągnąć publiczność do siebie; dom jego tak stał się gorszący, że co wieczór policja musiała tam zachodzić. Ze zgrozą mówiono o Coickedestmanie, bo Amerykanie czuli się odpowiedzialni w oczach cudzoziemców za haniebną rozpustę tego zakątka.

Przed dwoma laty John Allène przekonał się, że pomimo wszelkich usiłowań niepożyciwych nie może dorobić się majątku i powiedział sobie: źle to frymarczyć⁴⁴ występkiem, niewielki z tego zysk.

Ubrał się jednego dnia zupełnie czarno, zrobił smutną minę świętoszka i poszedł do wszystkich redaktorów dzienników; do każdego tak przemawiał głosem wzruszonym:

— Byłem nędznikiem, splamiłem rodzinne miasto życiem haniebnym, szerzyłem zgorszenie, pobudzałem do złych obyczajów. Tak jest, bardzo jestem występny i Bóg powinien by mnie ukarać, ale On jest miłosierny, przebacza mi, dając łaskę skruchy i żalu. Żałuję też z całej duszy, a sumienie mówi mi: „Ponieważ zgorszenie było publiczne, żal mój takimże być powinien”. Przychodzę więc prosić panów w pokorze o ogłoszenie, że niegodziwiec, nędznik, przewrotny John Allene uczyni jutro w tej a tej sali wyznanie publiczne win swoich i da zadośćuczynienie wobec wszystkich współobywateli.

Dzienniki zapełniły trzy szpalty wiadomością o nawróceniu Johna Allène’a, na temat owcy, która powraca do owczarni, lub syna marnotrawnego; wszyscy śpiewali: „Hosanna! Łaska zbawiła występного!”.

Nazajutrz, chociaż sala obrana przez Allène’a mogła mieścić dwanaście tysięcy osób, tłok i ścisk był niesłychany. Za wejście płacono po pół dolara, co przyniosło dochodu sześć tysięcy dolarów.

John Allène ukazał się na estradzie, mina jego była surowa, a zarazem pełna skruchy i jakby natchniona. Zaczął swoją spowiedź głosem poważnym, powolnym, zatrzymywał się chwilami, ocierał pot z czoła i zdawał się pognębiony od wstydu.

— Brawo! Brawo! John Allène! — wołał tłum.

Opowiadał więc swoje życie, wszystkie szczegóły rozpusty, jakiej się dopuszczano w jego domu. Nikt nie pomyślał nawet krzyknąć „*shocking!*” w miejscach nieprzyzwoitych jego mowy, bo wszakże to była spowiedź publiczna.

Nie wolno mu było nic zataić, mówił wszystko i bez ogródki. Wyznanie to nie było bynajmniej budujące, ale intencja była czysta.

Gdy skończył, rzucił się na kolana i prosił współobywateli pokornie o przebaczenie, przysięgając, że będzie się starał życiem uczciwym odtąd okupić przeszłość.

Przez kwadrans cały głośnie okrzyki i brawa rozlegały się po sali; przy wejściu oczekiwano na Johna Allène’a. Każdy chciał uściskać go za rękę, kobiety wzruszone płakały nad nim, winszowały mu i pocieszały, jak mogły. Coickedestman wielkie miał powodzenie.

Wszyscy pastory protestanccy od tej chwili mieli staranie o nowo nawróconego. Dusze pobożne dla zachęty dawały mu pieniądze.

On zaś wypędził lokatorów ze swego domu i zamienił salę karczmy na salę nauki kościelnej. Jeden kaznodzieja poświęcił się przychodzić nauczać tu motłoch z Five Points.

⁴³faktorstwo — pośrednictwo w interesach. [przypis edytorski]

⁴⁴frymarzyć (daw.) — kupczyć, handlować. [przypis edytorski]

Przez ciekawość wszyscy chodzili tam słuchać kazań i oglądać dom zatracenia przemieniony w kościół.

Czasami też i John Allène głos zabierał, a zwracając się do dawnych towarzyszy rozpusty, namawiał ich, żeby się nawrócili i poszli za głosem Zbawiciela.

Jego wymowa, zdawało się, płynęła z serca; objawiał najdoskonalszą skrucę.

Ludzie na wysokim nawet stanowisku okazywali względy Allène'owi, zapraszali go do siebie.

Dzienniki, w szczególności „Tribune”, poświęcały codziennie długie artykuły temu godnemu człowiekowi, kanonizowano go już w połowie, nazywano poczciwym, zacnym gentlemanem. Artykuły te były drukowane we wszystkich dziennikach amerykańskich, tak dalece, że w przeciągu miesiąca stał się Allène najślawniejszym człowiekiem na łądzie.

Wtem jednego razu zapakował on swoje manatki i rzekł:

— Czas już korzystać z naszej popularności i zamienić ją na złoto!

Jeździł więc odtąd z miasta do miasta, powtarzając swoją spowiedź i prosząc o przebaczenie. Wszędzie ciekawi byli dla niego z szacunkiem i obdarzali pieniędzmi. Po skończonej wyprawie wrócił do Nowego Jorku, a mając zebranych sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów, wystawił dom piękny, wygodny, w dobrym położeniu, wcale niepodobny do dawnej klitki.

Mówiono wtenczas:

— Pewno ten czcigodny człowiek założy tam dom dla sierot, ochronkę, może szpital.

Gdy go się pytano, przybierał skromną minę i odpowiadał:

— Niechże go skończę, zrobię wam wszystkim niespodziankę, zobaczycie!

I nadszedł ten wielki dzień, dom stał ukończony, pięknie umeblowany, a John Allène umieścił w nim... czterdzieści dam kameliowych⁴⁵ sprowadzonych z Paryża i prowadził dalej swoje nieczne rzemiosło w ślicznym lokalu nabytym za odegraną komedię.

Wielu oburzało się na tę zdradę, na to zgorszenie, ale byli i tacy, co z uśmiechem zadowolenia odzywali się:

— Sprytny człowiek!

Być zręcznym, praktycznym i mieć powodzenie są to przymioty wysoko cenione w Ameryce; dla tych przymiotów wiele się tu przebacza.

Nowy Jork jest zupełnie czym innym niż Paryż; nasza stolica jest wielką oberżą, gdzie wszystko w taki sposób urządzone, że cudzoziemcy znajdują wszelką wygodę i przyjemność. Ale za to paryżanin sam nie znajduje tego u siebie. Paryżanin w Paryżu jest to drobnostka, którą się nikt nie zajmuje.

Do kogo należą najpiękniejsze domy na Champs Élysées⁴⁶?

Do cudzoziemców.

Kto wydaje najwystawniejsze bale?

Cudzoziemcy.

Jakie kobiety wzbogacają nasze szwaczki, naszych krawców, robotników?

Cudzoziemki, które przybywają tu wyrzucać w oczach uszczęśliwionych głupców oszczędności zbierane przez długie lata w swoim kraju: a gdy wyczerpią wszelkie środki, znikają: inne zastępują ich miejsce; i tak te ulotne meteory wodzą rej w Paryżu i wspierają handel.

W tym wielkim kosmopolitycznym mieście cudzoziemcowi jest doskonale, wszystko obmyślane dla jego wygody i przyjemności. Znajduje tu nawet kuchnię swojego kraju, potrawy, które lubi.

W Nowym Jorku wszystko jest dla Amerykanina, wszystko podług jego gustu i przyzwyczajenia; nie myślą tu bynajmniej o cudzoziemcu.

⁴⁵dama kameliowa — kurtyzana; od określenia głównej bohaterki powieści Aleksandra Dumasa *Dama kameliowa* (1848). [przypis edytorski]

⁴⁶*Champs Élysées* (fr.: Pola Elizejskie; pot.), właśc. *Avenue des Champs-Élysées* (Aleja Pól Elizejskich) — reprezentacyjna aleja Paryża. [przypis edytorski]

I dlatego cudzoziemiec jest tu w kłopotcie, nie ma żadnej swobody, czuje, że jest intruzem, gościem nieproszonym; nie znajduje tu dla siebie ani tłumacza, ani przewodnika, ani nawet komisjonera.

Nie mogą się dosyć napałować tych dobrych Owerniaków⁴⁷, którzy w Paryżu stoją po rogach ulic i gotowi są za franka odnieść list lub pakunek na koniec miasta.

W Ameryce nie znają tej korporacji, a odległości tu niezmierne. Ani w hotelach, ani na ulicach nie znajdziesz nikogo, kto by chciał odnieść jakąś paczkę, jakiś list, choćby najpilniejszy. Ha, więc nając dorożkę i jechać samemu. Łatwo o to w Paryżu. Tu długo trzeba czekać i dużo to kosztuje. Na całe miasto, które przedstawia dwa razy tak wielkie rozmiary jak Paryż, jest tylko osiem lub dziesięć miejsc, gdzie stają dorożki; a może właśnie znajdujesz się o jakieś pół godziny od jednej z tych stacji.

Jest wprawdzie pewna ilość powozów do najęcia, ale trzeba umieć je znaleźć; żądają one dwadzieścia pięć franków, niekiedy czterdzieści za kurs. Jeżeli pogoda przykry, ceny są szalone, a woźnicy, nie mając żadnego przepisu i żyjąc w kraju wolnym, nie są wcale obowiązani wyjeżdżać na miasto.

Za dorożkę wziętą ze stacji trzeba płacić dwa dolary na godzinę, ale kiedy ktoś chce dać woźnicy kilkanaście sou⁴⁸ więcej, ten zwraca je natychmiast, mówiąc:

— Mnie się należy tylko dwa dolary, więcej nie żądam.

Obchodzić się z nim jednakże trzeba bardzo grzecznie, nazywać go „*my dear gentleman*”⁴⁹, nie tak jak paryżanie traktują dorożkarzy pod pozorem, że ci ostatni bywają zwykle grubiańscy. Gdyby się ktoś odważył odezwać do amerykańskich woźniców tonem pogardliwym, lekceważącym, nauczyliby go oni grzeczności, braterstwa i równości.

Przytoczę tu jedno autentyczne zdarzenie, które tym jest zabawniejsze, że przytrafiło się surowemu republikaninowi; był to Francuz, wygnaniec z 10 grudnia⁵⁰, który się uważał za najlepszego demokratę w świecie.

Dorożkarz z Nowego Jorku nauczył go, że teoria dobra, ale praktyka jeszcze lepsza.

Ten jegomość najął dorożkę, pilno mu było gdzieś jechać:

— Jedźże prędzej, ruszaj! — wołał co chwila na woźnicę.

Ten ostatni wzruszał tylko ramionami i jakby umyślnie wjeżdżał pomiędzy inne powozy i włókł się za nimi powoli.

Przy pierwszym zwolnieniu nasz republikanin mruknął pod nosem:

— To bydlę, głupiec!

Po chwilce otwiera okno, pociąga woźnicę za płaszcz i krzyczy ze wszystkich sił:

— Gamoniu, bydlę! Nie mogłeś wziąć na lewo?

Ten schodzi z kozła, otwiera drzwiczki i mówi:

— Sam pan jesteś bydlęciem, proszę mi zapłacić dwa dolary i wysiąść z dorożki.

Było to na Broad Street, na jednej z najbrudniejszych ulic miasta, deszcz padał ulewny. Francuz nie chce ani płacić, ani wychodzić i krzyczy w gniewie:

— Rozkazuję ci jechać, i to jak najprędzej!

Woźnica daje znak policjantowi, który przybywa, a dowiedziawszy się, że ten gentleman ubliżył woźnicy, przyznał słusność obejsia się temu ostatniemu.

Republikanin rad nierad musiał wysiąść i zapłacić za kurs.

Opowiadał potem z oburzeniem tę przygodę:

— Czy kto widział taki naród, takie prawa, żeby dorożkarz nie chciał jechać gdzie i jak mu każą! Żeby mógł wyrzucić z dorożki pasażera! Jakże tu żyć w takim kraju?

Wielu jest zaiste ludzi nazywających się republikanami we Francji, ale mało z nich rozumie znaczenie tego wyrazu.

Po większej części lubią wolność dla samych siebie, ale chętnie targają się na wolność drugich.

⁴⁷ *Owerniak* — człowiek pochodzący z Owernii, wyzynnego, ubożego regionu rolniczego w środkowej Francji. [przypis edytorski]

⁴⁸ *sou* — dawna drobna moneta francuska (dwudziesta część franka). [przypis edytorski]

⁴⁹ *my dear gentleman* (ang.) — mój drogi panie. [przypis edytorski]

⁵⁰ *wygnaniec z 10 grudnia* — francuski emigrant republikański po zamachu stanu dokonanym w grudniu 1851 przez Ludwika Napoleona Bonapartego, prezydenta II Republiki Francuskiej, który rozwiązał Zgromadzenie Narodowe i objął władzę dyktatorską, a rok później koronował się na cesarza. [przypis edytorski]

Wielu jest także demokratów, ale względem wyższych od siebie, dla niższych umieją pokazać się arystokratami.

W Ameryce nie tylko dorożkarze mają pretensję nazywać się gentlemanami, domagają się tego nawet służący.

Postępują oni ze swymi panami z zupełną śmiałością, bez ceremonii, mówią do nich z kapeluszem na głowie; jak powóz zatrzyma się w lesie na spacerze, to lokaj siada na stopniu od powozu z cygarem w ustach i rozmawia z państwem.

Posługacze w kawiarniach lub w hotelach *à la quaker* przybierają postawę ministrów; biada temu, kto by śmiał niegrzecznie, rozkazująco do nich przemówić.

Drużna anegdotka, również autentyczna, da wyobrażenie o obraźliwości tych gentlemanów.

Jeden pan, był to znowu niestety Francuz, jadł obiad w hotelu Fifth Avenue; usługa licha w Ameryce; nasz jegomość niecierpliwi się, woła.

Posługacze gentlemani patrzą na niego z ukosa, wzruszają ramionami i nic sobie z niego nie robią.

Niecierpliwość gościa zamienia się w gniew, woła energiczniej, rozkazuje; ci zaś z najzimniejszą krwią odchodzą, nic nie odpowiadawszy.

Siedziałam naprzeciwko niego.

— Czy pani widziała kiedyś takich ludzi? Odchodzą sobie!

— Niech pan będzie cierpliwy, powrócą — odpowiedziałam.

W samej rzeczy za parę minut właściciel hotelu wchodzi z posługaczami, którzy dumnie pokazują Francuza.

— Proszę pana iść za mną — rzekł utrzymujący hotel — znoszą już pańskie kufry i rachunek gotowy.

— Ale ja nie odjeżdżam, dlaczego znoszą moje rzeczy?

— Wydałam pana z hotelu!

Na to słowo jegomość zerwał się z zadziwieniem.

— Wydalasz pan!... Cóż to za żart?...

— To wcale nie żart, to zupełnie serio. Chodź pan prędko rozpoznawać kufry, bo nie mam czasu.

— Jakimże prawem mnie pan wypędzasz? Ja płacę za wszystko.

— Wydałam pana za nieuszanowanie pracowników hotelowych — i wskazał na posługaczy.

— Jakich pracowników? garsonów⁵¹?... To niegodziwość, zaniosę skargę do ambasadora.

Na taką groźbę właściciel hotelu pogardliwie uśmiechnął się i rzekł:

— Dajże pan sobie pokój; zapominasz, że wielki naród amerykański nie przyjmuje rozkazów od urzędników Napoleona III⁵²... Żaden ambasador w świecie nie zabroni mi wypędzić z domu ludzi źle wychowanych.

I kazał gościowi jeszcze raz iść śpiesznie za sobą, a potem wynieść się z hotelu.

Takie przygody często zdarzają się Francuzom w Ameryce.

Hotel amerykański pod względem mieszkania wcale niepodobny do hotelów europejskich.

Ludzie rodzą się tam i umierają w hotelach; rozwiązuje się tu zadanie życia wspólnego.

W Nowym Jorku każdy dom ma jedną tylko kuchnię.

Nie można dostać jednego lokalu z kuchnią, trzeba wynająć dom cały, co w części miasta arystokratycznej kosztuje pięćdziesiąt do sześćdziesięciu tysięcy rocznie.

W stronie demokratycznej można znaleźć małe domki za piętnaście do dwudziestu i dwudziestu pięciu franków.

Ludzie więc niezbyt zamożni nie mogą sobie pozwalać na taki zbytek, sami tylko bogacze mieszkają w swoich domach; inni zaś mieszczą się w hotelach lub w tak nazwanych *boarding houses*⁵³.

Hotele te tak są urządzone:

⁵¹*garson* (z fr.) — kelner lub boy hotelowy. [przypis edytorski]

⁵²*Napoleon III Bonaparte* (1808–1873) — bratanek Napoleona I, od 1848 prezydent Francji, w 1851 dokonał przewrotu, w 1852 ogłosił się cesarzem; w 1870 zdeponizowany. [przypis edytorski]

⁵³*boarding house* (ang.) — pensjonat. [przypis edytorski]

Na dole obszerne biuro, gdzie siedzą urzędnicy i sala wspólna, gdzie mężczyźni schodzą się dla palenia cygar lub żucia tytoniu.

Przed głównym wejściem są także ławki dla amatorów tytoniu... Hotel Fifth Avenue jest jednym z pryncypalniejszych⁵⁴ Nowego Jorku; tuż obok głównego wejścia spostrzeżać się napis dużymi literami na małych drzwiach: „Wejście dla dam”. Tam czystość, zbytek nawet, wszędzie dywany, lustra.

Wielki salon na pierwszym piętrze ma napis: „Salon dla przyjeżdżających”. Gdy cudzoziemiec tam wchodzi, znajduje przygotowaną wodę, grzebień, szczotki i służący przychodzi natychmiast pytać się, czego sobie życzy...

Mało jest mieszkań z salonem, bo Amerykanie biorą tylko jeden pokój, a w hotelu jest kilka sal wspólnych.

Jedna dla mężczyzn, *business room*, dla ułatwienia interesów, jedna dla mężczyzn i kobiet i jedna jeszcze dla samych dam. Nadto są jeszcze gabineciki z biurkiem, atramentem, papierem i gabinet do czytania książek i gazet.

Nie wynajmują pokoju samego bez stołowania się.

Zapewniano mnie, że znajdę w hotelu Fifth Avenue pokój ze stołem za cenę pięciu dolarów dziennie (dwadzieścia pięć franków), jednakże ja płaciłam osiem dolarów, czterdzieści franków, za jeden pokój o jednym oknie w podwórku; naprzeciwko o trzy metry odległości była kuchnia, z której dochodziły do mnie nieprzyjemne zapachy.

Amerykanie lubią rozpowiadać, gdy powracają z Paryża, że Francuzi są nieporządni, że wszystko brudne w Paryżu, naczynia, pościel...

Kiedy są we Francji, narzekają ciągle na niewygodę, nieschludność. Jedna pani mówiła mi raz wobec wielu osób:

— Paryż jest to bardzo piękne miasto, ale strasznie nieporządne!

Mieszkała ona na bulwarze du Temple, w hotelu dwunastorzędnym... po tej próbie o wszystkim sądziła.

Pomimo całej mojej sympatii dla Ameryki nie mogę pochwalić jej mieszkańców z wykwintnej czystości, jaką spostrzec można w Holandii i Niemczech; niech nie myślą jednakże, że chcę naśladować ową Amerykankę, która sądziła Paryż z jednej oberży, ja bowiem mieszkałam w ich pierwszorzędnym hotelach.

Dla dokładnego zwiedzenia i zbadania stawałam kolejno w ich hotelach najslawniejszych i w dwóch *boarding houses* najokazalszych.

Wracam do opisu mojego pokoju.

Oprócz zapachu z kuchni pełno w nim robactwa wielkości orzecha, z długimi rożkami. Nie widziałam nigdy nic brzydszego, robaki te mają nadto odrażający zapach. Znajdywałam je w moich kufrach, spacerowały po łóżku, zaczepiały się o fałdy sukien. Kiedy je zobaczyłam po raz pierwszy, krzyknęłam przestraszona, gdyż ten owad, podobny do skorpionia, stonogi i konika polnego wydał mi się straszny i obrzydliwy. Zadzwoiłam, w kwadrans (zwykle przychodzi w pół godziny) posługacz raczył przybyć.

— Patrz no — powiedziałam — co za okropny robak spaceruje po moim pokoju!

— Dobrze — odpowiedział — przyślę pani gentlemana pokojowego, do mnie należą reklamacje biurowe.

— Ale proszę mi zabrać tego robaka.

Ten kłania mi się i powtarza:

— To do mnie nie należy, ja pani przyślę kogo innego.

I zamyka drzwi za sobą.

W pół godziny później przybywa na koniec służa pokojowy. Robak ciągle chodził po dywanie; pokazuję mu go.

— To nic — odpowiedział — te robaki są wszędzie, jak sprzętam, widzę ich kilkaset.

— Jak to? Mam ich kilkaset w swoim pokoju, w takim razie zmienię numer.

— Na nic by się to nie zdało, bo one są we wszystkich numerach.

Musiałam więc z rezygnacją żyć w towarzystwie robaków.

Drugi szczegół dowiedzieć, jak są utrzymywane hotele w Ameryce. Opowiem wejście moje do hotelu Fifth Avenue.

⁵⁴pryncypalny (daw.) — główny, najważniejszy. [przypis edytorski]

Przyjechałam wieczorem; po odpakowaniu kufrów zrzucam na ziemię kawałki papieru, skrawki gałganków; wszystko to wraz z kurzem czyniło pokój mój nieprzyjemnym.

Nazajutrz wyszłam, a powróciwszy we cztery godziny, znajduję łóżko posłane, ale podłogę niezamiecioną; dzwonię więc.

— Dlaczego nieuprzątnięty mój pokój?

Chłopiec patrzy na mnie ze zdziwieniem i mówi:

— Uprzątnięty.

— Jak to! Patrzące!

Pokazuję mu kawałki papieru i różne śmiecie na podłodze.

— Przecież to dziś wtorek — odpowiada.

— Czyż to we wtorki się nie zmiata u was?

— Nie, tylko w sobotę zmiata się pokoje.

— A więc ja w takich śmieciach mam siedzieć aż do soboty?

— Tak jest — rzekł spokojnie i odszedł, zdając się mówić: „Oj, ci Francuzi, chcieliby, żeby im codziennie zmiatać, czy zgłupieli!”

Proszę sobie wyobrazić, że nawet udawszy się do właściciela hotelu, nie wymogłam na nim, żeby codziennie zmiatano mój pokój.

— To wymaganie — rzekł — zmieniłoby cały porządek służbowy; w sobotę przychodzą ludzie na cały dzień wynajęci do zmiatania.

Podróżowałam po Niemczech, jadałam w hotelach małych miasteczek i udało mi się spostrzec, że Niemcy niższej klasy jedzą wcale nie poetycznie. Jednakże Amerykanie mniej są jeszcze wybredni w nakryciu stołowym i w zaspakajaniu głodu.

Sala jadalna hotelu Fifth Avenue jest duża, ozdobna, liczni pracownicy w surdutach i wstęgach na szyi, tak modnych w Ameryce, chodzą poważnie i zdaje się, że ci robią zaszczyt, podając potrawy, jeżeli zachowasz dla nich największą delikatność i grzeczność.

Od ósmej do dziesiątej roznoszą śniadanie, od dwunastej do trzeciej po południu lunch; od piątej do siódmej obiad; od ósmej do dziesiątej herbatę.

Stoły zawsze są przykryte serwetami, ale nic więcej, nie ma ani butelek, ani karafek; na kredensie tylko stoją duże naczynia kamienne, jedne napełnione wodą z lodem, inne mlekiem lub lemoniadą.

Takie są napoje używane w Ameryce. Razem z rybą, mięsem pije się mleko lub lemoniadę, a czasem miesza się mleko z lemoniadą; to samo robią i w domach prywatnych (oprócz tych, które urządzone po francusku); dzbanki z tymi napojami nie stoją na stole, służący obchodzi gości i nalewa szklanki.

Skoro usiądziesz, stawiają przed tobą duży talerz. Na drugim talerzu, obok siebie, znajdujesz chleb niewypieczony, ciężki i gorący. Jeśli jesteś smakoszem, podają ci grzankę oblaną mlekiem.

Posługacz przynosi od razu cały obiad, od rosółu aż do wetów⁵⁵. To przynajmniej praktycznie, nikt nie traci czasu, ale obiad za to zimny. Wszystkie potrawy: ryba, mięso, jaja, jarzyna, sosy, znajdują się na małych spodkach, które ustawiają około twojego talerza. Amerykanin robi z tego wszystkiego jedną mieszaninę w dużym talerzu i zabiera się do jedzenia.

Chińczyk używa do potraw małych pałeczek, je nimi zręcznie, bardzo porządnie.

Amerykanin (*Yankee*) więcej używa noża niż widelca i w tym się różni od Chińczyka, że je nieporządnie; oblizuje ostrze noża językiem, co przypomina dorożkarzy jedzących naprędce i używających noża z równą elegancją.

Nie zmieniają tu ani noży, ani widelców. Pierwszego dnia przyglądałam się zdziwiona podanym mi spodkom, przełożyłam z jednego na talerz, a gdy zjadłam pierwszą potrawę, proszę o drugi talerz.

— Czyś pani tamten stłukła? — pyta się mnie posługacz.

— Nie stłukłam, ale nieczysty.

Namyślał się przez chwilę, nareszcie dał mi inny, ale nóż i widelec pozostawił ten sam; znowu proszę o zmianę.

— Dlaczego — powiada — czy połamane?

⁵⁵wety (daw.) — deser. [przypis edytorski]

Z wielką trudnością doszłam do tego, tak w Nowym Jorku, jak w Newport, we wszystkich główniejszych hotelach, że odmieniano mi talerze i widelce. Wszyscy posługacze mruczeli:

— Co za szczególne upodobanie ma ta pani odmienić talerze i widelce po każdej potrawie.

Amerykanie obcierają bez żadnej ceremonii palce o obrus, kładą kości z ryb na stole lub rzucają je na ziemię. Kto z nimi je przy jednym stole, może stracić apetyt na całe życie.

Jedzenie, Obyczaje

Byłam nieraz obecna przy obiadach wieśniaków we Francji, ale przysięgam, że nigdy nie widziałam, żeby istota ludzka jadła w podobny sposób jak w Ameryce.

Kiedy ktoś z gości doszedł już do wetów, podnoszą obrus biały, zwijają go przed jego talerzem, żeby miał przyjemność kłaść swoje wety na obrusie różowym, który jest pod spodem i który raz na rok piorą. Ponieważ nie wszyscy razem przybywają na deser, obrus biały to się zwija, to rozwija, to skręca w jedną stronę, to w drugą i wygląda jak ogromna szmata.

Jedzenie, Obyczaje

W żadnym kraju na świecie nie ma tak złej kuchni jak w Ameryce.

Arabowie mają swój kuskus, jest to doskonała potrawa z ryżu gotowanego z mięsem; jest zdrowa i pożywna.

Beduini na całe pożywienie przez cztery lub pięć dni mają trochę mąki kukurydzowej rozczynionej wodą, ale szóstego dnia każą sobie upiec całego barana; wieszają go nad szerokim kamieniem, dwa inne kamienie służą zamiast wilków kuchennych⁵⁶, zasadzają barana na rożen lub kawał drewna. Piecze się przy mocnym ogniu, sok ścieka w półmisek na ryż, który tam jest podstawionym. Kiedy baran upieczony, kładzie się go do ryżu i po prostu, bez ceremonii, każdy bierze garść ryżu w rękę, urywa kawałek mięsa i zajada smacznie. Jadłam taki obiad pod namiotem Beduinów.

Jedzenie, Obyczaje

Ten sposób jedzenia wydał mi się naturalniejszy i nie tak obrzydliwy jak u Amerykanów.

Turek ma swój pilaw, to jest ryż gotowany z drobiem i korzeniami, ma też oberżynkę (rodzaj dyni) nazwaną przysmakiem Proroka, która i w samej rzeczy jest smaczna.

Hiszpan, wyszydany z powodu lichej kuchni, ma w każdym razie wyborną czekoladę.

Amerykanin nie ma kuchni, wszystko, co jada, jest niezdrowe i niesmaczne.

Zupa to rzecz nieznaną w Ameryce. Jeżeli chcesz ją mieć koniecznie, dadzą ci wody ciepłej z pieprzem.

Jedzenie

Jeżeli chcesz coś innego, to podadzą ci ostrygi gotowane z pieprzem czarnym, czerwonym i białym.

Nigdy tu nie ma dobrego pieczystego, mięso źle ugotowane, w niedobrym gatunku, na każdy obiad dają kurczęta z białym lub ciemnym sosem, pieczone lub gotowane, dużo ciast ciężkich i ów sławny chleb prosto z pieca; sałata bez przyprawy, rzuca soli i pieprzu na stół i tę zieleninę je się surową; lubią także kapustę i pomidory surowe. Proszę sobie wyobrazić te potrawy oblane mlekiem lub lemoniadą z lodem.

Przy takim żywieniu się nic dziwnego, że Amerykanie skarżą się na trudność trawienia. Jakże żołądek wytrzyma takie potrawy.

Zapomniałam o jednym jedzeniu bardzo poszukiwanym: o kukurydzy. Gotują ją w całości i podają na dużym półmisku. Amerykanie obgryzają te gałązki zębami; co do mnie, nie mogłam przyzwyczaić się do takiej potrawy.

Jedzenie

Byłam raz zaproszona do bogatego domu kupieckiego na obiad. W wigilię⁵⁷ dnia tego gospodyni spytała się mnie, czy lubię ostrygi; odpowiedziałam twierdząco. Nazajutrz więc podają mi najprzód zupę z ostryg, którą pomimo zbytnej obfitości pieprzu zjadłam, bo powiedziałam, że lubię ostrygi! Na drugą potrawę dostaję ostrygi smażone. Pomyślałam sobie: trochę zanadto ostryg na jeden dzień. Na koniec przynoszą duży półmisek mięsa, nieodzownego przy obiadach, a później podają mi jeszcze ostrygi surowe z sałatą bez przyprawy; lody, ciasta i obiad skończony.

⁵⁶*wilki kuchenne* — rozwidlone pręty, na których obraca się rożen. [przypis edytorski]

⁵⁷*wigilia* — przeddzień, tj. dzień poprzedzający ważne wydarzenie. [przypis edytorski]

Ci z Amerykanów, którzy dłużej bawili we Francji lub w Europie, jedzą lepiej, ale muszą mieć kucharzy francuskich lub angielskich, bo mniemani kucharze amerykańscy nie znają się wcale na sztuce kucharskiej.

Ciasta amerykańskie są ciężkie, niezdrowe, jednakże dziewczęta i kobiety lubią je; na przechadzkach ciągle zachodzą do cukierni na ciastka i do apteki po pewien napój, który jest niesmaczny i niezdrowy.

Wszyscy aptekarze w Ameryce prócz lekarstw sprzedają także napoje chłodzące.

Mówiłam już, że hotele w tym kraju nie dla pomieszczenia i wygody cudzoziemców są urządzone, ale dla samych Yankeesów.

Marzeniem każdego Francuza jest mieć swój dom; najuboższy rzemieślnik, wyrob-nica, mająca zaledwie z czego żyć, składa grosz do grosza, żeby sobie kupić sprzęty i mieć swój kąt.

Najdrobniejsza nasza szlachta pokazuje z dumą sprzęty, które służyły dwom pokoleniom, i nie zazdrości bynajmniej tym, którzy mieszkają w hotelach, używają cudzych mebli całe życie i żyją po obozowemu, chociażby w najwykwintniejszych salonach.

We Francji mają miłość rodziny, Amerykanie za to pewien instynkt narodów koczujących; u nich miłość rodziny przytłumiona jest przez żądzę zarobkowania.

Ojciec nic nie winien swoim dzieciom, może je wydziedziczyć, zostawić majątek, komu chce, ale też nie ma żadnej powagi. Dziewczyna idzie za mąż za kogo jej się podoba; młodzieniec piętnasto- lub szesnastoletni myśli o robieniu majątku, bo nie rachuje wcale na ojcowski i nie zasięga rady ojca przed obraniem zawodu. Jedzie na drugi koniec Ameryki, opuszcza rodzinę obojętnie, myśli tylko o sobie.

Ta wolność nieograniczona, która przyznaje człowiekowi prawo rozporządzania majątkiem, jaki nabył, jest w gruncie racjonalna. To miała dobrego, szczególnie w kraju, w którym wszystko było do stworzenia, że zmuszała każdego człowieka korzystać ze swojej inteligencji. Wolność ta zrodziła pracownika, ale zabiła powagę rodzicielską i miłość rodziny... Przywiązanie do parafii jest im obce; Yankees nie przywiązuje się do żadnego miejsca. Opuszcza bez żalu miasto, gdzie się urodził, gdzie przepędził wiek dziecienny, jeżeli spodziewa się zarobić gdzieś indziej więcej pieniędzy; zawsze obozuje, nigdy się nie osiedla; dla tych więc pobudek urządzono hotele i *boarding houses* w Ameryce.

Hotel St. Nicolas⁵⁸ jest jednym z najdawniejszych w Nowym Jorku, mieszkają w nim ludzie od lat trzydziestu; na Fifth Avenue znajduje się blisko sto rodzin, które obrały tam stałe zamieszkanie, jest nawet doktor, który nie mając środków opłacania domu i umeblowania się, najął dwa pokoje w hotelu, jeden z nich obrócił na gabinet dla chorych, drugi dla siebie. Malarz ma tam swoją pracownię i przyjmuje w niej swoich klientów. Kobiety lubią żyć w hotelach; nie troszczą się o gospodarstwo, a widują tam różnych podróżnych. Mogą swobodnie myśleć o strojach. Zbytek ich jest też do niewierzenia. Robią toaletę ranną, drugą toaletę na obiad, po obiedzie zaś najświetniejszą balową; zapala się żyrandole w salonach i na korytarzach, korytarze tak szerokie jak bulwary. O godzinie ósmej wszystkie kobiety wychodzą ze swoich pokoiw prześlicznie ubrane i przechadzają się po salonach i korytarzach; jest to w pewnym rodzaju paradna wystawa, godzina, w której odbierają wizyty, pełno wrzawy, hałasu, tłok niesłychany. Dziewczęta przyjmują swoich wielbicieli, swoich narzeczonych. We wszystkich framugach okien, we wszystkich zakątkach spostrzega się pary rozmawiające cicho, trzymające się za ręce; nikogo to nie razi, każdy mija te gronka z dyskrecją.

Salony są bardzo ożywione. Jest to bowiem godzina, w której ci, co nie mieszkają w hotelu, przychodzą odwiedzać swoich przyjaciół, a szczególnie podziwiać stroje kobiet.

Kto widział w Baden Salon de la Conversation⁵⁹, ten może mieć wyobrażenie o widoku, jaki przedstawiają co wieczór tutejsze hotele; takie samo panuje tu życie, zbytek i gry.

Jedzenie

Dom, Obyczaje

⁵⁸hotel St. Nicolas w Nowym Jorku — luksusowy hotel, mieszczący tysiąc pokoi, otwarty w 1853; od połowy lat 70. XIX w. tracił na popularności, został zamknięty w 1884. [przypis edytorski]

⁵⁹Salon de la Conversation (fr.), niem. Conversationsbaus (dom rozmów) — centralny budynek luksusowego domu uzdrowiskowego w niemieckim mieście Baden-Baden, wybudowany w latach 1821–1823. [przypis edytorski]

Amerikanin wyrozumował, że w hotelu jeden pokój dla niego dostateczny; nie opłaca służących, ma wszelką wygodę i usługę za siedem lub osiem dolarów dziennie... To daleko praktyczniej niż zajmować ubogie mieszkanie.

Młodzi tam żeni się bardzo prędko: często młody człowiek zaledwie osiemnastoletni bierze panią bez majątku, wynajmuje więc jeden pokój; ten opłaciwszy, nie potrzebuje troszczyć się o kupno mebli.

Cudzoziemcom nie podoba się w tych hotelach, wszystkiemu z bliska przypatrywać się trzeba: naprzeciwko ktoś umiera, tuż obok ktoś inny jęczy i narzeka w boleściach. Mamki spacerują z dziećmi płaczącymi po korytarzach, większe dzieci bawią się w wolanta⁶⁰: jest to dobra i zła strona, korzyści i niedogodności.

Mówiłam już, że w każdym domu jest tylko jedna kuchnia, trzeba więc wynajmować dom cały. Ludzie tylko bardzo bogaci pozwalają sobie na ten zbytek; ci, którzy nie mają więcej nad czterdzieści lub pięćdziesiąt tysięcy dochodu, muszą poprzestać na *boarding houses*. Nie poniża się bynajmniej ten, kto utrzymuje taki hotel, wielu doktorów nawet najmuje dom cały, odnajmują od siebie pokoje, obracają z nich jeden na wspólny salon, drugi na wspólną salę jadalną i dziesięć lub dwanaście rodzin mieści się w ich domu.

Chciałam przekonać się, jak żyją w *boarding houses*, przyjrzeć się na własne oczy, jak to ci nieznajomi z dnia wczorajszego mogą tak prędko zbliżyć się do siebie, że odtąd stanowią prawie jedną rodzinę.

Umieściłam się w jednym z tych domów, gdzie za dwieście pięćdziesiąt franków na tydzień miałam salonik, jeden pokój na pierwszym piętrze i miejsce przy stole. Jednakże chociaż rodziny, z którymi żyłam, były przyzwoite, a damy amerykańskie nadzwyczaj uprzejme, muszę wyznać, że pobyt w *boarding house* wydał mi się nieznośny. O siódmej dzwonią, budząc, o ósmej na pierwsze śniadanie. Trzeba być ubraną i śpiesznie chodzić, bo panowie mają pilne sprawy; wcześniej wychodzą. Po skończonym pierwszym śniadaniu każdy powraca do swego pokoju lub idzie się przejść. W południe same damy zbierają się na lunch, panowie mają interesy i jedzą o tej porze na mieście; ale o piątej godzinie licznie się zgromadzają do stołu, bo każda rodzina ma jednego gościa lub dwóch.

Codziennie widzieć można nowe twarze, prawdziwy to karawanseraj⁶¹. Źle dają jeść, bo właścicielka domu chce jak najwięcej zarobić. Porcje są małe i biada temu, kto ośmieli się wziąć dwa razy jednej potrawy; ze wszystkich stron rzucają na niego spojrzenia gniewliwe, bo zjadł czyjąś porcję!

Zbytecznym byłoby nadmieniać, że plotki, obmowy i małe zawiści są przedmiotami rozmowy między kobietami. Jednakże przyznać trzeba Amerykankom, że nie mają tak złych języków jak damy europejskie; przeciwnie, są między nimi takie, które trzymają ze sobą, bronią się wzajemnie i w tym ich siła moralna.

Wieczorem zgromadzają się w jednej sali, gdzie jedni czytają Biblię, inni dzienniki, inni jeszcze rozmawiają. Byłoby to prześliczne, gdyby wszyscy znali się dobrze i sympatyzowali ze sobą. Ale żyć z obcymi, często bardzo nieprzyjemnymi, to prawdziwa męczarnia!

Już nie utrzymujący *boarding*, ale nawet osoby wynajmujące tam mieszkania, jeżeli te są obszerne, ogłaszają w pismach, że mają do odstąpienia jeden pokój lub dwa ze stołowaniem i przyjmują zgłaszających się do swoich mieszkań, gdzie już pozbywają się sami swobody dla kilkuset dolarów miesięcznie.

Jakaż sprzeczność między życiem podobnym a niezależnością tego narodu!

Miłość złota trzyma pierwsze miejsce i skłania tych ludzi do ofiary swojej wolności.

Uwielbiam i podziwiam wiele rzeczy w Ameryce, ale nie życzę sobie, żeby tryb życia amerykański był kiedykolwiek przyjęty w Europie, bo ten obcy żywioł niweczy wszelkie uczucia przywiązania między krewnymi.

Wiele osób zna z doświadczenia, jak niedziele w Anglii są smutne i posępne, można oszaleć lub zabić się z nudów, teatry, hotele pozamykane, kościoły tylko otwarte. Nie wolno ani śpiewać, ani grać na fortepianie, ani pisać; trzeba się nudzić, jeżeli ktoś nie chce uchodzić za niewiernego. Z trudnością nawet można kupić coś do zjedzenia w te dni święte!

⁶⁰wolant — dawna gra w podrzucaną rakieta korkową pileczką z piórkami; poprzedniczka badmintonu. [przypis edytorski]

⁶¹karawanseraj — zajazd dla podróżnych, z pomieszczeniami do odpoczynku i magazynem do przechowania towarów, budowany w krajach arabskich, Persji i Azji Środkowej. [przypis edytorski]

Méry opowiadał mi raz, że nie znając zwyczajów angielskich, w pierwszą niedzielę bytności swojej w Londynie, wyszedł jak zwykle ze swego pokoju do kawiarni na śniadanie. Znalazł ją zamkniętą; idzie do drugiej, również zamknięta. Głód zaczynał mu dokuczać, zapytuje więc jakiegoś policjanta, dlaczego te zakłady pozamykane.

Policjant złośliwie spojrzął na niego:

— Jak to — mówi — dlaczego? Czy pan nie wiesz, że to dziś niedziela?

— Gdzież się jada w niedzielę? — spokojnie zapytał Méry.

— W domu, mój panie.

— Tam do licha, mój bracie — rzekł Méry — mój dom w Paryżu, a bardzo mi się jeść chce.

— W takim razie, kiedyś pan cudzoziemiec, powinienesz być kupić wszystko wczoraj, bo dziś kawiarnie, restauracje, piekarnie, wszystko zamknięte.

Policjant ukłonił się Méry'emu i odszedł. Perspektywa całodziennego postu nabawiła mojego ziomka kurczu żołądka. Gorączkowo przebiegał ulice, mówiąc: „Przecież znajdę jakiegoś rzeźnika lub kupca niedowiarka”.

Niestety, była już druga godzina, nie odkrył żadnego; umierał z głodu, gdy nagle zobaczył otwartą aptekę.

Przez szybę spostrzegł duże laski panińskiej skórki⁶². Uradowany, wchodzi, siada, prosi o to ciasto, zjada cały funt, prosi o wodę dla przepchnięcia tej lepkiej potrawy i jeszcze żąda panińskiej skórki. Aptekarz, zdumiony, mówi:

— Ależ, panie, jeżeli to na uleczenie jakiejś irytacji piersiowej, to kilka kawałków wystarczy.

— Nie — odpowiedział Méry umierającym głosem — to nie na piersi, ale od kurczu żołądka, którego doznaję z głodu.

I opowiedział w jakim jest położeniu, że nigdzie jeść dostać nie może.

Aptekarz i jego subiektki śmiali się do łez, ale że Anglik był gościnnie, więc jako pan domu zaprowadził Méry'ego do swego mieszkania i przedstawił żonie, która natychmiast podała mu doskonale śniadanie na zimno, tłumacząc, że religia wymaga, żeby niedzielę przepędzać na modlitwie, w sobotę więc robią się zapasy żywności i gotuje się wszystko na niedzielę.

— Pani — powiedział Méry, podjadłszy — wybawiłaś mnie od śmierci głodowej; wdzięczność moja wieczną będzie!

— Skoro tak, to dowiedziesz mi pan tego, jeżeli zechcesz dziś wieczór przyjść do nas na herbatę i kolację, a prócz tego w każdą niedzielę przez cały czas swego pobytu w Londynie będziesz łaskaw bez ceremonii dzień cały z nami przepędzać.

Méry przyrzekł i dotrzymał słowa.

— Aptekarze angielscy — mawiał Méry — są bardzo gościnni, a żony ich dobre i miłe gosposie! Jakaż u nich dobra herbata i z jakim sercem przyjmują cudzoziemców!

Przestrzeżenie szanowania niedzieli jest jeszcze bardziej przesadzone w Ameryce.

Telegrafy, poczty, koleje żelazne zawieszają czynności, omnibusy, dorożki nie jeżdżą, każda rodzina siedzi przy Biblii. Ojciec wyjaśnia znaczenie każdej przenośni dzieciom, wylicza bezceństwo Sodomy i Gomory lub czyta *Pieśń nad Pieśniami*⁶³ Salomona, a zwracając się do swej żony, odczytuje głosem wzruszonym ten wiersz z księgi świętej:

„Jakże piękna jesteś, moja ulubiona! Oczy twe są pełne życia i przenikające jak oczy gołębic; nie mówiąc o tym, co w tobie ukryte, a co stanowi prawdziwą piękność. Włosy masz długie, miękkie i gładkie jak wełna owiec, które wszedłszy na górę Galaad, pięknie się tam utoczyły. Usta twoje koralowe jak przepaski szkarłatne, mowa twoja słodka jak dźwięk harmonijnych instrumentów, policzki różowe i białe. Nie mówiąc o tym, co w tobie ukryte, co stanowi prawdziwą piękność. Szyja twoja prosta jak wieża Dawidowa. Wszystkie te piękności wzbudzają we mnie gorącą miłość dla ciebie, gołębico moja” itd.

⁶²panieńska skórka — dziś: pańska skórka, tradycyjny cukierek domowej roboty, wytwarzany z cukru, wody, syropu, żelatyny i mąki ziemniaczanej. [przypis edytorski]

⁶³*Pieśń nad Pieśniami* — włączony do Biblii hebrajski poemat miłosny z IV–III w. p.n.e., składający się z pieśni oblubienicy, oblubieńca i chóru, zaliczany do ksiąg Starego Testamentu; w tradycji żydowskiej i chrześcijańskiej interpretowany na ogół alegorycznie i przypisywany Salomonowi, słynnemu z mądrości królowi Izraela, żyjącemu w X w. p.n.e. [przypis edytorski]

Niepodobna, żeby panienki religii protestanckiej i anglikańskiej przy takim czytaniu i słuchaniu Biblii co niedziela mogły zachować dziewiczość, nieskażoność serca i myśli, bo księga święta ma wiele ustępów niesłychanie bogatych w szczegóły o miłości materialnej.

W Nowym Jorku znajduje się tysiąc osiemset kościołów katolickich, protestanckich, kalwińskich, metodystów, perfekcjonistów⁶⁴, synagog etc. Wszystkie te kościoły przepelnione są ludnością w niedzielę; w każdym z nich inny obrządek; ciekawy badacz, chodząc od jednego do drugiego, może robić bardzo interesujące spostrzeżenia. W każdym z nich jest się dobrze przyjętym. Szukałam raz kościoła katolickiego, przez omyłkę wszłam do metodystów. Chciałam zawrócić, wtem jakiś kościelny *clergyman*⁶⁵ przybliżył się do mnie i mówi:

— Czy pani ma złe miejsce? Może dać krzeselko? Jestem do usług pani.

— Nie, mój panie — odrzekłam — nie żądam lepszego miejsca, tylko wychodzę, bo widzę, że się omyliła. Sądziłam, że to kościół katolicki.

— Niechże pani zostanie tu — rzekł z pobożnym namaszczeniem *clergyman* — wszystkie religie są dobre. Człowiek powinien poznać wszystkie, nim jedną wybierze. Proszę zostać na kazaniu, jeżeli nie trafi kaznodzieja do przekonania pani, wolno jej będzie iść gdzie indziej.

Tak usilnie nalegał, że dałam się nakłonić; byłam na całym nabożeństwie metodystów, lecz wyszłam wcale nie zbudowana.

W Ameryce uczucie religijne bardzo jest rozwinięte. Niewielu znajduje się tu wolnomyślicieli, ani jednego ateusza i bardzo mało obojętnych. Tolerancja dla wszystkich wyznań, dla wszystkich sekt religijnych. Każdy wyznaje religię, jaka mu się wydaje najlepsza, i jest w niej gorliwy.

Rozbrat kościoła z państwem jest zupełny, jednak kościołów jest mnóstwo, wszystkie bardzo piękne, ślicznie utrzymane, biskupi mają wspaniałe pałace. Prosty proboszcz pobiera od parafian dwadzieścia pięć do trzydziestu tysięcy franków rocznie. Niedzielę całą Amerykanie przepędzają na czytaniu Biblii i w kościele. Nie wolno pisać listów, to byłoby zgwałcenie świętości dnia tego. Matki odbierają dzieciom książki; i one muszą zachować się w zupełnym skupieniu ducha.

Złodzieje nawet odpoczywają w niedzielę, chociaż umięją to sobie powetować w poniedziałek.

Jedna tylko nietolerancja zadziwia podróżnego, protestanci Yankeesi za wielki grzech poczytują pić wino, wódkę, w niedzielę... Niech nie piją sami, dobrze, ale zabraniać drugim to naruszenie wolności. Nie dostanie się nigdzie w tym Nowym Świecie ani szklanki wina ani piwa.

Jest w Nowym Jorku jedna doskonała restauracja europejska, Delmonicos, ale i tu tylko wody dostanie się w niedzielę.

Na usilne czyjeś naleganie, jeżeli ktoś tam zawsze uczęszcza, to prowadzą na pierwsze piętro i ukrywają bardzo starannie w osobnym salonie, bo gdyby policja dowiedziała się, że w tym zakładzie sprzedano butelkę wina w niedzielę, zamknęłaby go niezawodnie.

Ale jak słusznie mówi Molière co do dewocji „*Il est avec le ciel des accommodements*”⁶⁶, tak i z nietolerancją amerykańską można się porozumieć. I tak w hotelu, gdzie mieszkasz, nie dadzą ci wina w niedzielę. Ale jeżeli prosisz w sobotę o butelkę i zacząłeś ją, jest już twoją własnością i dadzą ci ją w niedzielę.

Aptekarze tutejsi także wspierają wielbicieli spirytualiów.

Jeżeli londyńscy dają jeść, to amerykańscy dają za to pić. Oni sprzedadzą nawet w dzień święty butelkę wina, ale pod warunkiem, żeby jej żądać niby dla przyrządzenia wina chinowego⁶⁷.

⁶⁴perfekcjonści — tu: nazwa nadawana różnym ruchom w chrześcijaństwie, które dążą do osiągnięcia duchowej doskonałości; w szczególności w tradycji wspólnoty tzw. kwaków (Religijne Towarzystwo Przyjaciół) na określenie takiej doskonałości używany jest termin „perfekcjonizm” (ang. *perfectionism*). [przypis edytorski]

⁶⁵*clergyman* (ang.) — duchowny. [przypis edytorski]

⁶⁶*Il est avec le ciel des accommodements* (fr.) — Z niebem można się porozumieć; parafraza słów ze sztuki Moliera *Świętoszek* (akt IV, scena 5): *Le ciel défend, de vrai, certains contentements; Mais on trouve avec lui des accommodements* (Jest w takim czynnie niby dla nieba rzecz zdrożna, ale porozumienie z nim wynaleźć można; tłum. Kazimierz Zalewski). [przypis edytorski]

⁶⁷chinowy (rzad.) — chininowy, zawierający chininę, lek przeciwmalaryczny mający postać białego, gorzkiego proszku, otrzymywanego z kory chinowca. [przypis edytorski]

W Maine nietolerancja posunięta jest do śmieszności. Gdy zobaczą kogoś pijącego wino gdziekolwiek i w jaki bądź dzień, skazują go na więzienie.

Lecz oto przyczyna użycia tego despotycznego środka.

W Maine mają tylko jabłka, a zatem jablecznik stanowi główny ich handel. Zabraniają więc wina, żeby zmusić do picia jablecznika.

W Stanach Zjednoczonych nie ma praw despotycznych, wszystkie są głosowane przez tych, którzy im podlegają. Jedną z najpiękniejszych, najwznioślejszych rzeczy, że tak powiem, jest organizacja prasy w Ameryce.

Przedmiot ten żywo mnie zajmował i dlatego starannie go badałam. Poświęcam osobny rozdział dziennikom i dziennikarzom amerykańskim.

ROZDZIAŁ II. DZIENNIKI I DZIENNIKARZE AMERYKAŃ- SCY

Najgłówniejsze dzienniki w świecie są bez zaprzeczenia nowojorskie. Urządzone są na ogromną skalę i wywierają wielki wpływ na kraj cały.

Cztery z nich, dzienniki ranne traktujące jedynie o polityce, sprzedawane są po cztery sou za egzemplarz. Takimi są: „Herald”, „Times”, „World” i „Tribune”; jeden za dwa sou: „Sun”. Na koniec jeszcze jeden, który się nie sprzedaje, otrzymują go bezpłatnie abonujący: „Journal of Commerce”.

Wszystkie inne nie mają prenumeratorów ani roznosicieli w mieście. Sprzedawane są hurtem ludziom zajmującym się sprzedażą częściową na drodze publicznej.

Nowy Jork, jak powiedziałam, był zawsze i jest jeszcze miastem wyłącznie demokratycznym, dowiódł tego podczas ostatnich wyborów, dając tak znaczną wyższość głosów panu Seymour, współzawodnikowi republikanina Granta.

„World” jednakże jest jedynym organem demokratycznym tego miasta.

„Tribune” przedstawia partię radykalną, czyli krańcową, najniesprawiedliwszą we wszystkich krajach.

„Herald”, prowadzony przez człowieka bardzo rozumnego, obdarzonego zdolnością i umiejętnością głębokiego wpatrywania się w istotę rzeczy, zawiera politykę, którą nazwać można diagnostyczną.

Pan Gordon James Bennett celuje w sztuce przeczuwania idei i nowych pozycji, jako też i zmian, i tak w porę umie wyprzedzić opinię, że zdaje się, sam nią pokierował.

To wyrażenie: pan Gordon Bennett ma dobry węch, choć gminne, maluje dokładnie myśl moją.

Jest on pochodzenia szkockiego, bardzo młodo przybył do Nowego Jorku. Nie mając żadnego majątku, umiał tak korzystać ze swojej inteligencji i zręczności, że dziś posiada ogromny majątek, dwadzieścia milionów dolarów.

Pan James Gordon Bennett jest przyjemnym starcem siedemdziesięcioletnim, ma postać wspaniałą i uprzejmość magnata szkockiego. Pani Bennett jest także bardzo miłą i dobrą kobietą, dostępną dla wszystkich, szczególnie dla artystów, których lubi protegować; dom jej najprzyjemniejszym jest w Nowym Jorku, przyjęcie bardzo gościnne.

„Sun”, dziennik republikański, nie tak jednakże jak „Tribune”, prowadzony jest przez pana Karola Danę, byłego sekretarza w ministerium wojny pod prezydencją Lincolna. Urodzony w kraju Massachusetts, Dana jest prawdziwym Yankeeem, uwielbia swój kraj i służy mu gorliwie; jest to człowiek głębokiej nauki, wielkiej erudycji. Mówi bardzo czysto po niemiecku, po francusku, po włosku i zna literaturę tych krajów.

Tak w polityce, jak w życiu prywatnym Dana odznacza się niesłychaną poczciwością, wszyscy go też szanują; nawet sami nieprzyjaciele polityczni oddają hold jego prawości i szlachetności.

Te przymioty tak są rzadkie w Ameryce, że słusznie zwraca się na nie uwagę, gdy się je spotkać zdarzy.

W Europie powszechne jest mniemanie, że prasa w Ameryce kierowana jest przez cudzoziemców, Anglików, Holendrów lub Niemców. Mylą się. Wszystkie znaczniejsze dzienniki Nowego Jorku, oprócz, ma się rozumieć, dwóch dzienników francuskich: „Le Messenger Franco-Américain” i „Le Courrier des Etats-Unis”, jako też niemieckich, re-

dagowane są przez Yankeesów. Pan James Gordon Bennett jest wprawdzie Szkotem, ale mieszka w Stanach Zjednoczonych od pięćdziesięciu lat.

Doktor Pulnam, główny współpracownik „Heralda”, nie urodził się w Ameryce, ale przybył tam w dziecięcym wieku.

Pan Hudson, który długo przyczyniał się do powodzenia tego dziennika i pracował przy nim przez lat trzydzieści, przybył także bardzo młodo do Stanów Zjednoczonych.

„Tribune” jest prowadzona wyłącznie przez pana Horacego Greeley i przez pana Younga.

Pan Greeley rodem z Vermont, a zatem prawdziwy Yankee.

Ten pisarz jest najznakomitszą osobistością w Nowym Jorku, ma typ i charakter odznaczający się.

Podobny jest zarazem do Girardina⁶⁸ i do Veuillota⁶⁹.

Sąd jego sprawiedliwy i praktyczny, przewidywanie wypadków, wykazywanie ułomności i wad z rzadką przezornością są to przymioty, które go zbliżają do Girardina.

Posiada on naturalną trafność, lubi przybierać myśli w ekscentryczne, do żywego dojmujące, szumne frazesy, używa tytułów efektownych, wpływ jego polityczny dorównuje prawie temu, jaki Girardin wywierał we Francji, a raczej w Europie.

Przypomina zaś Ludwika Veuillot nie z bigoteryjnych idei, ale z cierpkości swojej polemiki.

Horacy Greeley jest małego wzrostu, łysy, twarzy mocno rumianej, nie nosi brody; oczy ma małe, złośliwe, żywy w odpowiedziach i dowcipny.

Zdaje się nie dbać o ubranie. Krótkie jego spodnie pozwalają widzieć sznurowane trzewiki i skarpetki, które na nie spadają; rękawy paletotu⁷⁰ przypominają rękawy studentów, którzy wyrosli; dochodzą mu do łokci.

Można go spotkać na ulicy bez kapelusza, bez krawata, jak robi miny i mówi do siebie na głos; ulicznicy gonią za nim i dopiero ich głośnie wybuchy śmiechu przypominają naszemu pisarzowi właściwe jego stanowisko; zdaje się spostrzegać, że nieporządnie ubrany i wstydzi się przed nimi.

Czy on jest oryginałem z natury, czy tylko przybiera oryginalność? *That is the question*⁷¹.

Pan Greeley objawia antypatię dla Francji i dla wszystkiego, co francuskie. Kiedy mówią przy nim o Paryżu, oczy jego błyszczą ponurym ogniem, nienawiścią.

Z jakiego powodu nienawidzi tak Francji?

Mogłabym na to odpowiedzieć i przekonać, że często rzecz błaha prowadzi do ważnych rezultatów, ale wolę zamilczeć.

Nic nie powiem o małej przygodzie, jaka spotkała tego dobrego Greeleya w Paryżu i która napełniła jego duszę zawziętą nienawiścią dla Francji.

Pan Young jest także Yankeeem; rodził się w Pensylwanii.

„World” zostaje pod kierunkiem pana Marble z Nowego Jorku i pana Henryka Hurlberta, także z Nowego Jorku.

Ten ostatni jest także jednym z najznakomitszych dziennikarzy Stanów Zjednoczonych. O nim można powiedzieć, że nie używa języka angielskiego, pisząc po angielsku, ale raczej francuskiego.

Język angielski jest bardzo bogaty, bardzo piękny, ale zbywa mu na giętkości i delikatności. Jest to język businessu w całym znaczeniu tego wyrazu. Jest on praktyczny, trafia do celu, krótki, zwięzły. Okazać w tym języku naukę, inteligencję, łatwo, ale być dowcipnym niepodobna.

Igraszki słów, gry zagadkowe, zwroty dowcipne, metafory poetyczne nie udają się wcale po angielsku.

⁶⁸ *Girardin, Émile de* (1802–1881) — francuski wydawca, dziennikarz i polityk; założyciel paryskiego dziennika „La Presse” (1836), pierwszej groszowej gazety we Francji. [przypis edytorski]

⁶⁹ *Veillot, Louis* (1813–1883) — francuski dziennikarz i literat, publicysta katolicki; od 1848 redaktor naczelny dziennika „L’Univers”, z którego uczynił masowe i wpływowe pismo konserwatywnego katolicyzmu. [przypis edytorski]

⁷⁰ *paletot* (fr.) — palto. [przypis edytorski]

⁷¹ *That is the question* (ang.) — oto jest pytanie (faza z początku monologu Hamleta w tragedii Szekspira *Hamlet*, akt III, scena 1). [przypis edytorski]

Język ten rzeczywiście wywarł wielki wpływ na charakter ludów, które nim mówią. I dlatego zwyczajną jest rzeczą znaleźć Anglika rozumnego, ale bardzo rzadką spotkać się z dowcipnym. Pan Hurlbert wszelako jest mądry i dowcipny zarazem, posiada nawet dowcip paryski; mówi po francusku jak mieszkaniec bulwaru i ma dar czynić język angielski nie tak ciężkim i grubym. Píše on, powtarzam, po angielsku, językiem francuskim. Artykuły jego są wysoko cenione i jego to posyłają po korespondencje do Europy. Te, które on przed kilkoma laty wysłał z Paryża, były zupełnie humorystyczne, i ten rodzaj nowy w Ameryce miał tam wielkie powodzenie.

Oryginalność nieznana jest w Nowym Świecie; mniemane zatem ekscentryczności amerykańskie, opowiadane w Paryżu, tak się zgadzają z prawdą jak pojedynki po amerykańsku.

Nie ma narodu w świecie, który by tak nienawidził pojedynku, jak naród amerykański. Pan Henryk Hurlbert jest jedynym może oryginałem w niepodobnych⁷² rzeczach.

Wynurza się z sympatią dla Napoleona III. Píše często długie artykuły do „World”, okazujące jak Francja i Francuzi są szczęśliwi z posiadania go... Próbował nawet pochwalić krok gwałtowny stanowiący o losie państwa... to znowu czasami z pozorną powagą wykrzykuje: „Ach, gdyby Amerykanie mieli Napoleona III, jakże byliby szczęśliwi!”

Powiedziałam już, że ten pisarz jest wielkim fantastykiem!

Ma on głęboką erudycję. Mówi i píše siedmioma językami i co rzadkie w jego kraju, nawet między pisarzami, zna gruntownie klasyków greckich i łacińskich.

Nie mogę oprzeć się chęci opowiedzenia jednej przygody, która mu się przytrafiła przed dwoma laty i podobała się szalenie. Pan Hurlbert jest rozumnym człowiekiem, wybacz mi tę małą niedyskrecję.

Był on jednego razu zaproszony na wielki obiad. Wino szampańskie i wszystkie nasze najlepsze wina zastawione były w obfitości na stole i lały się w kryształowe kielichy. Pan Hurlbert jest wstrzemięźliwy, ale tym bardziej narażony był na upojenie mieszaniną wina. O północy siedzieli jeszcze przy stole.

— Ach! — zawołał nagle dziennikarz — byłbym zapomniał o „Worldzie”! Mam posłać jeden artykuł o pierwszej (dzienniki przygotowuje się od ósmej wieczorem do drugiej rano, a wychodzą o szóstej).

Kazał sobie więc przynieść piór i atramentu i co prędzej na tym samym stole, przy najśmieszniejszej i najżywszej rozmowie zaczyna pisać swój artykuł. Dyrektor prosił go, żeby traktował o kwestii rzymskiej⁷³. Obok niego rozprawiano o kwestii francusko-pruskiej⁷⁴.

Pan Hurlbert píše więc z wielką werwą i dowcipem, szkoda tylko, że wino zagmatwało mu Bismarcka z Antonellim, z Prusaka zrobiło szambelana papieskiego, a z Antonellego ministra króla Wilhelma... Ren umieściło we Włoszech, Po między Prusami i Rosją. Zdaje mu się, że Yankees mówił o Paryżu i Mabilu — miesza papieża, króla Wilhelma, Napoleona III, sprawy meksykańskie, gaz, Tuilerie⁷⁵, gdzie wprowadza różne

Dziennikarz

⁷²*niepodobny* (daw.) — nieprawdopodobny, niemożliwy. [przypis edytorski]

⁷³*kwestia rzymska* — konflikt pomiędzy papieżami a państwem włoskim po przyłączeniu Państwa Kościelnego do zjednoczonych Włoch. Od poł. VIII w. Rzym był stolicą obejmującego środkowe Włochy Państwa Kościelnego, rządzonego przez papieża jako świeckich monarchów. Podczas walk o zjednoczenie Włoch większość terytoriów Państwa Kościelnego przyłączono do proklamowanego w 1861 Królestwa Włoch. Kiedy w 1870 armia króla Wiktora Emanuela II zajęła również Lacjum i Rzym, które po plebiscycie włączono do Włoch, papież Pius IX nie uznał aneksji, odrzucił nadane mu w tzw. ustawie gwarancyjnej przywileje i uznał się za „więźnia Watykanu”. Do dyspozycji papieskiej pozostała Bazylika Św. Piotra, pałac i in. budynki na Watykanie. Dopiero w 1929 faszystowski rząd Mussoliniego podpisał tzw. traktaty laterańskie, w których papieżstwo w zamian za rekompensatę finansową zrzekało się pretensji do terenów byłego Państwa Kościelnego, zaś rząd włoski uznawał papieża za suwerennego władcę wydzielonej części Rzymu, Państwa Watykańskiego. [przypis edytorski]

⁷⁴*kwestia francusko-pruska* — francuski cesarz Napoleon III Bonaparte starał się zapobiec dalszemu jednocieniu Niemiec pod przewodnictwem Prus, rządzonych przez króla Wilhelma I Hohenzollerna i rząd premiera Ottona von Bismarcka. W lipcu 1870 Napoleon III wypowiedział wojnę Prusom. W bitwie pod Sedanem (1 września 1870) skapitulował i oddał się wraz ze swą stutysięczną armią do niewoli, co stało się bezpośrednią przyczyną jego detronizacji oraz proklamowania III Republiki. Włochy wykorzystały wojnę francusko-pruską do zajęcia ziem papieskich, wcześniej skutecznie bronionych przez wojska francuskie wysłane przez Napoleona III. [przypis edytorski]

⁷⁵*Tuilerie* — paryskie ogrody i istniejący do 1871 pałac, położone między Lувrem a Sekwaną. [przypis edytorski]

osoby, i szczęśliwy, że wypełnił swoją powinność, skończył zadanie, posyła artykuł do drukarni.

Nazajutrz czytelnicy „Worlda” zdumieni czytają i nie pojmują, co to wszystko znaczy.

Pan Raymond, właściciel „Timesa”, pochodzi także z Nowego Jorku. Ten dziennikarz ma zdolności, jest to wymowny *speaker*⁷⁶, ale odznacza się częstą zmianą opinii. Dziś jest republikaninem, jutro demokratą, pojutrze radykalistą, stosownie do okoliczności. Kiedy publiczność zdaje się zanadto zdziwiona tymi nagłymi zmianami, pan Raymond staje przed zgromadzeniem narodowym i mówi:

— *Gentlemen, my dear gentlemen*⁷⁷, przyznaję, że przeszłego roku mówiłem, iż partia republikańska może uszczęśliwić naszą ojczyznę. Dziś odwołuję to: rzućcie się raczej w ręce demokratów, oni tylko mogą nas ocalić. Tak jest, zmieniłem zdanie, nie miejcie mi tego za złe, bo przejść z ciemności do światła nie jest występkiem.

Słuchacze śmieją się, niektórzy sykają. On zaś spokojny, uśmiechnięty, jak prawdziwy aktor nadrabia miną, szuka trafnego wyrażenia, usprawiedliwił się, zmiana przyjęta.

Słyszałam go na jednym posiedzeniu przed wyborem prezydenta, tłumaczył się, dlaczego zmienia opinie. Mowa jego trwała półtrzeciej⁷⁸ godziny pomimo przerywania głosów wołających: „Dosyć, inny mówca!”. On na to nie zważał, tylko uśmiechając się, podniósł głos i rzekł:

— *My dear gentlemen*, przedsięwzięłem mówić do was przez półtrzeciej godziny, pozostaje mi jeszcze jedna. Na próżno więc wołać będziecie „dosyć”, ja nie przestanę.

Publiczność, zrozumiałwszy dobrze ten argument przekonywający, uzbroiła się w cierpliwość.

Na tym samym posiedzeniu mówcy demokratyczni i mówcy republikańscy zbijali kandydatów przeciwnych tymi słowy:

— Seymour! Jak to! Chcecie mianować Seymoura? — wołali republikanie. — Ależ, szaleni! Czy nie widzicie, że Seymour ma usposobienie Napoleona Trzeciego, to nowy Cezar!

— Co znowu! — odpowiadali demokraci. — W tym, co mówicie, nie ma sensu. Czyż to nie Grant jest człowiekiem zdolnym do kroku gwałtownego, który może stanowić o losie państwa? On to będzie tym Napoleonem Trzecim naszego nieszczęśliwego kraju!

I tak przez dwie godziny mówcy silili się dowieść, jedni, że Grant, drudzy, że Seymour podobny jest do Napoleona III.

Mówcy humorystyczni starali się nawet wykazać podobieństwo fizyczne.

Zabawnie było słyszeć to wszystko.

„Journal of Commerce” prowadzi dwóch Amerykanów: pan Prime z Nowego Jorku i pan Stone z Massachusetts.

W wieczornych dziennikach żywioł cudzoziemski nie tylko nie panuje, ale nawet nie istnieje.

„Evening Post” ma za dyrektora dziekana poetów i dziennikarzy w Stanach Zjednoczonych, pana Bryanta, urodzonego w Massachusetts. Pan Bigelow, długo będący jego współnikiem, urodził się w Nowym Jorku.

Dziennikarze w Ameryce mogą ubiegać się o najpierwsze urzędy, szczególnie w dyplomacji. I tak pan Bigelow porzucił „Evening Post” dla objęcia godności przedstawiciela swego kraju w Paryżu jako minister.

Pan Webb, którego dziennik „Le Courier” złał się w jedno z „Worldem”, zajmował przez kilka lat urząd ministra amerykańskiego w Brazylii. Pan Julluan, dziennikarz demokratyczny, był ministrem w Chinach. Pan Pike, dziennikarz republikański, był ministrem w Hadze; a Jay „z Tribune” długo pełnił to samo urządowanie we Włoszech.

Na koniec James Gordon Bennett był mianowany przez Lincolna⁷⁹ ministrem w Paryżu, ale nie przyjął tej godności.

⁷⁶*speaker* (ang.) — mówca. [przypis edytorski]

⁷⁷*Gentlemen, my dear gentlemen* (ang.) — Panowie, drodzy panowie. [przypis edytorski]

⁷⁸półtrzeciej (daw.) — dwie i pół. [przypis edytorski]

⁷⁹*Lincoln, Abraham* (1809–1865) — amerykański polityk i prawnik, prezydent Stanów Zjednoczonych Ameryki podczas wojny secesyjnej; zginął z ręki zamachowca. [przypis edytorski]

Aby być dziennikarzem w Ameryce, trzeba mieć wysoką naukę, znać gruntownie politykę, jako też historię nowożytną wszystkich krajów Europy; obowiązani są umieć po francusku i po niemiecku; wielu z nich mówi po hiszpańsku i po włosku.

Panowie Karol Dana, Raymond, Hurlbert i Horacy Greeley wyszli z uniwersytetów Cambridge i Rochester; wszyscy prawie zwiedzili Europę, badali jej prawa i zwyczaje.

Amerykanin jest praktyczny. *Time is money*. Czyta jedynie to, co może mu przynieść jakąkolwiek korzyść.

Polemika między dziennikarzami bywa czasami bardzo zapalczą. Czytelnicy znoszą ją, jeżeli jest krótka, gdy jednak zacznie przybierać większe rozmiary, rzucają dziennik, mówiąc: „Po co nam tracić czas na czytanie obelg, jakie na siebie miotają, z tego nam nic nie przyjdzie, ani jednego centa na tym nie zyskamy”.

Politycy, kandydaci do urzędu prezydenta lub gubernatora, wszyscy na koniec ubiegający się lub zajmujący stanowisko polityczne podlegają złośliwości dzienników, które jednakże nie dotyczą ich życia prywatnego, jeżeli to nie daje powodu do zgorszenia.

Jeżeli zaś wysoki urzędnik popełni jakiś czyn niemoralny, pędzi życie lekkomyślne, rozpustne, wszystkie dzienniki wyświecają⁸⁰ jego postępowanie, dają mu przewiska, epitety najobraźliwsze. Publiczność przyklaskuje temu, bo wie, że ten człowiek nie stawia mężnie czoła wybuchowi opinii i zmuszony będzie podać się do dymisji.

Wszyscy zostający na górnych szczeblach drabiny społecznej, ci, którzy żyją z budżetu lub zajmujący jakieś stanowisko przez zaufanie ludu lub władzy, obowiązani są być wzorem poczciwości i cnót domowych.

Uczucie religijne bardzo jest rozwinięte w tej wielkiej rzeczypospolitej, ale panuje tu duch tolerancji; żaden dziennik nie znieważa nigdy religii nie swojej; ale jeżeli ksiądz jakiegokolwiek wyznania źle się prowadzi, nie lękają się go osławić⁸¹, mówiąc:

— Trzeba wypędzić z kościoła tę owcę parszywą przez wzgląd na dobro drugich!

Człowiek niezajmujący się polityką sądzi, że dzienniki nic o nim nie wiedzą; jeżeli atoli⁸² jakiś pisarz ośmielił się napisać coś nieprzyjemnego o kimś prywatnym, to gentleman ten nie posyła mu świadków, ale jeżeli obelga jest wielkiej wagi, wychodzi na róg ulicy, czatuje na wyzywającego i strzela do niego, po czym staje przed sędzią i wyznaje, jaką miał urazę do swojej ofiary. Kiedy go sądzą, opowiada przyczyny, dla których zabił tego człowieka...

Jeżeli obelga jest mniej ważna, ofiara uzbraja się w kij i okłada razami napastującego pisarza.

Jeden dziennikarz chciał kiedyś zaprowadzić w Ameryce rodzaj małej prasy gorszącej, która by dotykała wszystkiego, ale nade wszystko życia prywatnego różnych osób.

Zapewniano, że dziennikarz ten, dziś zgięty we dwoje, stał się garbaty od niezliczonych kijów, które wytrzymać musiał.

Kobiety jednakże żadnej, jakkolwiek by była, dziennikarz amerykański nie napastuje, gdyby bowiem ośmielił się mówić o kobiecie w sposób ubliżający, surowo niechybnie byłby ukarany.

Każdy może prowadzić dziennik, może swobodnie rozwijać w nim swoje teorie, umieszczać wszystkie opinie, wyrażać myśli, jakie mu przechodzą przez głowę. Z tego zamętu wychodzi światło, jest tam wiele myśli śmiesznych, niedorzecznych, ale wśród takich zdarzy się jedna dobra, praktyczna, ktoś ją sobie przyswoi, obleczie w ciało, nada jej cel.

Dzienników nikt nie prenumeruje, kupuje się je na ulicach podług wyboru. Skoro więc ten naród mądry i praktyczny dostrzeże, że dziennik jakiś zaczyna gorszyć, spotwarzać, zniesławiać, jeżeli wreszcie nie zawiera nic dobrego, użytecznego, to jakby idąc za hasłem, nikt nie kupuje już tego dziennika, wszyscy mówią o nim z pogardą.

Rzecz skończona, dziennik się przeżył — bez kupujących upadek zupełny.

Dziennikarz

Dziennikarz, Kobieta

⁸⁰wyświecać (daw.) — jasno wytykać, np. niewłaściwe zachowanie. [przypis edytorski]

⁸¹osławiać (przest.) — okryć złą sławą, spowodować, że ktoś stanie się słynny z powodu czegoś złego. [przypis edytorski]

⁸²atoli (daw.) — jednak. [przypis edytorski]

Przeciwnie, pismo przyzwoite, użyteczne, trafne prędko doznaje wzięcia; gdy zaś zmieni dążności, pomieści jakiś nieprzyzwoity artykuł, natychmiast obraca się w niwecz.

Wszystkie dzienniki w Nowym Jorku są kolosami.

Każdy prawie ma swoją osobną drukarnię, która należy do jego właściciela; drukarnia i biuro redakcji znajdują się w tym samym domu. Tym sposobem czasu się nie traci, pisarz pilnuje druku, poprawia korekty, w miarę jak je wyjmują spod prasy. Widziałam w ruchu prasy „Sun”, odbijały one sześćdziesiąt tysięcy egzemplarzy w przeciągu mniej niż dwóch godzin. Arkusz od razu drukuje się z dwóch stron.

„Herald” ma bogaty pałac na rogu placu Printing⁸³ i Broadwayu.

Wszystkie biura dzienników w Nowym Jorku znajdują się zresztą, co jest bardzo dogodne, na placu Printing. W tym widać duch praktyczny Amerykanina: „*Time is money*”.

Stręczyciele ogłoszeń, osoby mające do czynienia z kilku dziennikami, nie potrzebują chodzić na cztery końce miasta. Dziennikarze także mogą się łatwo widywać; to utrzymuje koleżeństwo.

Pałac „Heralda” jest wspaniały, cały z marmuru białego, eleganckiej budowy i kolosalnych rozmiarów. Kosztował on do dwóch milionów dolarów i cały zajęty na administrację tego dziennika.

Na dole od frontu są kantory sprzedaży i abonamenty na prowincję. Kasa mieści się po prawej stronie. W suterrenach umieszczona jest drukarnia. Zdaje się, że nawet w Anglii nie ma tak pięknej drukarni, tak doskonałej pod względem maszyn. Sto tysięcy numerów „Heralda” odbija się na godzinę. Pierwsze i drugie piętro zawiera ogromny apartament, służący na biura redakcji i administracji. Wydawca James Gordon Bennett rozwinął niesłychany zbytek w swoich osobistych gabinetach.

Trzeba mieć się na baczności w Ameryce, żeby nie nazwać dyrektora dziennika głównym redaktorem, należy mu się bowiem tytuł wydawcy; redaktorzy są to mało znaczący pisarze.

Kto ma urząd podobny do urzędu naszych redaktorów głównych we Francji, a przy tym jest właścicielem całkowitym lub częściowym, ten przyjmuje tytuł wydawcy.

Miałam listy rekomendacyjne do dwóch lub trzech wydawców, zaadresowane do pana N. N., głównego redaktora. Na to skrzywili się ci panowie.

— Ja, redaktor! Nie, ja jestem wydawcą — odpowiedzieli mi z kwaśną miną.

Obrót dzienników amerykańskich nierównie jest większy od francuskiego.

„Herald” przynosi bez względu na rok czystego dochodu dwieście tysięcy dolarów, przypuścimy jeden milion franków, a proszę pomyśleć, jak ogromne musi mieć wydatki.

Nie rachując lokalu wartego osiem milionów, najmuje nadto stu dwudziestu pięciu redaktorów lub korespondentów tak w Ameryce, jak w Europie. Wielu z tych pisarzy zarabia do stu tysięcy franków rocznie, a nie ma ani jednego biorącego mniej niż dwadzieścia pięć tysięcy franków.

W Nowym Świecie piszący może dojść do wielkiego majątku i znaczenia, nie ma tego smutnego widoku, żeby człowiek wykształcony, mądry, uczony i oddający prawdziwą usługę krajowi, tak był uważany i wynagradzany jak subiekt⁸⁴ w sklepie korzennym.

Należycie oceniony i wyposażony, pracuje też gorliwie i potrzeba nie zmusza go do nadużyć i niedelikatności.

Można powiedzieć, że ludzie należący do prasy i literatury biorą górę w Ameryce; lepiej są nawet uważani od senatorów i członków zgromadzenia.

Dziennik „World” ma także wzięcie ogromne, przynosi podobno rocznie sto tysięcy dolarów.

⁸³plac *Printing* — właśc. *Printing House Square* (ang. plac Drukarni), dawna nazwa południowego odcinka ulicy *Park Row* w Nowym Jorku, na Manhattanie, potocznie nazywanej *Newspaper Row* (ulica Gazetowa); znajdowały się tam kilkupiętrowe siedziby amerykańskich gazet (od 1875 budowano tam dla nich pierwsze w mieście wieżowce); niektóre z gazet, jak „*New York Herald*” i „*The Sun*”, znajdowały się w pobliżu, ale faktycznie nie na samej *Park Row*; od roku 1895 gazety przenosiły się do swoich nowych siedzib w innych miejscach, jako ostatnia „*Journal of Commerce*” w 1953. [przypis edytorski]

⁸⁴*subiekt* (daw.) — sprzedawca w sklepie. [przypis edytorski]

„Tribune” z wydawnictwa na prowincji ma czystego dochodu sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

„Sun”, zaprowadzony przez Karola Dana, od niedawnego czasu wyrobił sobie pozycję znakomitą i ta wzrasta z każdym dniem, ale Dana potrzebował do założenia go trzy miliony dolarów, piętnaście milionów franków. Cyfry te dowodzą, że nasze największe dzienniki francuskie nie mogą walczyć o pierwszeństwo z dziennikami amerykańskimi.

Rzecz godną uwagi, a zarazem dającą dokładne pojęcie o przyszłości Ameryki i jej postępie olbrzymim, jest wziętość prasy we wszystkich prowincjach. Każde miasto ma kilka dzienników, postawionych na dobrej stopie i wywierających wielki wpływ. (W Ameryce jest blisko dwa tysiące dzienników). W tej części świata nie znają centralizacji. Wszystkie dzienniki pomimo opłaty na nich nałożonej wzbogacają swoich właścicieli i akcjonariuszów i dobrze płacą pisarzom.

Wszyscy czytają w Ameryce: włościanin⁸⁵, prowadząc plóg, trzyma dziennik w ręku. Pastuch pilnujący trzody czyta dziennik.

Żebrak za pierwsze sou, które mu dano, kupuje dziennik; potem myśli o chlebie.

Dziecko siedmio- lub ośmioletnie także czyta.

Taki to naród zaiste powołany jest do odegrania wielkiej roli w świecie!

Pomiędzy najważniejszymi dziennikami na prowincji można wymienić dwa: „The Democrat” opinii republikańskiej, a za to „The Republican” demokratycznej.

Powtarzam, że wszystkie dzienniki prowincjonalne mogą rywalizować pod względem wpływu politycznego i wartości finansowej z dziennikami Nowego Jorku. Rzecz ciekawa, że jedyną prasą nic nieznaczącą pod względem wpływu politycznego i wartości finansowej jest prasa miasta stołecznego Waszyngtonu. Osoby tam mieszkające czytają wiadomości o kongresie w dziennikach Nowego Jorku.

Dziennik „Intelligence” mały wpływ wywiera, uważany jest za organ półurzędowy prezydenta. Kiedy tenże chce dać poznać swoją politykę bez ogłaszania jej, udaje się do tego pisma, które naśladuje w tym urzędową prasę wszystkich krajów.

Pomiędzy prasą południową a północną dotykana jest różnica.

Północna porywa się i napada nie na pojedynczego człowieka, ale na całą partię.

Południowa, przeciwnie, zbija raczej człowieka niż zasadę i przyczepia się do osobistości, nie do zasady.

Ta ostatnia miała zawsze mniej powagi od pierwszej, a od czasu wojny ważność jej coraz się zmniejsza. Dawniej „Enquirer” z Wirginii i „Charleston Mercury” były to dwie silne potęgi polityczne.

Badanie to byłoby niedokładne, gdybym nie wspomniała o osobistych ogłoszeniach (*personnals*). Pomysł czysto amerykański.

Myśl o personalach powzięta z „Heralda”; pierwszy ten dziennik wprowadził do Ameryki tę modę angielską.

W pierwszej kolumnie tego dziennika rozpościera się pod tym szczególnym tytułem, korespondencja najzabawniejsza. Personale te są w takim rodzaju:

My darling one! moja najukochańsza! Ja drzę jeszcze! Jak nieroztropni jesteście, zazdrośnik tylko co nas nie zeszedł. Ale nic nie szkodzi, jeżeli mnie kochasz tak jak ja ciebie, nie przestaniemy się widywać... Bądź na Green Street, jak wiesz, jutro.

W. L. J. *boxe*, 1212

Młody człowiek, przystojny, żywy i zręczny pragnie odbyć podróż po Europie dla swojej przyjemności, szuka towarzyszkę wesołej, grzecznej, mającej także usposobienie jak on. Pisać pod adresem:

L. K. S. *boxe*, 482

⁸⁵włościanin (daw.) — chłop; rolnik. [przypis edytorski]

Gdym jechał wczoraj omnibusem 422, Broadway, o godzinie drugiej, na rogu dwudziestej czwartej ulicy wsiadła do powozu bardzo miła panienska, obrała miejsce obok mnie, gdy niechcący noga moja dotknęła się jej nogi; ona się zarumieniła. Czy życzyłaby się ze mną poznać w celu poważnym, pocziwym? Proszę o słówko w »Heraldzie« pod adresem:

J. A. Dx.

Ta, którą nazywano Marią B., która miała przyjaciela Adriana C. gdzie się teraz znajduje? Adrian myśli o niej, niech napisze do niego słówko.

A. C. Boxe, 4845

Uwielbiam cię. Nic nie jest w stanie nas rozłączyć. Przybądź o drugiej godzinie North 41 St. Upředź o tym, kogo wiesz.

Wczoraj, Broom Street 125, dwie ladies przymierzały trzewiczki; trzech gentlemanów przyglądało się im przez okno. Czy te grzeczne panie nie życzyłyby sobie zabrać z nimi stosunki? Odpowiedź przez »Heralda«.

W. M. B.

Te personale przepisałam z jednego numeru »Heralda», 12 marca 1868.

Czytając je, łatwo wyobrazić sobie można, iż to są korespondencje miłosne w celu szukania szczęścia. Ach, jakaż omyłka!

Te pozorne anonse, uprzedzające dla kobiet, ukrywają hasło, język umówiony między licznymi złodziejami w Stanach Zjednoczonych. Wymyślili oni korespondencję pismem tajemnym. Każdy wyraz nie to znaczy, co myśli łatwowierny czytelnik. Ich wezwania, ich *rendez-vous*⁸⁶, nie są schadzkami miłosnymi; nie wzywają oni Kupidyndy, ale Merkurego⁸⁷; personale »Heralda» są ich prywatnymi telegrafami.

Policja poznała się na tym, ale zamiast zabraniać umieszczania podobnych anonsów zaczęła się uczyć tego słownika i dziś już znalazła klucz pisma; sama używa tych personalów dla pobicia własną bronią niejednego oszusta.

Niektóre osoby przybywające do Nowego Jorku, szczególnie Francuzi, bawią się przesyłaniem oświadczeń serdecznych za pośrednictwem tych anonsów, ale jak na złość żadnej nie odbierają odpowiedzi.

Tyle oddawszy pochwał dziennikom Nowego Świata, muszę jednakże zrobić im jeden zarzut sprawiedliwy.

Pierwsze stronicie poświęcone są tam doniesieniom wszelkiego rodzaju, literatura stanowi część przydatkową, trzeba jej szukać między tymi śmiesznymi ogłoszeniami, gubi się ona w nich i zdaje się upokorzona swym losem.

Nowy Jork posiada dwa doskonale dzienniki francuskie: »Le Messenger Franco-Américain», którego dyrektorem jest pan de Mareuil, i »Le Courrier des Etats Unis».

Dwa te dzienniki mogłyby walczyć o lepsze z najlepszymi naszymi dziennikami politycznymi Paryża.

ROZDZIAŁ III. 122 SEKTY RELIGIJNE W AMERYCE

Zaprawdę, powiadam wam, stary świat pozostał w tyle; Amerykanie są zwiastunami przyszłych wieków.

Zasługują oni pod każdym względem na nazwę ludzi dwudziestego wieku. Rycerstwo! historia starożytna! — nie znają tego nawet z nazwy.

Idee przyjęte i nakazane zwyczajem? Przesady!

Nie myślcie jednakże, iż je podeptali nogami, nie; oni to wszystko szanują, ale z dziwną zręcznością umieją obracać na własną korzyść!

⁸⁶*rendez-vous* (fr.) — umówione spotkanie; schadzka. [przypis edytorski]

⁸⁷*Kupidyndy, Merkury* (mit. rzym.) — Kupidyndy to bóg miłości, zaś Merkury był patronem kupców i złodziei. [przypis edytorski]

Talleyrand⁸⁸ był tylko naiwny w porównaniu z ludźmi Nowego Świata.

Tartuffe⁸⁹ to głupiec, mający dobre zasady, ale nieumiejący chować ich w sekrecie, odkrywał całą swoją duszę Elmirze.

Amerykanie są kuci, bardzo kuci. Praktyczność ich przechodzi wszelkie granice. I tak: nie ma wolnomyślicieli w Ameryce... bo to rzecz niepraktyczna; religia jest płaszczem wygodnym i łatwym do noszenia dla ludzi obrotnych!

Wolnomyśliciele! Ależ takiego ciągle biorą na egzamin, śledzą jego życie, szukają w nim zgorzenia, bojaźliwie, lecz z nieporównaną gorliwością; pełno ma nieprzyjaciół. Gdy tymczasem świętoszek to co innego; wierzą ślepo jego cnotcie.

Amerykanie są pobożni, bardzo pobożni, czynami to pokazują.

Lubią moralność, ciągle o niej mówią; są surowymi bigotami nawet.

Nie znajdziesz między nimi ateuszów, wszyscy wierzą w Boga. On jest wielki, nieskończony i wszechmocny, mówią; trzeba go wielbić w każdej godzinie życia.

Ale myślą także, iż jeżeli miło jest służyć Bogu, to i diabłu czasem zakadzić nie wadzi.

Temu czarnemu szatanowi jednakże służyć trzeba ostrożnie, nie zanadto, bo nabywa się w takim razie reputacji łotra i traci szacunek u ludzi pocziwych; a szacunek jest potrzebny.

Szukali więc sposobu takiego zachowania się, żeby nie stracić dobrej opinii, a nie przyjmując zarazem upokorzeń, jakie ona za sobą pociąga. Powiedzieli sobie, że dać wolny bieg wszystkim namiętnościom, wszelkim wadom, używać uciech, nie będąc za nie karany pogardą, byłoby to tym nowym postępowaniem, tym *nec plus ultra* postępowaniem!

Szukali i... znaleźli...

Tak, powtarzam, Tartuffe, którego nie znają nawet z nazwiska, był wielkim niezgrabieństwem przy nich.

Dla dopięcia swego celu Amerykanie tego trzymają się przepisu; jest on może nie bardzo uczciwy, ale za to dowcipny.

U nich Bóg, cnota, moralność są na usługach namiętności i występku.

Stworzyli oni sekty religijne przedstawiające wszystkie wady, rozpusty, niemoralności, jakie tylko wymyślić i wymarzyć może imaginacja ludzka.

Odgrywa się sztukę.

Każdy wybiera sektę schlebającą niemoralnościom, do których największy ma pociąg, i jest gorliwym jej wykonawcą.

Proszę go nie nazywać rozpustnikiem, bo odpowiedziałby dumnie i surowo:

— Panie, ja pełnię swoją religią!

Gdyby kto chciał przekonywać ich, że właśnie ta religia służy im do nieprawości, nazwałiby go nietolerantem.

Dzięki temu dowcipnemu wymysłowi religii zezwalającej na wszelkie instynkty niezrządne, żądze urojone, złe namiętności, nie ma najmniejszej niemoralności w Ameryce; są tylko sto dwadzieścia dwie sekty religijne pozwalające na wszelką rozpustę możebną i niemożebną.

Nie ma tam ludzi niemoralnych, są tylko pobożni i gorliwi wykonawcy sekt.

Trzeba widzieć, z jakim błogosławionym zapalem każdy wypełnia religię przez siebie obraną!

Trzeba widzieć, jak ci mistrze świętoszkowie gorszą się demoralizacją Europy! Jaki grad obelg spada codziennie z ich ust na lekkomyślność obyczajów francuskich!

Bo Francja szczególnie jest przedmiotem ich potępienia.

Uświęć rozpustę! Taka myśl, zaiste, nie przyszła by nigdy do głowy narodowi francuskiemu; jest on w samej rzeczy trochę lekkomyślny, ale oddajmy mu tę sprawiedliwość, że nie zapiera się swoich wad, swoich nawet występków.

O, wielka różnica między Francuzem a Amerykaninem.

Francuz niekiedy chce się wydać gorszy, niż jest rzeczywiście. Pobożny odgrywa czasem rolę wolnomyśliciela, cnotliwy pozwoli uważać się za niemoralnego. Nie chęłpi się

Religia, Pozory

⁸⁸Talleyrand, właśc. książę Charles-Maurice de Talleyrand-Périgord (1754–1838) — francuski dyplomata i polityk; zasłynął jako inteligentny, cyniczny i bezwzględny pragmatyk, pełniąc funkcje agenta dyplomatycznego lub ministra spraw wewnętrznych kolejnych rządów: Dyrektoriatu, Napoleona, Burbonów i Ludwika Filipa I. [przypis edytorski]

⁸⁹Tartuffe — główny bohater komedii Moliere *Świętoszek*. [przypis edytorski]

z cnoty, ukrywa ją nawet. Yankees przeciwnie, mając ciągle na języku cnotę, moralność, nie jest ani cnotliwy, ani moralny; jest on udanej skromności, surowy, aby ukryć swoją niemoralność, jest to Don Juan⁹⁰ przysięgający, że nie dla swojej przyjemności uganiania się za pięknosciami, ale jedynie dla zachowania przepisów swojej religii.

Nie ufam ludziom mającym ciągle na ustach wyrazy: honor, cnota, moralność; być pocziwym, cnotliwym jest rzeczą tak naturalną, że nie ma o czym mówić.

Przesada w praktyce pobożności oburza mnie zawsze, bo zdaje mi się, że jedynie ma na celu ukrywać jakieś nieczne postęпки.

Tym uczuciem nieufności wiedziona, odkryłam przyczynę surowości ludu amerykańskiego.

Słyszałam ich zawsze mówiących tylko o moralności, o obowiązkach, o cnocie; widziałam ludzi zatopionych w Bogu, drażliwych na najmniejsze słówko wolnomyślicieli.

W dziennikach czytałam długie artykuły o rozpuszcie i bezbożności narodu francuskiego. Porównują Paryż z Sodomą i Gomorą. W niedzielę tylko Biblię widzieć można w rękach u wszystkich.

Pomyślałam sobie: to nienaturalne... zbyt wiele przesady, to musi coś ukrywać. Zaczęłam badać. Amerykanie starają się przekonywać, że nowy świat jest jedną religijną gminą, zajęta wyłącznie swoim zbawieniem...

Kiedy byłam już na tropie jednej sekty, bardzo gorszącej, starali się mnie zmylić, a kiedy żądałam wyjaśnienia, dawali mi je niedokładne albo zwracali rozmowę na inny przedmiot.

Ale jeśli kobieta chce... jeżeli Bóg tego nie chce, to przynajmniej diabeł jej pomoże. Udało mi się dojść prawdy o wielu z nich. Są takie, o których mówić niepodobna; a chociaż we francuskim języku wszystko się da omówić, domyślić, nie czuję się jednakże na siłach dać o nich pojęcie.

Takiego rodzaju jest np. sekta Oneida. Posiada ona rozległy zakład w stanie samego Nowego Jorku; jest to gmach wystawiony na wzór pałacu wersalskiego. Są tam prześliczne ogrody. Pałac ten, a raczej klasztor jest zamieszkały przez tysiąc pięćset kobiet i mężczyzn przyjętych do tej sekty. Wszyscy mogą ich odwiedzać, cudzoziemcy mile są tu widziani, wolno im nawet zabawić tam kilka dni, jeżeli zechcą.

Członkowie tego wyznania nie kryją się z nim, wszelkie praktyki odbywają jawnie, chętnie tłumaczą je cudzoziemcom. Nadto rozpisali broszurki traktujące z surowością biblijną o uczynkach pobożności ich religii; posyłają te pisma do domów, są one i w księgarniach. Jednakże jeżeli przybywszy do Nowego Jorku, zapytasz się w jakimś salonie, co to jest sekta Oneida, to ci odpowiedzą:

— Oneida? *What it is? I do not know*: Co to jest? Nie wiem.

Niedawno, już w Paryżu, mówiłam o Ameryce w jednym domu, znajdował się tam jakiś Yankees osiadły w Paryżu; zwrócił się do mnie:

— Zapewne pani znalazła nasz kraj bardzo moralnym? Niepodobny on do Francji?

— Bardzo moralnym... — odpowiedziałam — to rzecz względna!

— Jak to, względna? Wszakże u nas nie ma ani lorettek⁹¹, ani kokotek⁹². Nasze małżeństwa nie są tak gorsze jak francuskie, kobiety nasze surowej cnoty.

— Tak, to prawda — odpowiedziałam — kobiety u was nie znają nieprawej miłości, bo mają rozwód, nie macie kokotek ani młodych rozpustników dla prostej przyczyny, że mężczyźni lękający się łańcuchów małżeństwa, panny nieczujące powołania na matkę i żonę wstępują po prostu do sekty *free love* (wolnej miłości).

Nie do smaku było Amerykaninowi widzieć, że nie byłam olśniona pięknymi pozorami surowości ich obyczajów; rzekł też z niechęcią:

— *Free love* liczy zaledwie cztery lub pięć tysięcy zwolenników.

— Być może, ale niech każda ze stu dwudziestu dwóch sekt, które macie, liczy po cztery lub pięć tysięcy, a utworzy się porządna liczba ludzi niemoralnych!

⁹⁰*Don Juan* — legendarny uodźiciel, XVI-wieczny szlachcic hiszpański, bohater wielu dzieł literackich i muzycznych. [przypis edytorski]

⁹¹*loretka* (daw.) — kobieta z półświatka paryskiego; od nazwy zamieszkiwanej przez wiele z nich dzielnicy Matki Boskiej Loretańskiej, zbudowanej wokół kościoła o tej samej nazwie. [przypis edytorski]

⁹²*kokotka* a. *kokota* — kobieta lekkich obyczajów; prostytutka. [przypis edytorski]

— Niemoralnych!... Mających inne pojęcia religijne, chce pani powiedzieć — odparł żywo ten Yankee, coraz więcej urażony.

— Lecz przynajmniej pan, że w Oneidzie na przykład religia bardzo małą rolę odgrywa, a rozpusta wielką.

— Oneida! *What it is that?* — powiedział.

— Jedna z waszych sekt.

— *I do not know!* — odpowiedział także.

Przed pięciu minutami mówił mi, że obszedł pieszo cały stan Nowego Jorku w celu podziwiania i kopiowania pięknych krajobrazów!

Czyż jest choć jeden paryżanin, który by przynajmniej z nazwy nie znał parku wersalskiego?

Oneida jest najpiękniejszym zamkiem, najcudniejszym parkiem w Nowym Jorku.

Nic tak nie gniewa Amerykanina, jak kiedy widzi, że ktoś nie wierzy ślepo surowości obyczajów jego ojczyzny. Ten jegomość znienawidził mnie. Jak mnie tylko spostrzeże, przyspiesza kroku; rozumiem, to upiór Oneidy tak go ode mnie odstrasza. Przekonana jestem, że mówiąc prawdę o tych sektach, opisując ich niemoralność, zniechęcę wielu do siebie; ale nie dlatego zrobiłam przeszło dziewięćset mil, piłam lemoniadę, jadłam pomidory i surową kapustę przez trzynaście miesięcy, żebym nie miała powiedzieć, co widziałam, opisać tak dobro, jak zło.

Wymyślić jakąś religię jest to w modzie w Ameryce, jest to sposób zwrócenia uwagi na siebie; w takim razie nie uchodzi się tu bynajmniej za wariata ani za oszusta, ale za proroka.

Bardzo jest wielu takich, którzy utrzymują, że mają objawienia; zapewniają, że są w ciągłej rozmowie z Bogiem. Słuchający ich, jedni uśmiechają się, drudzy wzruszają ramionami, niektórzy mówią:

— Wszystko to być może! W Biblii pełno dowodów na to, że Bóg często udziela się ludziom. Możliwość objawienia się boskiego jest artykułem wiary.

Wierzę zresztą, że niektórzy z tych ludzi mówią szczerze, że mają objawienia. Umysł podrażniony rzeczami niezrozumiałymi dla natury ludzkiej: Bogiem, nieskończonością, przyszłością, myśl ciągle natężona ku pojmowaniu tego, zgłębiająca bez ustanku tajemnice bóstwa musi wprawiać ich w stan gorączkowy, a trwając w rozdrażnieniu nerwowym, stają się na koniec wariatami lub obłąkanymi, co na jedno wychodzi. Wtenczas biorą oni marzenia, fantazje swojej imaginacji za rozkazy Boskie.

*

Pan Harris urodził się z nieprzewyższonym powołaniem na proroka.

Nie próbował też sprzeciwiać się temu powołaniu, i owszem:

Poddany angielski, przybył od najmłodszych lat do Ameryki, chcąc znaleźć tu, jak mówi, wolność sumienia. Zaczął badać wszystkie religie i sekty Nowego Świata, zrazu podobał mu się uniwersalizm, następnie ogłosił, że daje pierwszeństwo racjonalizmowi.

Jednakże i ten ostatni niedługo zajmował jego umysł niespokojny, szperający; Harris przeszedł do pozytywizmu.

Niedawno na koniec ustanowił nową religię, którą nazwał broktonizmem. Jest to mieszanina trzech systemów: uniwersalizmu, racjonalizmu i pozytywizmu. Nazwa tej nowej sekty pochodzi od wsi Broktos, gdzie Harris mieszkał, nad brzegiem jeziora Erie.

Harris nie ma jeszcze wielu adeptów, ale siedemdziesięciu pięciu jego wyznawców należy za to do całego świata. I tak jest tam dziesięciu Anglików, jeden Belgijczyk, czterech Irlandczyków, dwóch Szkotów, dwudziestu dwóch obywateli Stanów Zjednoczonych, dwóch Japończyków, trzech Hindusów, jeden Peruwianczyk, dwóch Brazylijczyków, dwóch Turków, jeden Arab i jeden Chińczyk.

Najdoskonalsza zgoda i jedność panuje między tymi ludźmi różnych ras, obyczajów i wychowania; zapewniają oni, że przyjdzie dzień, a jest on niedaleki, w którym Broktos będzie punktem środkowym światła, którego promienie oświecą cały świat.

Jedna z ich idei jest racjonalna i postępową; to jest praktyka i teoria kosmopolityzmu i mieszanie ras; tylko ponieważ w Broktosie nie ma małżeństw zastrzeżonych prawem, ponieważ zawierane z miłości są przemijające i krótkotrwałe, jedna i ta sama matka rodzi

dzieci ze skośnymi oczyma lub z oliwkową barwą skóry, lub na koniec z białą i różową cerą synów mglistego Albionu⁹³.

Dzieci te wychowywane są wspólnym kosztem gminy; mają tylko jedną matkę, a siedemdziesięciu pięciu ojców; nazywają oni tym słodkim imieniem każdego z członków sekty broktonizmu; ci zaś wspólni ojcowie pielęgnują wszystkie te dzieci, zrodzone z hańby, którą chcieli uświęcić, a która nie przestaje być obrzydliwa.

Wszyscy mężczyźni tej sekty uprawiają ziemię, są dobrymi rolnikami, mają wielkie folwarki pięknie utrzymywane; kobiety zajmują się tylko gospodarstwem.

*

Sekta *free lovistów* (zwolenników i praktykujących wolną miłość) ma swoją część miasta w Nowym Jorku i rozgałęziona jest w całych Stanach Zjednoczonych.

Taką jest teoria tych sekciarzy:

„Miłość jest nawet samą istotą Bóstwa; miłość odróżnia człowieka od zwierzęcia. Człowiek łączy się przez miłość, zwierzę przez instynkt bydlęcy. Pierwszy poniża się, traci istotę bóstwa, gdy się żeni bez miłości, utrzymują oni. Przypuśćmy, że dwie osoby pobrały się ze skłonności; przyjdzie zawsze chwila, w której jedna z nich przestaje kochać; czasami obie czują, że zgasła w ich sercu miłość, tymczasem węzły małżeńskie nie pozwalają iść za miłością czystą, świętą, jedynie godziwą, tą iskrą boską, która w nich leży; muszą się oddać miłości zwierzęcej i człowiek stworzony na obraz Boga znika, a człowiek-zwierzę natomiast powstaje.

Dzieci zrodzone z takich związków są istotami zaledwie podobnymi do człowieka stworzonego tchnieniem boskim i to dlatego rodzaj ludzki chyli się do upadku moralnego i fizycznego, i jeżeli zamiast dziewięćset lat, jak żyli patriarchowie Biblii, średnia długość życia dochodzi lat czterdziestu, to z tej przyczyny, że człowiek teraz nie bywa rodzony z miłości, ale z instynktu zwierzęcego lub gwoli przymusowego dopełniania obowiązku z jednej strony, a poddania się z drugiej”.

Oto co piszą, o czym rozprawiają publicznie *free loviści*.

Religia ich nakazuje mężczyźnie i kobiecie obowiązek łączenia się podług serca, zawieranie małżeństwa na pewien tylko czas, które może zostać zerwane, skoro jedna ze stron kochać przestaje. Kto by był oskarżony o małżeństwo bez miłości, staje się przedmiotem pogardy i uważany za niegodnego należeć do świętej religii *free lovistów*.

W samym początku tej nowej sekty zamykano drzwi porządnych domów przed kobietami, które zostały jej zwolenniczkami i żyły podług tych zasad; ale te, nie tracąc dobrej miny i ze śmiałością godną lepszej sprawy, zaprowadziły dzienniki, rozrzuciły broszury, zwołały meeting i zawołały z oburzeniem:

— No i cóż? Czy jesteśmy w Rzymie? Pod jarzmem duchowego despoty? Czyż nie znajdujemy się w wielkiej Rzeczypospolitej, która ogłosiła wolność sumienia? Możnaż⁹⁴ to nazwać wolnością, kiedy nie mamy prawa pełnić religii, która nam się zdaje najlepsza? Czyż ta mniemana moralność może przytłumić sumienie? Nie, wolność sumienia, aby była nieograniczona, zupełna, nie powinna mieć moralności za dozorcę. Moralność jest rzeczą warunkową. Wy znajdujecie, że wolna miłość, jest niemoralna; my uważamy miłość obowiązkową małżeństwa za potworną, za czyn rozpusty niczym nieusprawiedliwiony. Nasza moralność jest wzniosła, pochodzi ona z istoty boskiej, wasza zaś jest nikczemna, czysto ludzka. Zazdrościcie nam, my doszliśmy do stopnia doskonałości moralnej, która wam jeszcze jest nieznaną; uwielbiajcie nas, starajcie się stać godnymi przyłączyć się do *free lovistów*, ale strzeżcie się nami pogardzać! ...

Śmiałość prawie zawsze popłaca. Amerykanie pomyśleli sobie:

— W samej rzeczy ci ludzie mają słuszność; jeżeli oni tak postępują jedynie dla spełnienia swojej religii, to nie mamy prawa im nic mówić, każdy jest wolny.

I dzisiaj młoda Amerykanka, zapytana, czy jest mężatką, odpowiada bardzo naturalnie:

⁹³*Albion* — dawna nazwa Wysp Brytyjskich występująca u pisarzy staroż., później stosowana jako literackie określenie Anglii. [przypis edytorski]

⁹⁴*możnaż* — konstrukcja z partykułą *-że*, skróconą do *-ż*; znaczenie: czy można, czyż można. [przypis edytorski]

— Nie, ja należę do sekty *free lovistów*; my uważamy małżeństwo za akt niemoralny.

Robi więc co chce, zmienia przedmiot miłości, jak jej się podoba, nikt jej za to nie gani, przyjmowana jest wszędzie; już to nie jest młoda osoba źle się prowadząca, ale młoda osoba należąca do sekty *free lovistów*, cała rzecz...

Czyż niesłusznie powiedziałam, że Amerykanie silniejsi są w logice niż nieboszczyk Talleyrand?

Ta sekta rozgałęziona jest, jak już mówiłam, w całej Ameryce. Dwie najgłówniejsze ich kolonie są: Berlin Heights i Modern Times⁹⁵. Pierwsza położona w Ohio, druga ważniejsza od pierwszej, leży na Long Island, blisko Nowego Jorku.

Zapewniają, że przyjdzie czas, w którym oni staną się panami świata, a wtenczas rodzaj ludzki się odrodzi, rozum się wzmoże, ciało wypięknije, stanie się silne; żyć będą wszyscy bardzo długo.

Trzeba oddać jedną sprawiedliwość, jedyną na którą zasługują zwolennicy *free love*.

Mężczyźni są dyskretni, milczący jak grób. Nigdy nie mówią ani też dadzą poznać po sobie, że ta lub owa kobieta ich kochała.

Kobiety także są dyskretnie. Nie robią plotek jedna na drugą, zajęte tylko swoim sercem i swoimi interesami, nie wtrącają się do drugich.

Sekta ta ma za dewizę: „Żadnych pytań!”.

Ten przepis jest literalnie spełniany i to czyni zgorzenie cokolwiek mniejszym.

*

Dziwna rzecz, iż sekta, prawie ta sama w teorii i praktyce, istnieje w dolinie Nahr el-Kebir.

Mówiłam o niej w dziełku pod tytułem: *Wschód i jego plemiona (l’Orient et ses peuplades)*. Ta sekta nie była znana w Europie, bo mały kącik ziemi, położony o dwadzieścia pięć mil od miasta słynnego z niezdrowych wyziewów, nie bywa zwiedzany przez podróżnych. Zresztą ci sekciarze są bardzo dyskretni pod względem religii i jej wykonywania. Znajdując się wśród ich wiosek, nikt by nie przypuścił, że należą do innej religii niż mahometańska.

Turcy, którzy opanowali Syrię i Palestynę, znają powszechnie dziwną religię nazarianów⁹⁶, ale wołają o tym milczeć, szczególnie przed Europejczykami. Wstyd im, że Turcy, ich współrodacy, mogli przyjąć tak dziwaczne wyznanie.

Dzięki zręczności mojego przewodnika w Libanie opowiedziano mi i poznałam tę sławną sektę; użyłam do tego nawet kłamstwa:

— Chcę — powiedziałam im — nauczać waszej religii we Francji, bo mi się ona jako kobiecie bardzo podoba.

Uwierzyli mi z łatwością.

Teorie *free love* i nazarianów mają więc wiele podobieństwa. Jednakże nie sądzę, żeby Amerykanie, założyciele sekty Nowego Świata, wiedzieli nawet o istnieniu tych stu tysięcy mieszkańców doliny Nahr el-Kebir, a tym mniej o ich wyznaniu i praktykach pobożności.

To dowodzi, że jedna i ta sama myśl, mądra czy szalona, rozumna czy niedorzeczna, powstaje jednocześnie w umysłach wielu ludzi. Sekta, o której mówić będę, daje nam tego drugi niezaprzeczony dowód.

*

Trzy reformy religijne pokazały się jednocześnie w Niemczech, w Anglii i w Ameryce.

⁹⁵*Modern Times* — utopijna wspólnota istniejąca od 1851 do 1864 w stanie Nowy Jork, w Stanach Zjednoczonych, kierująca się zasadą wewnętrznej samowystarczalności i wymiany produktów pracy między mieszkańcami bez zysku; po rozpadzie wspólnoty mieszkańcy postanowili zmienić nazwę wioski na Brentwood. [przypis edytorski]

⁹⁶*nazarianie* (w oryg. fr.: *Nasariens*) — nusajryci, dziś częściej: alawici, grupa etniczno-religijna wywodząca się z szyickiego islamu, powstała w IX w., zamieszkująca głównie Syrię, a także Liban i pld. Turcję; utrzymywali szczególnie swoich wierzeń i praktyk religijnych w tajemnicy przed obcymi i nie w pełni wtajemniczonymi, co prowadziło do różnych plotek na ich temat. [przypis edytorski]

Utworzono trzy sekty oparte prawie na jednakowych zasadach i dziwna rzecz, założyciele tych sekt nie znali się wcale i nie wiedzieli o ideach puszczonej w obieg przez innych; spotkali się atoli w myśli dość dziwacznej, jak zobaczymy.

Ebel w Niemczech przy pomocy swoich uczniów zaczął nauczać nowej religii, która, jak mówił, jest samą istotą umysłu odrodzonego, uświęconego przez modlitwę i kontemplację.

Henryk James Prince głosił także swoje zasady w Sommersetshire w Anglii i mówił to samo co Ebel w Niemczech.

Na koniec ksiądz Noyer⁹⁷ podniósł głos w Ameryce dla rozszerzenia swoich przepisów; wszyscy trzej przysięgali, że te przekonania były owocem rozumu oczyszczonego i uświęconego przez modlitwę i kontemplację.

Ci trzej prorocy, nasi współcześni, zapewniali i zapewniali, że przyjdzie nowa generacja, że oni są jej zwiastunami, że wszyscy źli ludzie będą porwani tchnieniem oczyszczającym, że tylko wierni pozostaną, będą połączeni z Bogiem i wolni od poznania zła.

Powstanie drugi Adam, który zabije starego Adama grzechu i ciała. Ten Adam będzie miał doskonałość moralną, zupełne pojmowanie rzeczy przyszłego życia; będzie on w stosunkach z Bogiem, żyć będzie podług Jego natchnień.

Ci trzej prorocy zapewniali więc, że to oni już są tymi ludźmi odrodzonymi, uświęconymi, wolnymi od zła; nauczali nadto, że pierwsze niebo jest odtąd na ziemi, każdy wierzący tam wchodzi i w tym niebie musi kierować się nowymi prawami.

Przeszłość religijna, społeczna i moralna miała być przez nich w niwecz obrócona.

— Wszystkie te prawa, te instytucje — mówili — dobre były dla ludzi starych, nie mogą zaś się podobać ludziom odnowionym (wyrażenie przez nich przyjęte).

Prawa, wyroki, polityka, własność, małżeństwo podług nich są rzeczy przeżyte.

Jedną z najciekawszych ich teorii jest ta:

Małżeństwo uważają oni za akt społeczny krótkotrwały, ponieważ śmierć zrywa umowę.

I widocznym jest, że w obecnym stanie rzeczy mężczyźni, żeniąc się, myślą, o połączeniu się tylko na czas życia. Mówią oni:

— Małżeństwo jest czasowe, nie ma żadnego związku z życiem przyszłym.

Prorok Ebel wołał:

— Mężczyzna może połączyć się z kobietą na czas życia, ale prawdziwi oblubieńcy nie ograniczają się do doczesności; umarliby z boleści na samą myśl, że ich związek nie będzie wieczny.

Nie, prawdziwe małżeństwo, jedynie godziwe, zasługujące na tę nazwę jest to, które się zawiera na całą przyszłość, małżeństwo duszy z duszą.

Trzech ludzi myślało jednocześnie, że małżeństwo nie powinno się kończyć z życiem, ale ma trwać ciągle... ma być wieczne!!!

Dziwię się, że mężczyźni byli tego zdania, wprawdzie nie byli to Francuzi! Taka myśl z pewnością nie powstałaby w głowie francuskiej! Zresztą przyznaję, wchodzić w związki małżeńskie na całą wieczność to przerażające; trzeba by namyślać się wieki całe na coś podobnego.

A zatem z teorii Ebla, Noyera i Prince'a taki można zrobić wniosek, że teraźniejsze małżeństwa nie mają nic stałego ani poważnego, bo są tylko związkami ciała i interesu; można je dlatego zrywać i unieważniać, nie przeszkadzają one bynajmniej do zawierania drugich małżeństw duszy z duszą na całą wieczność.

Ta moralność umysłu wyższego podobała się sentymentalnym Niemkom; niejedna młoda miss angielska znalazła poezję w tych opiniach. Ebel i Prince mieli licznych zwolenników; wiele młodych kobiet zaczęło szukać mężów duchowych (*spiritual's husband*, trzeba by powiedzieć: mąż dla duszy).

Niemcy i Anglicy roztrząsali tę teorię z wielką powagą, słyszano nawet kaznodziejów głoszących z ambon, że aby związek kobiety z mężczyzną był uważany za prawdziwe

⁹⁷ksiądz Noyer — zapewne John Humphrey Noyes (1811–1886): amerykański przywódca religijny, założyciel Społeczności Oneida (*Oneida Community* 1848–1881), najbardziej udanej utopijnej socjalistycznej wspólnoty w USA; odrzucono w niej tradycyjne małżeństwo jako formę legalizmu, od której chrześcijanie powinni być wolni, a także jako instytucję egoistyczną, w której mężczyźni sprawują prawo własności nad kobietami; Noyes początkowo zamierzał zostać duchownym i wstąpił do seminarium. [przypis edytorski]

małżeństwo, powinien być zawierany w widokach wieczności, dusze mają się łączyć, nie ciała!

W Ameryce powodzenie wielbego ojca Noyera było ogromne, w krótkim czasie miał on licznych zwolenników...

Lecz zapytano się, co robić z małżeństwami już zawartymi? Ha! Nie radząc się nikogo, ani w Niemczech, ani w Anglii, ani w Ameryce, pozwolono na istnienie małżeństw czasowych z wolnością zawierania innych ostatecznych... to jest: mieć jedną żonę na tym świecie, z którą by rozdzielał nas grób, a drugą na tamtym; te ostatnie nazwano: *spiritual's wifes*.

Prorocy dali przykład tych małżeństw podwójnych, ale tu przekonano się, jak natura ludzka tryumfuje nawet u tych ludzi po trzykroć świętych; ani jeden nie wybrał sobie na *spiritual's wife* żony, z którą był złączony, chociaż wolno było zawierać z tą samą kobietą małżeństwo duchowe; wszyscy wybrali inną na małżonkę duszy; kobiety poszły także za tym przykładem, i one chciały zmiany!

W Niemczech ta sekta religijna nazywała się *ebelizmem* lub gminnie⁹⁸ *muckers*. W Anglii *lampeser* lub *princkeckis*, w Ameryce zaś ma nazwę *spiritual's wifes*. Pauline's Church główny jej kościół w Nowym Jorku. W Massachusetts Noyer liczy wielu adeptów. Zabawnie żyć między tymi ludźmi. Mąż mówi dnia jednego do swojej żony:

— Moja najukochańsza, muszę cię porzucić, moja *spiritual's wife* wzywa mnie do Waszyngtonu, dusze nasze potrzebują się porozumieć.

— Dobrze, mój drogi, jedź — odpowiada żona — podczas twojej nieobecności ja także udam się w podróż z moim *spiritual's husband*, któremu mam również wiele rzeczy do powiedzenia.

Zdarza się, że w salonie pan domu przedstawia ci swoją żonę; wtem przybywa śliczna dziewczyna, on ściska jej rękę z zapalem, następnie odchodzą oboje na bok i rozmawiają po cichu serdecznie. Widząc twoje zdziwienie z tego szczególnego zachowania się, małżonka, prawdziwa żona albo raczej materialna, bo tamta jest rzeczywista, oświeca cię, mówiąc:

— Ta młoda osoba jest żoną duchową mojego męża.

W Ameryce ta sekta miała wielkie powodzenie między kobietami; wiele z nich zaczęło rozszerzać teorie księdza Noyera.

Panna Lucyna d'Umphreville z Delphi pierwsza nauczwała w Nowym Jorku, że małżeństwo na ziemi nie stanowi małżeństwa w niebie, że pobyt nasz na tym świecie jest zaledwie jedną chwilą wobec wieczności, a zatem potrzeba się troszczyć wyłącznie o szczęście małżeńskie na tamtym świecie i ci, którzy by zaniedbali wybrać sobie męża lub żony na całą przyszłość, byliby skazani na wieczne bezżeństwo!

Luggie Doten, Cora Hatech, Mary Lincoln poszły za jej przykładem. Te panie, młode i ładne, ze świętym ogniem wiary w naukę, jaką głosyły, miały ogromne powodzenie i licznych zwolenników. Do ustnych nauk przyłączyły piśmienne, wydawały broszury. Wkrótce założyły własny kościół. Mężczyźni zaczęli szukać duszy stworzonej dla ich duszy — panny szukały małżonków niebieskich; zaręczano się na ziemi, celem złączenia się w niebie.

Ustanowiono święta nazwane religijnymi: *prayer's meeting love*. Podczas tych uroczystości zasady miłości niebieskiej były wykładane; to miało miejsce w r. 1835. Dziś sekta Noyera liczy bardzo wielu zwolenników, szczególnie w stanie Nowego Jorku i w Massachusetts.

Sekciarze dzielą się na perfekcjonistów i spirytualistów.

Próbują łączyć chrześcijaństwo, korzystając z jego nieznanych początków, ze sławnymi agapami⁹⁹, twierdząc, że kościół uświęcił te uroczystości miłosne, upoważnił je nazwą sympatii jednej płci do drugiej, z których wyradza się miłość niebieska i wieczna.

Z tych pojęć, z tych teorii powstały wolne związki.

*

⁹⁸ *gminnie* — tu: pospolicie, potocznie. [przypis edytorski]

⁹⁹ *agapa* — wspólny posiłek pierwszych chrześcijan, „posiłek miłości” (od gr. *agape*: czysta, bezinteresowna miłość). [przypis edytorski]

Robert Owen¹⁰⁰ z New Lanark w Szkocji, mając także chętkę zaprowadzenia sekty, przebył ocean, aby znaleźć w Ameryce wolność rozszerzania swoich nowych idei.

W Waszyngtonie dał się on słyszeć po raz pierwszy. Przepowiadał świat nowy, ludzi odrodzonych.

Robert Owen usiłuje stworzyć nową instytucję, nazwaną Harmonią. Do kobiety należy stworzyć harmonię powszechną. Każda powinna podobać się, zachwycać i uszczęśliwiać jak najwięcej mężczyzn.

Robert Owen doznał wielkiego wzięcia, a gdy zaproponował założyć miasto New Harmony w Indianie, wiele rodzin z Bostonu i Nowego Jorku okazało gotowość pójścia za nim. Socjaliści i filozofowie, wchodząc w myśl proroka, rozpoczęli zaciętą wojnę z Piśmem Świętym; powstałi gwałtownie na wszystkie ustawy społeczne, szczególnie na małżeństwo. Głosili, że wszystkie majątki powinny być wspólne, miłość wolna, małżeństwa wolne i rozwód.

Syn Roberta Owena, Dale Owen powtarzał także teorie swego ojca.

A ponieważ żona, zdaje się, jest koniecznym żywiołem dla każdego nowatora, Dale Owen wziął sobie za towarzyszkę Franciszkę Wright.

Ta młoda swobodna para zaczęła przebiegać Amerykę.

Małżonka nauczała głosem pełnym natchnienia, z wielkim powodzeniem i więcej miała adeptów jak jej małżonek.

Rozwodziła się nad teorią, nienową zresztą, że ziemia jest zanadto zaludniona, że trzeba starać się o zmniejszenie liczby dzieci; po wtóre, że małżeństwo, takie jakim go kościół mieć chce, czyni kobietę niewolnicą i że trzeba je znieść koniecznie w imieniu wolności.

Dale Owen stał się jednym z pierwszych obywateli Stanów Zjednoczonych. Był on naczelnikiem partii demokratycznej, od której odłączył się, gdy powstała kwestia Murzynów. Pierwszy on prawil energicznie o zupełnej równości między ludźmi, bez względu na płeć i kolor skóry. Głosił śmiało równość między białymi i czarnymi, między kobietą i mężczyzną, mężem i żoną.

Franciszka Wright wraz ze swoim towarzyszem napisali dziełko w tym przedmiocie i można powiedzieć, że oni to pierwsi podnieśli kwestię rasy czarnej i emancypacji kobiet.

Zaprowadzili dziennik „Free Enquirer” dla popierania swoich opinii...

Oboje rzucili wiele myśli trafnych obok zboczeń i niedorzecznych teorii.

*

Sekta Fouriera¹⁰¹ znalazła zwolenników w Ameryce.

Wojciech Brisbane przybył do Francji uczyć się tych nowych zasad, i, powróciwszy do Nowego Jorku w 1842 r., zaczął je rozszerzać. Nalegał na zupełną wolność dla obojg¹⁰² płci... Niektórzy z bogatych bankierów złożyli fundusz do rozporządzenia nowatora i założone zostały kolonie na zasadach Fouriera: jedna w Vermont County, druga w New Jersey. W tych dwóch koloniach osiadło sto pięćdziesiąt osób.

Wszelka religia była tu odrzucona, zastąpił ją materializm. Wspólnie uprawiano ziemię, prowadzono handel, z którego dochód należał do wspólnej kasy. Żony były także wspólne, ale ponieważ miały prawo wybierać mężczyzn, a dawały zawsze pierwszeństwo młodym i pięknym, nie podobało się to starym i nieurodzivym. Niemający dzieci sądzili, że nie słuszną jest rzeczą żywić cudze bębny¹⁰³; pracowici oskarżali leniwych; nareszcie

¹⁰⁰Owen, Robert (1771–1858) — walijski działacz socjalistyczny, pionier ruchu spółdzielczego; w 1824 wyjechał do Stanów Zjednoczonych i wykupił od niemieckiej grupy luteriańskiej osiedle Harmony w stanie Indiana, gdzie założył utopijną wspólnotę (New Harmony); po dwóch latach przedsięwzięcie zakończyło się fiaskiem jako projekt radykalnych zmian, jednak wywarło pewien wpływ na społeczeństwo amerykańskie: mieszkańcy założyli pierwszą bibliotekę publiczną oraz szkoły publiczne dostępne dla kobiet i mężczyzn, a miasto stało się ośrodkiem nauk przyrodniczych. [przypis edytorski]

¹⁰¹Fourier, Charles (1772–1837) — francuski socjalista utopijny; zamiast państwa proponował niewielkie wspólnoty zwane falansterami; na falanster miały się składać obszary rolne, park, zabudowania gospodarcze i obszerny budynek, gdzie żyłoby i wspólnie pracowało półtora tysiąca osób obojga płci i wszystkich potrzebnych wspólności profesji; głosił, że konieczną reformą jest równouprawnienie kobiet (jako pierwszy użył terminu feminizm w 1837). [przypis edytorski]

¹⁰²obojg płci — dziś: obojga płci. [przypis edytorski]

¹⁰³bęben (daw., pot.) — małe dziecko, dzieciak. [przypis edytorski]

wszyscy oddali się lenistwu, żeby z pracy pilnych nie korzystali próżniacy. Słowem, wielki nieład wkradł się do obydwóch kolonii, nareszcie zbankrutowały one zupełnie.

Lecz jeżeli uczniowie Fouriera nie mieli powodzenia, nie wina to komunizmu, ale po prostu tego, że Ludwik Cabet, Fourier i Considérant nie oparli swoich teorii na religii.

Pomiędzy mieszkańcami góry Libanon rozróżnić można dwie sekty: *shakersów*, czyli kwakrów¹⁰⁴, i perfekcjonistów, chociaż różnią się oni mało w pojęciach religijnych.

Shakersi zajmują małe wioski podobne do ślicznych gniazdek; wokoło nich ogrody, domy okryte pnącymi się roślinami. We wszystkich otwartych oknach kwiaty i białe muślinowe firanki. Kobiety ubierają się skromnie ale z gustem, suknie ich, jak dom, nadzwyczaj czyste; przepędzają czas na smażeniu konfitur, które bardzo są poszukiwane w Ameryce. Wiele z nich zajmuje się perfumerią: wyciskają one sok z kwiatów i robią z nich sławne esencje, co im przynosi wiele zysku.

Mężczyźni tej sekty, jak zapewniają, są najlepszymi rolnikami i ogrodnikami w świecie; przekonałam się o tym, jedząc ich przewyborne owoce, smaczne jarzyny i widząc, w jaki sposób utrzymują swoje ogrody.

Religia *shakersów* zawiera dość zabawne pojęcia. Wierzą oni w powtórne zstąpienie Chrystusa na ziemię; mniemają, że wyraz „zmartwychwstanie” nie stosuje się do życia na innej planecie ani w tej nieskończoności nazwanej niebem, ale że człowiek zmartwychwstanie na ziemi i że ten, który prawdziwie zmartwychwstanie, znajdzie tu raj.

Perfekjoniści wierzą także w powtórne przyjście Chrystusa, które miało nastąpić w siedemdziesiątym wieku naszej ery. Zadaniem ich jest zmierzać zawsze i ciągle ku doskonałości. Utrzymują oni, że człowiek ma w sobie dwa żywioły: zła i dobra, i że jak dojdzie do zniweczenia żywiołu zła, staje się człowiekiem odrodzonym i odtąd używa wiecznego szczęścia.

Wszyscy ci ludzie, na wzór niektórych pokoleń krajowców Ameryki, mają wielkie spichrze, w które składają swoje zbiory; każdy tu czerpie podług potrzeby. Mają bank, w którym wszyscy składają pieniądze, a który pod dozorem wybranych przez głosowanie członków robi obroty pieniężne celem powiększenia kapitału.

Mówią, że perfekjoniści, tak jak i *shakersi*, są bardzo bogaci. Małżeństwa nie ma u nich — miłość wolna; dzieci wychowują się kosztem gminy.

*

The Great Harmony, Wielka Harmonia, jest to sekta złożona z samych fanatyków; ci ludzie zbijali wszystkie sekty i religie. Głosili, że nie mają żadnego związku z ludźmi i ideami starego świata. Religia ich powstała, jak mówią, z boskiego wysilenia rozumu ludzkiego, uwolnionego z okowów ciała.

Założycielem tej sekty jest szewc nazwiskiem Andrew Jackson Davis. Wystąpił najprzód z napisaniem grubej książki wyjaśniającej teorie i idee które wprowadzał w użycie, z zapewnieniem, że są prawdziwie jego własne. Lecz zdaje mi się, że to oświadczenie nie jest wiarogodne: książka ta jest kradzieżą literacką, lichą parodią dawnej, lecz oryginalnej księgi Swedenborga¹⁰⁵, pod tytułem: *Arcana coelestia*, o prawdziwym niebie na ziemi. Jest tam cały szereg marzeń mistycznych może, ale posuwających mistycyzm do najwyższych rozkoszy.

Nim zacznę mówić o Szwedzie Swedenborgu, skończę o szwecu Davisie. Zaprzeczał on całej historii rodzaju ludzkiego; nauczał, że przeszłość jest niczym, terażniejszość i przyszłość wszystkim, prawił o wolności umysłu, ale myślał o sposobie użycia go dla zarobienia pieniędzy. Powtórzył teorię Swedenborga o duchach, które mogą obcować z ludźmi i oświecać ich. Ale mniej dbając o przekonania jak o zysk z pieniędzy, przebiegał Amerykę, przywoływał aniołów umarłych, żądając od nich tylko rady lekarskiej lub

¹⁰⁴*kwakrzy* — chrześcijańska wspólnota o nazwie Religijne Towarzystwo Przyjaciół, wywodząca się z purytanizmu, silnie akcentująca rolę osobistego wewnętrznego objawienia, głosząca pokojowe zasady i prostotę sposobu życia; prześladowana w XVII w. spowodowała ich emigrację m.in. do Stanów Zjednoczonych; popularnie byli określani prześmiewczo jako kwakrzy (z ang. *quakers*: drżący), co miało się odnosić do fizycznych reakcji towarzyszących praktykom doświadczenia mistycznego. [przypis edytorski]

¹⁰⁵*Swedenborg, Emanuel* (1688–1772) — szwedzki naukowiec, filozof i mistyk; twórca doktryny związanej z wizjami Sądu Ostatecznego oraz koncepcji płciowego Anioła jako stadium rozwoju duchowego człowieka. [przypis edytorski]

miłosnej i sprzedawał te rady bardzo drogo. Duchy, które przyzywał, przyniosły mu blisko cztery miliony dolarów, które pozwoliły mu już nie robić butów. Adeptów sekty Davisa i sekty Swedenborga jest więcej niż cztery miliony w Ameryce... Stoly się tam kręcą, tak że można dostać zawrotu głowy. Co niedziela zwolennicy zgromadzają się w wielkich salach *ad hoc*¹⁰⁶. Jakiś mężczyzna lub kobieta ukazuje się na katedrze i zaczyna przywoływać to jednego, to drugiego ducha, a kiedy duch przybędzie i da natchnienie mówcy, wtedy tenże opowiada rzeczy najmędrze lub najniedorzeczniejsze, w miarę powagi wezwanego ducha.

Słuchają wszyscy ze skupieniem. Rzecz godna uwagi: wszystkie duchy zgadzają się na to, że małżeństwo jest rzeczą niemoralną, że łączy ciało i krępuje wolność.

Sekta Davisa składa się szczególnie z Barnumczyków, Amerykanów praktycznych, gotowych wszystko przyjąć, co by tylko przyniosło pieniądze.

Między adeptami sekty Swedenborga są ludzie znakomici, uczeni, profesorowie i wiele kobiet.

Wiara ich posunięta do fanatyzmu; żartować jest rzeczą niebezpieczną, bo w razie potrzeby wzywają na pomoc dusze bohaterów vendetty korsykańskiej.

Swedenborg, urodzony w Sztokholmie, syn biskupa luterskiego, ukończywszy świetnie nauki, okazał wielkie zdolności do nauk przyrodzonych i zamilowanie do metalurgii, o której pisał nawet dzieła, mianowany został dyrektorem kopalni przez Karola XII roku 1714. Wkrótce potem został członkiem Akademii Sztokholmskiej i członkiem honorowym Akademii Petersburskiej.

Niespodzianie ten uczony oznajmia, że ma objawienia i rozmawia z duszami.

Na szczęście ówczesni tamtejsi doktorzy obłąkanych nie podobni byli do paryskich z roku pańskiego 1870, gdyż sławny uczony byłby niechybnie zamknięty w Charenton¹⁰⁷. Swedenborgowi pozwolono rozmawiać z duszami. Te nadały mu misję odrodzenia chrześcijaństwa.

Najprzód zaczął rozpowszechniać swoje zasady przywoływaniem duchów.

Następnie wykazał, jakie trzeba porobić zmiany w religii chrześcijańskiej. Wydał o tym dzieło bardzo ciekawe. Oto legenda, którą opowiedziała mi o nim jedna piękna Szwedka. Mówię legenda, bo nie znalazłam tej historii w żadnej książce o Swedenborgu.

Kochał on namiętnie jedną piękną dziewczynę. Miał już lat czterdzieści, ona zaledwie czternaście; oświadczył się o jej rękę; rodzice nie zezwolili na ten związek z powodu nierówności wieku.

Kochankowie jednakże widywali się po kryjomu w pawilonie położonym na końcu ogrodu blisko mieszkania młodej osoby. Kiedy wszyscy spali w domu, dziewczyna wymyślała się, cała drżąca, obwinięta w biały szal, co czyniło ją podobną do upiora, i schodziła się ze swoim lubym, który przeprawiwszy się przez parkan, czekał już na nią w pawilonie. Księżyc łagodnie oświecał kochanków swoimi bladymi, srebrnymi promieniami. Jednego dnia Ira napisała końcem ostrza szczyryka na stole te wyrazy: „Przysięgam, że będę twoją żoną lub niczyją”.

Swedenborg napisał także: „Ty jesteś i będziesz jedyną moją kochanką na ziemi i w niebie”. I oblubieńcy stwierdzili ustną przysięgą to, co napisali.

— Gdybym jednak umarła — powiedziała Ira — nie dochowałbyś mi wierności?

— Gdybyś umarła przede mną, moja ukochana, przysięgam ci na moją duszę, że żadna kobieta nie zyskałaby mojego serca ani nawet spojrzenia. Czekalibyśmy niecierpliwie śmierci, która by mnie z tobą połączyła.

We dwa miesiące potem Ira wpadła w niebezpieczną chorobę płucową. Czując się coraz gorzej, prosiła rodziców, żeby przyprawdzili tego, którego kochała. Nie odmawia się nic umierającemu. Wezwano więc Swedenborga. Pożegnanie było rozdzierające. Ira chciała dać mu na pamiątkę medalionik, który nosiła na szyi, ale on prosił jej jak o największą łaskę, aby mu dała stolik, na którym zapisali przysięgi. We dwa dni potem Ira leżała w zimnym grobie, a kochanek jej na całą pociechę miał ten drogi stolik, na którym jego ulubiona skreśliła słodkie wyrazy tklivej miłości. Dwadzieścia razy na dzień całował to pismo, oblewał je łzami. Był niepokieszony w swojej boleści przez cały rok.

¹⁰⁶*ad hoc* (łac.) — bez przygotowania. [przypis edytorski]

¹⁰⁷*Charenton* — szpital wariatów w Paryżu. [przypis tłumacza]

Aż jednego dnia jakiś przyjaciel zabrał go do teatru.

Bawiła wtenczas w Sztokholmie aktorka, bardzo piękna, przyjaciel przedstawił go jej. Aktorka była kobietą, a zatem trochę kokietką. Znała ona smutną historię miłości Swedenborga. Postarała się więc o to, żeby Irę zapomniał. A była śliczna, zachwycająca. Przychodził często do teatru, później do niej i wkrótce nie myślał już o nieboszczce, lecz zapragnął być kochany przez tę kobietę. Zaczął jej się zalecać; ona, przebiegła i zręczna, umiała opierać się długo dla podniecenia miłości. Jednego razu na koniec przyjęła jego zaproszenie na herbatę do siebie. Przybrał więc świątecznie całe swoje mieszkanie, ozdobił je prześlicznymi kwiatami, oświetlił, słowem, postarał się, żeby przyjęcie godne było bogini, która go miała odwiedzić. Wtem spostrzegł stolik, i wyrzut sumienia jak błyskawica przeniknął jego serce... Ale usłyszał dzwonek, to była ona...

Czym prędzej postawił stolik w kącie; przyćmiewał on zbytkowne jego meble. Aktorka weszła, a rozmawiając i przyglądając się ciekawie wszystkiemu, położyła kapelusz właśnie na tym stole. I zdziwiona zapytała:

— Dlaczego pan postawiłeś w salonie ten skromny stolik?

Zmieszał się Swedenborg. Aktorka patrzyła na niego. Instynktem kobiety odgadła, że to była pamiątka, pamiątka po rywalce, a gdy on, zakłopotany, usiłował zmienić rozmowę na inny przedmiot, ona z wytrwałością prawdziwie kobiecą w podobnych razach, nie opuszczała stolika, przyglądając mu się ciekawie.

— Dosyć, figlarko — wołał — chodź do mnie i powiedz mi lepiej, że przekonana jesteś, iż kocham cię szalenie i że ty także choć trochę mnie kochasz.

— Pan mnie kochasz? Przysięgnij!

Przysięgnął.

— O, ja jestem niedowierzająca, nim wyrzeknę sama „kocham”, chcę być pewna, bardzo pewna, że posiadam serce pana.

— Cóż mam zrobić, powiedz, abyś uwierzyła?

— Trzeba — rzekła — położyć rękę tam, na tym stole, i powiedzieć: Biorę go za świadka, że cię kocham!

Swedenborg zbladł przy tym, zachwiał się, ale Koryna tak była piękna, bardzo piękna! Ira, biedna Ira została pokonana, położył rękę na stole i zaczął:

— Przysię...! — nagle zatrzymał się, bo za dotknięciem stół zadrżał, poruszył się i dało się słyszeć coś podobnego do łkania... Swedenborg stracił głowę. Wypędził Korynę z domu.

— Prędko, prędko, wychodź stąd! Nienawidzę cię! Ja miałbym cię kochać! Nie, nigdy! Czy słyszysz Irę, moją słodką Irę, która płacze z żalu, że złamałem przysięgę!

Koryna uciekła, nie wiedząc, czy Swedenborg oszalał, czy dom jego jest zaczarowany!

On zaś powrócił do swego stołu, oblał go łzami, przeproszał Irę... I od tego to dnia zaczął wierzyć w duchy i obracać stoliki. Dusza Iry przychodziła z nim rozmawiać, objawiała mu tajemnice tamtego świata za pośrednictwem stolika.

Żadna już kobieta nie usłyszała z jego ust słówka miłosnego, a w trzydzieści pięć lat potem, czując się bliskim śmierci, kazał połamać stolik i kawałki złożyć przy sobie w mogile.

Między innymi książkami o obcowaniu z duchami pozostawił *Arcana coelestia, de coelo et inferno, ex auditis et visis*, wydane w roku 1758. W dziełach swoich opowiada rozmowy z aniołami i diabłami. Pomiedzy aniołami, o których mówi, jeden szczególnie zdaje się napełniać jego duszę czułością nie do wypowiedzenia i to przekonywa mnie, że legenda o Irze zgadza się z prawdą.

W roku 1771 wydał dwa dzieła teologiczne, w których każe wierzyć w dwa światy odrębne: materialny i duchowy. Twierdzi on, że Pismo Święte zawiera trzy znaczenia: naturalne, duchowe i niebiańskie, czyli boskie. „To ostatnie — mówi — jest nieznanne” i dopiero on ma objawić je ludziom.

Znalazł wielu stronników w Szwecji, następnie poszedł nawracać do Anglii.

Przed śmiercią założył kościół nazwany Jerozolimą Niebieską.

Dziś jeszcze wielu jest Swedenborgistów w Szwecji i Anglii, nawet w Indiach.

Ta sekta ma i w Ameryce licznych swoich zwolenników.

W Stanach Zjednoczonych, szewc Davis upowszechnił spirytyzm mniej wzniosły, nie tak mistyczny jak Swedenborga; ten ostatni ma uczniów w Kanadzie, a Kanadyjczy- cy uważają Davisa za prostego Barnuma, pospolitego złodzieja literackiego, który okradł boskiego i natchnionego Szweda.

Byłam obecna przy wielu doświadczeniach spirytystycznych w Ameryce. Oto rezultat jednego z najciekawszych.

Pewien Kanadyjczyk, człowiek bardzo uczony, znakomity pisarz pan H. L. na prośby moje zaczął przyzywać duchy. Drganie jakieś dało się czuć w stole.

— Jak się nazywasz, piękny duchu? — pytamy się, kładąc palce na literach.

— Pani de Girardin¹⁰⁸ — odpowiadają drgania stolika.

Pochylamy głowy przed duchem tej znakomitej i ślicznej kobiety. Pan H. L. mówi ze wzruszeniem:

— O, ona jest równie dobra, jak mądra, wie, że ją kochałem. Niegdyś nie mogłem czytać jej książek bez gwałtownego wzruszenia; i jeżeli pragnąłem jechać do Paryża, to dlatego, że chciałem ją poznać, a przynajmniej zobaczyć. Jak tylko dowiedziałem się o jej śmierci, przywołałem jej ducha. Przybył na moje wezwanie i wysłuchał wyznania mojej miłości.

— Ja także — odezwałam się do pięknego ducha tej najpiękniejszej kobiety — jestem jedną z pani wielbicielek. Na dzisiaj zrób mi łaskę i nie słuchaj oświadczeń twojego starego kochanka, a powiedz mi coś o świecie, na którym jesteś, i gdzie ja sama pójdę niedługo.

— Cóż chciałabyś wiedzieć? — odpowiedział stół.

— Czy wolno mi zapytać, gdzie jesteś w tej chwili i z kim się znajdujesz?

— Siedzimy na pięknym obłoku bladoróżowym. Jestem w towarzystwie Józefa Armand, Leona Sylvain i Musseta¹⁰⁹.

Dwóch pierwszych imion nie znałam, ale ostatnie mnie zaciękało.

— Co robi Musset na tamtym świecie? Jak mu się tam podoba?

— Jest nieznośny i niegrzeczny dla mnie, która szukam jego towarzystwa. Wyobraź sobie, że ciągle spogląda na ziemię i zajęty tym, co się na niej dzieje; bardzo roztargniony na naszym świecie.

— Czy nie byłabyś łaskawa wyjaśnić mi w języku trochę zrozumialszym dla mnie, słabej śmiertelnicy, co to jest dusza i co się czuje w jej stanie?

Takie zadałam pytanie, a oto dosłowna odpowiedź:

— W stanie, w jakim ty się znajdujesz, czujesz swoje ciało, ono jest dotykalne, widzialne; duszę zaś, to jest myśl, wolę czujesz niedokładnie. Ta częśćka ciebie samej istnieje, chociaż jest niedotykalna. Aby ci dać lepiej zrozumieć, powiem ci, że jak pomyślę o jakimś ulubionym napoju, natychmiast doznaję takiego uczucia, jakbym go piła rzeczywiście. Kiedy matka moja zbliża się do mnie i całuje, ten pocałunek, którego ująć nie mogę, taką mi sprawia rozkosz, jak kiedy za jej życia i mojego, usta jej dotykały mej twarzy... Kiedy czegoś zapagniemy, doznajemy uczucia, jakim napełniało się nasze serce za życia przy spełnieniu tego życzenia; zdolni jesteśmy tylko czuć przyjemność, rozkosz, nigdy zaś zmęczenia i nudy... Kiedy chcę iść tu lub tam, zobaczyć to lub owo, natychmiast jestem tam, gdzie zapagnęłam, i widzę to co, zażądałam; nasze ciała, chociaż niedotykalne, istnieją przecież, ale zamiast być materią, są światłem... Czy rozumiesz?

Tak, rozumiem, niebo opisane przez panią Girardin wydaje mi się logiczne i ponętne, aż chęć bierze umrzeć jak najprędzej...

Te frazesy¹¹⁰ przepisałam dosłownie, jak stół je dyktował; ani pan H. L., ani ja nie mieliśmy czasu ich układać, bo drgania szły tak prędko, że pisaliśmy pośpiesznie litery wskazane, nie wiedząc, jak te litery tworzyły wyrazy a te znowu zdania.

Ale poprzestanę na tym — rzecz to zbyt śliska — słyszę szyderczy śmiech niedowiar- ków... Pomówmy o kwakrach, pozostawiając na boku niebezpieczną kwestię spirytyzmu.

¹⁰⁸ Girardin, *Delphine de* (1804–1855) — francuska autorka powieści, poetka, dramatopisarka; w swoim salonie podejmowała ważne postacie ówczesnego świata literackiego, m.in. Gautiera, Balzaca, Musseta, Hugo. [przypis edytorski]

¹⁰⁹ Musset, *Alfred Louis Charles de* (1810–1857) — francuski poeta i pisarz, wybitny przedstawiciel romantyzmu. [przypis edytorski]

¹¹⁰ frazes (daw.) — zdanie, zwrot; dziś: stwierdzenie bez głębszej treści, slogan. [przypis edytorski]

*

Kwakrzy to wcale nie zabawni ludzie. Nosili niegdyś strój oryginalny, dziś niepotrzebnie porzucili tę oryginalność i zostali tylko najnudniejszymi ludźmi z wymuszoną powagą.

Ubranie ich, którego próbki znajdują się jeszcze w Bostonie, składało się dla mężczyzn z wielkiego kapelusza formy hiszpańskiej z niezmiernie szerokimi skrzydłami, z surduta *à la turque*¹¹¹, zapiętego aż pod brodę... Dziś noszą, z miną zawsze poważną, na głowie rury kominowe, tak nazwane panamy, pantaloney¹¹² popielate lub białe, krawaty czerwone lub niebieskie... ale nikomu się nie kłaniają, nie używają żadnych formułek grzeczności, mówią wszystkim „ty”.

Kobiety nosiły suknie wełniane czarne, fartuszki jedwabne zielone, a na głowie czarne przykrycie. Kostium ten miał dosyć wdzięku i stosowny był do surowej, poważnej postawy kwakierek. Teraz prócz bardzo małej liczby te panie ubierają się tak jak kobiety w Europie, tylko udają większą prostotę i nie noszą biżuterii.

Najciekawszą rzeczą w tej sekcie jest sposób, jakim wywołują przyjście natchnienia boskiego.

Zgromadzają się wszyscy, mężczyźni i kobiety razem, w świątyniach, ogromnych salach bez żadnej ozdoby, zachowują najgłębsze milczenie i spokojność, starają się nawet nie myśleć o niczym.

To skupienie ducha, ta cisza, przy której mucha nawet słyszeć się daje, trwa często godzinę i więcej; nareszcie jakiś kwakier lub kwakierka powstaje nagle; całe ciało drży konwulsyjnie (dlatego nazywają ich drżącymi), to znaczy, że duch ich nawiedza. Wszyscy więc zwracają się do niego lub do niej, z wolna drżenie ustaje, a natchniony zabiera głos. Słuchają go ze skruczą, to Bóg mówi przez jego usta...

Przeciwni są wszelkim sakramentom, wszelkim obrządkom zewnętrznym, nie mają ani modlitw, ani kaznodziejów oddzielnych, bo pierwszy lepszy z nich natchniony staje się kaznodzieją.

Byłam dwa razy w ich świątyni i za każdym razem słyszałam i widziałam kobietę natchnioną duchem bożym.

Kwakrzy mają ten przywilej, że wierzą im na słowo w sądach, nie zmuszając do przysięgi, co zresztą zakazane jest w ich religii...

Wojna podług nich jest ohydną ustawą i sprzeciwia się przykazaniom boskim... Dlatego nigdy w niej nie biorą udziału.

Potępiają także polowanie, gry, taniec, teatr, nie lubią nawet śpiewu.

Pomimo to mają opinię poczciwych ludzi, usłużnych, pełnych miłości bliźniego. Ta sekta była założona w Anglii przez szewca Foxa w roku 1649, pod nazwą: Towarzystwo Chrześcijańskie Przyjaciół. Krzewicielami jej byli: Wilhelm Penn, Robert Barclay i Samuel Fisher.

Prześladowanym, zamykanym jak wariaci w Anglii, wolna Ameryka dała u siebie gościnne schronienie. Wilhelm Penn, ich naczelnik w Ameryce, osadził tych wszystkich emigrantów w stanie Pensylwania i na Rhode Island. Dziś można liczyć do pięciuset tysięcy kwaków w Ameryce. Miasto Filadelfia jest prawie wyłącznie zamieszkałe przez tych sekciarzy; obyczaje ich są podobno czyste i surowe. Chcę temu wierzyć. Nowa sekta utworzyła się w Marylandzie, nowych kwaków, czyli nikolitów.

Zgubiłam notatkę, na której podług ich objaśnienia spisałam, na czym zasadza się to odszczepieństwo.

*

Nie będę mówiła o sekcie mormonów, bo poświęciłam im długi rozdział już gdzie indziej¹¹³; dodam tylko, że nie rachując mormonów, mieszkających w bliskości Jezior

¹¹¹*à la turque* (fr.) — na wzór turecki. [przypis edytorski]

¹¹²*pantaloney* (z fr., daw.) — dziś: spodnie. [przypis edytorski]

¹¹³Nie będę mówiła o sekcie mormonów, bo poświęciłam im długi rozdział już gdzie indziej — w książce *A travers l'Amérique, le Far-West* (1869). [przypis edytorski]

Słonych, w Nowym Jorku, nawet w okolicy Williamsburga, na pierwszej, drugiej i trzeciej ulicy znajduje się sekta praktykująca wielożeństwo (poligamię); wprawdzie jest ich zaledwie osiemdziesiąt do stu rodzin.

Jest jeszcze wiele innych sekt w Ameryce; nie mogę mówić o wszystkich, bo i miejsca mało na to, i może lepiej zostawić je w cieniu niż wyprowadzać na światło z przyczyny niemoralności, jakie pełnią nakazują.

Zakończę ten rozdział słówkiem o materialistach; ci nie wierzą w inne życie ani w istnienie duszy; utrzymują, że ciało składa się tylko z materii i wrażeń, zapewniają, że prawdziwa mądrość polega na tym, żeby nie opuszczać najmniejszej okazji do rozweselenia się.

Lubią dobre jedzenie, przyjemności; nie ma u nich małżeństwa.

Mieszkają w wiosce przy Nowym Jorku, jest ich blisko pięć tysięcy, dzieci zaledwie trzydzieścioro.

Jak im ktoś zarzuca, że przy takich zasadach świat się zakończy, to odpowiadają: „Tęgo też potrzeba; człowiek może zrodzić tylko człowieka, a natura jest w stanie wydać istoty doskonalsze; zresztą, co nam do tego, że po nas już nic nie będzie”.

ROZDZIAŁ IV. POMYŚLNOŚĆ W AMERYCE

Odkrycie Ameryki to prawdziwe zrzęcenie Opatrzności! Bóg to pokierował krokami Krzysztofa Kolumba w stronę Nowego Świata, chcąc ukazać lepszą ojczyznę nieszczęśliwym wyrzutkom społeczeństwa.

Ta nowa ziemia jest rozległa i zawiera niewyczerpane bogactwa. Kto chce tu pracować, nie dozna niedostatku, dosięgnąć nawet może najwyższego szczebla drabiny społecznej; na tej dziewiczej ziemi wszyscy znaleźć mogą byt, swobodę i szczęście.

Czyż można pomyśleć bez wzdrygnięcia, a zarazem bez wynurzenia wdzięczności wyrokom Przedwiecznego, który stworzył i rządzi wszystkim, czyż można pomyśleć, w jakim stanie społecznym znajdowałyby się dziś Europa, gdyby nie było Ameryki, która stała się niejako upustem przepelnionej ludności Starego Świata.

Bez Ameryki, proszę się zastanowić, byłoby trzydzieści osiem milionów ludzi więcej w Europie!

Trzydzieści osiem milionów istot bez sposobu do życia! Ile by to ściągnęło wojen domowych, ile nieporządków! Kwestia irlandzka¹¹⁴ niedogodna jest dla Anglii, ale co by się to już działo w tym kraju, gdyby pięć lub sześć milionów jego wynędzniałych mieszkańców nie było się schroniło na gościnną ziemię Nowego Świata.

Że w Niemczech jest spokojność, że umysły tam nie burzą się gorączkowo, to bez wątpienia dlatego tylko, że osiem do dziesięciu milionów najbiedniejszych, najgorzej uposażonych przez los, przeniosło się do Ameryki, aby tam również mogli dorobić się majątku i dojść do znaczenia.

Kraj niemiecki doznałby był także wstrząśnienia w społeczeństwie, bo wcale nie jest bogaty. W obecnym położeniu wieśniak ma tam zaledwie tyle ziemi, żeby mógł wyżywić się wraz z dziećmi; słowem, ci tylko mogą się tam utrzymać, którzy pozostali, lecz gdyby emigranci nie opuścili kraju, zabrakłoby chleba, zabrakłoby zajęcia dla ludzi chcących pracować na swoje utrzymanie.

Stąd wynikłaby u jednych chęć słusznego zachowania swego dorobku, u drugich, umierających z głodu, zawiść do szczęśliwszych; zimni teoretycy sililiby się na jałowe i bezskuteczne systematy, komunistyczne lub inne, aby zaradzić złu; ale tylko wojna, mordy, zaraza i tym podobne klęski pogodzić by zdołały biedną ludzką.

To samo można powiedzieć o Szwecji, Norwegii, Holandii i Szwajcarii. We wszystkich tych krajach ci, co nie mogą żyć u siebie, oddalają się wspaniałomyślnie, nie chcąc szarpać matki-ziemi utarczkami bezpłodnymi, a niebezpiecznymi.

Ameryka więc ocaliła spokojność wszystkich tych narodów; a kto przebiegnie ten łąd rozległy, zobaczy te przepyszne miasta, zaludnione przez szczęśliwych milionerów, na wsiach folwarki podobne do zamków, a w nich dostatek, kiedy na koniec widzi się te

¹¹⁴kwestia irlandzka — w latach 1845–1849 zaraza niszczyła plony ziemniaków, będących podstawą wyżywienia uboższych warstw ludności Irlandii; kraj dotknęła klęska głodu, która spowodowała śmierć ok. 1 mln osób i gwałtownie nasiliła emigrację, szczególnie do Stanów Zjednoczonych. [przypis edytorski]

cuda w sztuce, przemyśle i mechanice, wykonane przez emigrantów przybyłych do tego kraju bez grosza w kieszeni, czuje się na ten widok niewypowiedzianą radość i wielbi się Opatrzność za wielki, piękny świat, na którym wszyscy ludzie znajdują miejsce i każdy znaleźć może szczęście!

Trzydzieści lat zaledwie dobiega, jak emigracja zwróciła się na zachód Ameryki, a już przepyszne miasta wzniesione, handel ożywiony, kolosalny przemysł się rozwinął!

Przed trzydziestu laty w tej części lądu amerykańskiego mieszkaly tylko bawoły, antylopy, jelenie oraz kilka pokoleń Indian koczujących i dzikich. Trzy miliony ludzi będących tu dzisiaj walczyło w swoich krajach z niedostatkiem, nędzą... Odważyli się przebyć ocean. Są teraz tu, dumni i szczęśliwi z tego, co przedsięwzięli; jedni wyszli na bogatych kupców lub bankierów, inni mają tak duże folwarki, że trzeba dzień cały poświęcić, aby je obejść. Dobry byt, dostatek wszędzie się spostrzega. Ostatni w swoim kraju, stali się pierwszymi w tej drugiej ojczyźnie.

Dziś chwałą się przed Europą takim np. Chicago, które stworzyli; osiem dróg żelaznych tu wchodzi i wychodzi; ogromne gmachy, fabryki, handel rozległy.

Chicago mieści w sobie czterysta tysięcy dusz, a pod względem handlu, Marsylia nawet nie może z nim się porównać.

Na całym tym Zachodzie miasta wznoszą się z szybkością nie do uwierzenia i bardzo praktycznie; miasto niemające dwóch lat istnienia jest już zaopatrzone we wszystko, co znaleźć można w najpiękniejszym mieście europejskim.

Wszystkie przemysły są tu zebrane, handel w ruchu, mieszkańcy żyją wygodnie.

Kiedy tyle innych narodów przesłało do Nowego Świata ludność przepelniającą ich kraje, pragnącą postępu radykalnego, nie zaś powolnego i stopniowego, a to samo zapewniło bezpieczeństwo mienia tych, którzy pozostali, jak nie mniej pokój publiczny, sama tylko Francja nie przelała się, że tak powiem, do Ameryki, nie poszła szukać bogactwa w Nowym Świecie... Toteż w jakim stanie społecznym się znajdujemy? Wszystko gotuje się u nas, kipi. Ciągłe niebezpieczeństwo zagraża własności i pokojowi kraju. Przewrót w społeczeństwie zdaje się nieuchronny. Ale na cóż się to wszystko przyda?

Przypuściwszy, że ci, którzy nic nie mają, wezmą tym, którzy mają... więc cóż? Role się tylko zamienią, a zawsze ludzie będą umierali z głodu... Każdy rozumuje we Francji, każdy wymyśla nowy systemat polityczny i twierdzi, że gdyby ten był przyjęty, nie byłoby ubóstwa... Czcze to marzenie...

Nędza, ubóstwo mogą być po części przypisane złemu systemowi politycznemu, ale rzeczywistą tych nieszczęść przyczyną jest przepelnienie ludności we Francji. Dziesięciu jest ubiegających się o jedno urzędowanie, dziesięciu robotników o rzemiosło mogące wyżywić jednego; zatem dziewięciu na dziesięć bez roboty.

Słyszałam mówiących, że ta przewyżka rzemieślników pochodzi z tego, że chłopci porzucają swoje role... Protestuję przeciwko temu: objechałam Francją na wszystkie strony, nie widziałam nigdzie ziemi nieuprawnej.

Ale otóż rachuba pouczająca:

Powierzchnia Francji ma 52 768 618 hektarów; trochę mniej jak połowa tej powierzchni zamieniona jest w grunt przynoszący intratę¹¹⁵, druga połowa zajęta na miasta, cmentarze, place publiczne, gościńce, kanały, rzeki itd. Gdyby więc podzielono na równe części owe 26 milionów hektarów, które można zaorać, każdy Francuz miałby trochę więcej jak pół hektara; nie bardzo żyłby wygodnie z intraty tego gruntu. Z drugiej strony zobaczymy, jaki byłby rezultat z podziału całkowitego pieniędzy znajdujących się we Francji.

W broszurze Ludwika Wołowskiego¹¹⁶, członka Instytutu, *La liquidation sociale*, czytamy następujący rachunek: „Bank francuski posiada jeden miliard dwieście milionów franków w monecie złotej i srebrnej; to piękny grosz, ale gdyby go zabrano na podział między czterdzieści milionów Francuzów, każdy otrzymałby trzydzieści franków... czymże zaopatrzyć przez kilka tygodni chociaż potrzeby najskromniejszego życia?”. Następnie pan Wołowski, oceniając dochód z gruntu francuskiego na sześć miliardów czterysta milionów, rachuje, że te pieniądze podzielone na głowy przyniosłyby dla każdego Francuza

¹¹⁵*intrata* — zysk z posiadłości ziemskiej. [przypis edytorski]

¹¹⁶*Wołowski, Ludwik* (1810–1876) — francuski ekonomista i adwokat pochodzenia polskiego, zwolennik liberalizmu gospodarczego; od 1855 członek Instytutu Francji, pracujący w Akademii Nauk Moralnych i Politycznych. [przypis edytorski]

sto sześćdziesiąt franków rocznego dochodu.... czterdzieści pięć centymów¹¹⁷ dziennie... niepodobna żyć zbyt kownie z czterdziestu pięcioma centymami.

Widzimy więc, że nawet przy teoriach komunistycznych Francuz nie mógłby żyć z procentu zapewnionego przez kraj wierzycielom.

Rzemieślnik się uskarża, fabrykant niekontent¹¹⁸, wieśniak także niezadowolony, jeden zły zbiór może go do nędzy doprowadzić. Kupcy nie robią świetnych interesów, subiekci narzekają, że nie zarabiają wiele, a pracują zbyt kownie; kwestia zarobkowania, podatków, kapitału, porusza się; każdy podaje rozwiązanie trudności podług swego widzimisię. Niech mi wolno będzie powiedzieć, że jedno byłoby tylko skuteczne: emigracja; to jedyny środek do wyleczenia obecnego stanu społeczeństwa.

Może mi ktoś powie: „Francuz nie opuszcza swego kraju”. To prawda, ale dlatego tylko, że Niemiec wie, co to jest Ameryka, a Francuz nie ma o niej wyobrażenia.

Niestety, statystyka wojskowa dowodzi, że we Francji jest dwudziestu pięciu nieumiejących czytać na stu!

Jakże tacy ludzie mogą znać bogactwa i gościnność, jaką Ameryka daje wszystkim bez różnicy?

Ale Francuz, nawet nieuczony, jest pojętny; prędko zrozumie, co mu powiedzieć. A więc zamiast ludzi frazesami, teoriami tych wszystkich, co wegetują we Francji, zamiast robić im szaloną nadzieję lepszej przyszłości, a tymczasem zabijając tych nieszczęśliwych łatwowiernych — niech ci, którzy kochają lud swój dla niego samego, dla jego cnót, odwagi, niech ci wszyscy, którzy pragnęliby widzieć go szczęśliwym, powiedzą mu otwarcie całą prawdę, niech go nauczą, co to jest Ameryka, zapewnią, że ta dziewicza kraina potrzebuje rąk do uprawy roli i że wzbogaci tego, kto rzuci w nią nasiona; że tam dobremu robotnikowi płacą dziennie piętnaście do dwudziestu franków; że na koniec ziemia ta zawiera w swym łonie węgiel, olej skalny¹¹⁹, żelazo, złoto, srebro; że to wszystko należy do człowieka, który je wydostanie z wnętrza ziemi.

Niechże Francuzi zrozumieją, że Pan Bóg cały świat dał człowiekowi za ojczyznę, a nie kącik ziemi, na której się urodził.

O, gdybym miała dużo pieniędzy, gdybym była Rotszyldem, umiałabym namówić dwa lub trzy tysiące Francuzów do przeniesienia się do kraju, który zwiedziłam i zbadałam.

Nie będąc, na nieszczęście, Rotszyldem, mogę tylko mieć nadzieję, że kiedyś życzenia moje będą spełnione, a za całą przysługę dla cierpiących moich rodaków podaję szczegóły, notatki i wiadomości, które zebrałam w Ameryce; oby te zachęciły mogły Francuzów do próbowania szczęścia w tym kraju; pewno by się nie zawiedli!

Mała garstka Francuzów przybyłych do Ameryki udaje się do Luizjany¹²⁰, kraju podupadłego i bez przyszłości lub pozostaje w Nowym Jorku. Żyją wyłącznie sami z sobą, nie wdając się z Yankeesami; bawią nieraz dziesięć lat w Nowym Świecie, nie nauczywszy się języka krajowego.

Zaden z nich nie ma zamiaru osiąść w Ameryce, chcą tylko jak najprędzej zarobić trochę pieniędzy i powrócić do swojej kochanej Francji.

Dlatego też Francuzi prócz małych wyjątków wegetują tylko lub umierają z głodu w Ameryce.

Niemiec, przeciwnie, kiedy się wybierze do Ameryki, to ze stałym postanowieniem zamieszkania w niej.

Kiedy wieśniak niemiecki ma zbyt mały kawałek ziemi do wyżywienia siebie i rodziny, sprzedaje ją i z trzema lub czterema tysiącami franków, otrzymanymi za swoją majątność, przybywa do Ameryki, zakupuje obszerny kawał gruntu, bydło, bierze się do pracy i wkrótce staje się bogaty.

¹¹⁷centym — drobna moneta francuska o wartości 1/100 franka. [przypis edytorski]

¹¹⁸niekontent — niezadowolony. [przypis edytorski]

¹¹⁹olej skalny — ropa naftowa. [przypis edytorski]

¹²⁰Luizjana — rejon geogr. w Ameryce Płn., nazwany na cześć króla Francji Ludwika XIV (fr. *Louis*), obejmujący większość dorzecza Missisipi: tereny na południe od Wielkich Jezior aż do Zatoki Meksykańskiej, pomiędzy Appalachami na wschodzie a Górami Skalistymi na zachodzie; od 1682 terytoria Luizjany znajdowały się pod kontrolą francuską, w 1803 zostały sprzedane Stanom Zjednoczonym, co niemal podwoiło powierzchnię tego państwa; z najbardziej wysuniętej na południe części rejonu utworzono stan Luizjana. [przypis edytorski]

Rzemieślnik niemiecki także czasem przez kilka lat przygotowuje się do wyjścia z kraju. Oszczędza, składa grosz do grosza i z pewnym zapasem pieniężnym łatwiej i pewniej dorabia się majątku w nowej ojczyźnie.

W Holandii emigranci mają zwyczaj wyprawiać się do Ameryki gromadnie, zebrawszy wspólny kapitał; jadą porządnie, z zastanowieniem, mianują między sobą prezydenta, radę, a przybywszy na miejsce, trzymają się jednego punktu, zakładają miasto; przyniesione pieniądze stanowią pierwszy fundusz wspólnego banku. Piekarz wypala piec, szewc zaczyna sprzedawać robotę na wózku, urzędnicy pełnią swoją czynność, rolnicy uprawiają pola; porządek najzupełniejszy przy serdecznej zgodzie panuje.

Takim sposobem wszystkie osady holenderskie zamieniają się bardzo prędko na kwitnące miasta. Dobrze by było, żeby Francuzi przyjęli ten system, zechciawszy próbować szczęścia w Nowym Świecie. Liczba emigrantów odjeżdżających przez port Hawru dochodziła trzydziestu sześciu tysięcy w roku 1868. Mała to cyfra w porównaniu z pół milionem emigrantów corocznie przybywających do portów Ameryki Południowej lub Północnej.

Jeżeli nie ma tak wielkiego ruchu w porcie Hawru, to z przyczyny zbyt wygórowanej opłaty za podróż francuską koleją żelazną.

Gdy tymczasem administracja dróg żelaznych innych narodów robi ustępstwa dla takich podróżnych; największa więc ich liczba zamiast jechać przez Hawr, wyjeżdża przez Bremę lub Hamburg.

*

Kto sobie życzy prowadzić handel w Ameryce, niech jedzie do Chicago. Przyszłość handlowa tego miasta, istniejącego zaledwie lat trzydzieści, bardzo jest obiecująca. Największa tu sprzedaż zboża z całej Ameryki i punkt środkowy najczynniejszy wszystkich ważnych interesów.

Dobrzy rzemieślnicy znajdują robotę w Chicago i mogą zarobić do dwudziestu pięciu franków dziennie. Dwa przedsiębiorstwa szczególnie zalecić można chcącym ciągnąć korzyści: piekarnie i cukiernie. W całej Ameryce znają tylko jeden gatunek chleba grubego, niestrawnego. Zdaje mi się, że wyborby chleb francuski bardzo by się tu podobał.

Yankeesi lubią wyroby cukiernicze: kobiety jedzą cukierki i ciastka cały dzień... Ciastka amerykańskie są szkaradne; gdyby się zjawili dobrzy piekarze i cukiernicy w Chicago, z pewnością wzbogaciliby się bardzo prędko.

Nie znają tu wcale wymiętych kasztanów smażonych w cukrze. Francuzi mieszkający w Nowym Jorku, dostając takowe czasami w prezencie z Paryża, dawali je do skosztowania Yankeeom i przekonali się, jak ten przysmak im się podobał, a jednakże żaden z nich nie domyślił się sprowadzić ładunku surowych kasztanów i przygotować ich w podobny sposób w Nowym Jorku. To byłoby także dość korzystne.

W Illinois niewiele już jest ziem nieuprawnych, bo tu emigranci najwięcej osiedli z powodu bliskości głównego punktu Chicago. Wszystkie pola zasiane są jęczmieniem, żytem i kukurydzą. Jest wiele łąk prześlicznych. Od tego stanu zaczynają się ogromne dziewicze łąki, ale stan Iowa, dotykający Illinois, a który jako powierzchnia większy jest niż Francja, liczy dopiero trzysta tysięcy mieszkańców.

Ziemia tu jest bardzo żyzna, można dostać zupełnie gotowy akr¹²¹ za osiem lub dziesięć dolarów. Aby zostać właścicielem gruntu, dosyć jest ogrodzić go, wystawić lichą chałupkę i przepędzić w niej jedną noc. Te trzy formalności nadają prawo własności. Władza miejscowa udziela natychmiast akt tymczasowy, a po trzech latach tytuł dziedzica.

Emigranci nie są tu uważani za współzawodników, ale za braci przynoszących część swojej cywilizacji i pracy na tę wielką puszcę. Dawniej przybyli pomagają nowym, ci ostatni znajdują w Chicago bank, który pożycza pieniędzy i narzędzi potrzebnych do rolnictwa; w tym samym mieście sprzedają domy drewniane bardzo wygodne, które podług życzenia na wskazane miejsce bywają przenoszone i urządzone za cenę od 1000 do 20 000 franków.

¹²¹ akr — anglosaska jednostka równa 0,4 hektara. [przypis edytorski]

Wielu Niemców przestaje na kupieniu sobie dużego wozu pokrytego płótnem, ciągniętego przez woły lub konie. Umieszczają w tych kocujących domach swoją rodzinę, swoje sprzęty i żyją w tych wózkach przez kilka miesięcy, dopóki nie zbiorą sobie sumy na zapłacenie domu.

Inni znowu obalają drzewa i budują chaty z okrągłaków, w których czekają dorobienia się majątku. Nic nie ma bardziej zajmującego jak te pierwsze instalacje. Łatwo odgadnąć można przyszłe powodzenie ludzi wprowadzających się po ich mniejszej lub większej wygodzie, zbytku, nawet i po praktyczności, z jaką się urządzają.

Mieszkańcy Iowy muszą albo zbliżyć się do środkowego punktu i objąć jakie rzemiosło, albo oddać się rolnictwu i hodowaniu bydła. Wzdłuż tego stanu przechodzi kolej żelazna Oceanu Spokojnego z Nowego Jorku do San Francisco. Nebraska przedstawia też samą dogodność pod względem dróg żelaznych.

Colorado jest niewyczerpane w kopalnie złota, srebra i węgla kamiennego. Ten wielki stan mieści dopiero sto dwadzieścia tysięcy mieszkańców. Milion ludzi mógłby znaleźć jeszcze miejsce w Colorado, a w jego kopalniach źródło prędkiego wzbogacenia się.

Klimat Iowy jest podobny do klimatu Bretanii, Nebraska zaś, Kansas i Colorado przypominają klimat naszej pięknej Prowansji.

Miasto Denver, najgłówniejsze w Colorado, połączone jest boczną drogą żelazną z koleją Oceanu Spokojnego.

Radziłabym Francuzom wybierać ten stan, tak dla umiarkowanego klimatu, jak dla bogactw mineralnych.

Przebywszy pasmo Gór Skalistych, wjeżdża się do Utah, kraju zamieszkiwanego przez zwolenników Brigham Younga¹²². Francuzi, na nieszczęście dla Francuzek, sprzyjają dosyć wielożeństwu: pozwalam sobie dać jedno ostrzeżenie tym, którzy by mieli chęć osiąść w tej posiadłości i korzystać z jej przywilejów.

W Salt Lake City mężczyzna musi wyżywić wszystkie kobiety, z którymi się żeni; one mają prawo żądać rozwodu z nim, ale mąż nie ma go i obowiązany jest nadto dać nazwisko oraz utrzymanie wszystkim swoim dzieciom: nie ma zakładów, do których mógłby posłać te biedne istoty. Wielożeństwo zatem ma dla mężczyzn i ciężary obok... korzyści.

Francuzi tak przyzwyczaili się do swobody pod tym względem, że ci, którzy by się dostali do wspomnianego kraju, żalowałiby niezawodnie Kodeksu Napoleona¹²³, pobbłażającego wszystkim złym namiętnościami mężczyzn.

*

Jest jedna nowa osada, dość już kwitnąca, Santa Ana River. Pierwszymi jej mieszkańcami byli Niemcy, złożyli się i kupili 1120 akrów ziemi po 2 dolary za akr; podzielili ten grunt na pięćdziesiąt części prostokątnych po dwadzieścia akrów, odznaczyli je rutą (roślina); reszta gruntu przeznaczona na budowlę podzielona była na sześćdziesiąt części, po jednej dla każdego akcjonariusza, a dziesięć zachowano na użytek publiczny. Działy te były otoczone wierzbnymi i topolami tworzącymi ogrodzenie, każdy z nich poświęcił blisko dziesięć akrów na winnice. Dziś ta mała osada, której miasteczko nazywa się Anaheim¹²⁴, posiada więcej niż milion winnych latorośli, wydających corocznie około 10 000

¹²²Young, Brigham (1801–1877) — amerykański przywódca religijny i polityk; drugi prezydent Kościoła Jezusa Chrystusa Świętych w Dniach Ostatnich (tzw. mormonów); w 1846–47 poprowadził ich ze stanu Illinois na zachód do Doliny Jeziora Słonego, gdzie założyli nowe miasto, Salt Lake City; w 1850 został pierwszym gubernatorem utworzonego na wniosek mormonów Terytorium Utah ze stolicą w Salt Lake City, należącego do Stanów Zjednoczonych; w latach 1861–1868 większość Terytorium Utah przyłączono do Terytoriów Nevada, Kolorado, Nebraska i Wyoming; mimo ponawianych petycji Utah przyjęto do Unii jako stan dopiero w 1896. [przypis edytorski]

¹²³Kodeks Napoleona — francuski kodeks prawa cywilnego wprowadzony w 1804 przez Napoleona Bonaparte-go, oparty na wartościach rewolucji francuskiej; stanowił wzór dla kodyfikacji cywilnej w XIX w.; wprowadzał m.in. świecki charakter małżeństwa i śluby cywilne, sprawy małżeńskie poddawał wyłącznie powszechnym sądom cywilnym, dopuszczał rozwody. [przypis edytorski]

¹²⁴Anaheim — miasto w Stanach Zjednoczonych, w stanie Kalifornia, założone w 1857 przez imigrantów niemieckich; obecnie liczy ok. 350 tys. mieszkańców. [przypis edytorski]

galonów¹²⁵ wina. Każdy kolonista ma mieszkanie wygodne, żyje w dostatku, a jego część gruntu warta teraz więcej jak 10 000 dolarów.

Ta wieś liczy 400 mieszkańców; jest tu bardzo dobra szkoła, kościół, kilka sklepów dobrze zaopatrzonych.

Anaheim leży już na terytorium Kalifornii.

*

Floryda przedstawia także pewne korzyści dla swoich osadników.

Floryda, półwysep Stanów Zjednoczonych, leży na północ od Zatoki Meksykańskiej, na zachód od Oceanu Atlantyckiego, na południo-wschód od Alabamy, na południe od Georgii.

Niegdyś Floryda dzieliła się na dwie części: wschodnią i zachodnią. Na zachód ma wielką rzekę Missisipi.

Niegdyś była ona zaludniona przez sześć pokoleń indyjskich¹²⁶: Natchez, albo Florydczykowie, Crikowie wyżsi, którzy zajmowali Alabamę, Crikowie niżsi (Seminole) zamieszkujący pobrzeża Flintu, Chaktasowie, czyli płaskogłowi, i Yagusowie. Hiszpanie, panowie Florydy z roku 1570, ustąpili ją Anglii w roku 1681, później odebrali ją w roku 1763. Stany Zjednoczone kupiły ją od Hiszpanii w roku 1819, a od roku 1845 stanowi już Stan osobny.

Floryda jest w szczęśliwym położeniu ze względu na winnice i zakłady ogrodnicze.

Jest to jeden z doskonałych punktów, który szczególnie polecam wychodźcom francuskim.

Ludzie osiadający na tej dziewiczej ziemi napotkają bez wątpienia wielkie trudności w pierwszym roku, gdyż grunt świeżo zaorany ma w sobie pewien kwas, od którego rośliny więdną i nikną.

Można pozbyć się tego kwasu, mieszając do ziarn popiół z drzewa lub wapno rozrobione wodą.

We Florydzie daje się uczuć brak pokładów wapiennych, a także gliny, ale koloniści zastępują je, tłukąc na miazgę muszle, znajdujące się w obfitości na wybrzeżu St. Johns i na brzegach oceanu i Zatoki Meksykańskiej. Muszle te zawierają wiele fosforanu wapna, który bardzo jest dobrym nawozem dla zboża, a w szczególności dla kukurydzy.

Udają się tu także drzewa brzoskwiniowe i morelowe, ale za to pomarańcze, potrzebujące więcej żywiołu wapiennego, nędznie wyglądają.

Wino rodzi się obficie. Jeden Amerykanin założył tu wielkie winnice. Jest w nich dwadzieścia dwa gatunki winogron; wśród tej różnorodności spostrzegać się daje gatunek pochodzący z południa, nazwany *scuppernong*, owoc duży i pachnący.

W ogrodzie biskupa katolickiego w mieście St. Augustine¹²⁷ podziwiają winną lato-rosł, która ma grona ważące do dziesięciu kilogramów, ziarenka duże jak orzechy, koloru złotego i soczyste; przypominają one te sławne winogrona kananejskie, o których mówi Biblia.

Osadnicy muszą tu bezzwłocznie zabierać się do ogrodnictwa i uprawy jarzyn, żeby mogli się utrzymać. W niektórych okolicach klimat tak jest łagodny w zimie, że pozwala na kilkakrotny sprzęt zboża z pola.

Hodowla bydła przedstawia tu wielkie korzyści, funt¹²⁸ mięsa bowiem płacą po 15 lub 10 sou, ale bydło to nieutrzymane starannie wydaje mięso twarde, łykowate. Francuzi więc, chcący poświęcić się hodowaniu i tuczeniu bydła, wyświadczyliby prawdziwą przysługę ludności, a i sami dobrze by na niej wyszli; przy tym zajęciu nie pominęliby i starań o drób, ptactwo, wyrabianie masła; za jaja tam płacą po 25 sou za tuzin, masło zaś i ser sprowadzają z Nowego Jorku, i dlatego niesłychanie są drogie.

¹²⁵galon — anglosaska miara objętości płynów i ciał sypkich; galon amerykański to ok. 4 litry. [przypis edytorski]

¹²⁶indyjski (daw.) — indiański. [przypis edytorski]

¹²⁷St. Augustine — miasto w pln.-wsch. części Florydy, nad Atlantykiem, najstarsza europejska osada w kontynentalnej części USA, założona w 1565. [przypis edytorski]

¹²⁸funt — dawna jednostka wagi, równa ok. 0,5 kg. [przypis edytorski]

Zaprowadzenie wzorowego folwarku we Florydzie byłoby doskonałą spekulacją, bo klimat tu taki jak w Nicei. W ogólności kraj to bardzo zdrowy, trzcina cukrowa, bawełna, tytoń, figowe, bananowe drzewa, wino, udają się wyśmienicie.

Osada zresztą dość jest ludna, nie ma obawy znalezienia się na puszczy¹²⁹, a mieszkańcy jej radzi przybyciu braci, chcących pracować wspólnie i korzystać z bogactw zawartych w łonie ziemi.

W Illinois tworzy się towarzystwo mające zamiar założyć osadę w hrabstwie Monroe. Wybór miejsca nieszczerólny, bo właśnie to hrabstwo położone jest w najniezdrowszym punkcie Florydy, ziemia zacieśniona między Zatoką Meksykańską na zachód a bagnami Everglades na wschód; gorączki prawie ciągle tu grasują, a co gorsza, że to hrabstwo nie ma bezpośredniej komunikacji z punktami centralnymi Północy.

Najlepszą częścią tego Stanu, najzdrowszą, jako też najlepiej położoną pod względem handlowym jest ta, która się znajduje na Indian River; klimat tu umiarkowany z powodu wiatru morskiego.

Mieszkańcy zapobiegają gorączce, pijąc lemoniadę bardzo kwaśną. Indian River łączy się z Jacksonville przez rzekę St. Johns, a z Savannah przez morze. Znaleźć tu można gotowy grunt po 2 dolary za akr.

*

W Karolinie, stanie Ameryki Północnej położonym między Wirginią a Georgią, także mało jest ludności; grunt w niektórych miejscach niski i bagnisty, ale za to góry pokryte pięknymi sosnami tworzącymi doliny, w których klimat najzdrowszy, a ziemia wyborna do uprawy kukurydzy, ryżu, bawełny, tytoniu i indygo.

Miasta główne są Raleigh i Charleston.

W Karolinie prowadzi się wielki handel żywicą sosnową.

Stan ten zewsząd przyzywa robotnika, gdyż czuje brak rąk do pracy.

Wielu Niemców przychodzi najmować się do wielkich plantacji za bardzo dobrym wynagrodzeniem.

Ci koloniści pracują tu jako wyrobnicy z płacą dzienną, dopóki nie zbiorą pewnej sumki pozwalającej im osiąść tu swobodnie i ciągnąć dla siebie korzyści.

Karolina, odkryta przez Hiszpana Ponce de Leon w roku 1512, zabrana została przez Francuza Tibault, któremu Karol IX polecił założyć tam wielką osadę. Tibault dał jej nazwę Karoliny na cześć króla Karola i tę zachowała pomimo wielu zmian swoich panów.

Francuzi byli tam w pień wycięci przez Hiszpanów w roku 1545. Dominik de Gourgues pomścił naszych współrodaków i pobił Hiszpanów. Ale, poznawszy że Francuzi nie byli wcale najlepszymi osadnikami, powrócił, nie próbując utrzymać tej kolonii.

Anglicy opanowali tę prowincję w roku 1663 i pozostali w niej do roku 1774. Od roku 1770 Karolina używała praw sławnego Locke'a¹³⁰, autora słynnych i ciekawych rozpraw filozoficznych i pedagogicznych.

Dziś jest tu osiem lub dziesięć sekt religijnych, wszyscy adepci różnych tych wyznań żyją, ma się rozumieć, w najlepszej zgodzie i jak się zdaje, Karolina wielką ma przed sobą przyszłość handlową.

*

Georgia także wzywa zewsząd emigrantów; pewna część jej żyznych gruntów leży odłogiem w braku rąk do uprawy; w tym stanie można dostać ziemi prawie za darmo. Georgia należy do Stanów Ameryki Północnej, graniczy na północ ze stanem Tennessee bardzo kwitnącym, na północo-wschód z Karoliną Południową, od której oddziela ją tylko Savannah; na wschód ma ocean, a na południe Florydę; miasto jej stołeczne jest Nashville.

¹²⁹puszcza (daw.) — pustkowie; pusty, dziki teren. [przypis edytorski]

¹³⁰Locke, John (1632–1704) — angielski filozof, polityk i ekonomista; rozwinął empirystyczną teorię poznania, stworzył nowożytną teorię tolerancji i państwa konstytucyjnego. [przypis edytorski]

Klimat jej bardzo zdrowy, grunt górzysty, a jeżeli w dolinach trochę gorąco, to w górach i na pagórkach powietrze umiarkowane, bardzo przyjemne; mieszkańcy pracowici i zręczni, handel prowadzą obszerny.

W Georgii znajduje się kilka pokoleń indyjskich, żyjących w dobrej zgodzie z Europejczykami, bo ci Indianie są już trochę ucywilizowani; porzucili życie koczujące, osiedli tu stale, porobili sobie wioski i oddają się rolnictwu; są oni z pokolenia Krików (*Creeks*) i Czirokezów (*Cherokees*).

Łąd amerykański tak jest rozległy i bogaty, że może pomieścić i wyżywić całą ludność europejską; aby mieć wyobrażenie o jego ogromie, trzeba go przejechać od jednego oceanu do drugiego, a chcąc się przekonać o jego bogactwie, trzeba zwiedzić każdy stan z osobna.

Jeden szczegół da nam małe pojęcie o dochodach z węgla i kruszcu; w Pensylwanii, szczególnie w bliskości Pittsburgha, wszystkie pagórki otaczające to ostatnie miasto, zawierają pokład węgla od 40 do 12 stóp¹³¹ grubości, ten pokład znajduje się blisko na 300 stóp nad powierzchnią rzeki, która przerzyna miasto, i na 100 stóp nad podstawą pagórków; tworzy on ogromną skorupę smolną, jednostajną i ścisłą. Inżynierowie i ludzie uczeni obliczyli, że kraina ta sama jedna zaopatryłaby potrzeby wszystkich fabryk na świecie; ma ona powierzchni 81 500 000 akrów.

Pan Wurston z Pittsburgha wyrachował, że ta przestrzeń zawiera około 54 milionów ton węgla użytecznego. Czyż Francuzi, tak słusznie niezadowoleni z położenia politycznego i społecznego swego kraju, nie zrobiliby lepiej, szukając tu bogactw tak pewnych i łatwo się nabyć dających?

Naczelnicy partii demokratycznej czyż nie powinni by radzić, a nawet sprowadzać do tego kraju wszystkich biednych wyrzutków społeczeństwa umierających z głodu?

Czyż to nie byłoby użyteczniejsze dla szczęścia mas niż piękne frazesy o systemach społecznych i politycznych?

Przynajmniej ja tak sądzę.

Bo trzeba nareszcie zrozumieć, że Francja, podobna do oceanu zbyt ścieśnionego w swoich granicach, nie przestanie wrzeć i burzyć się, dopóki nie znajdzie jakiegoś upustu, odpływu na swe przepełnienie. Niechże wydziedziczeni przez los nabiorą odwagi przebyć morze, a znajdą kraj, w którym będą mogli przy pracy żyć wygodnie bez troski o jutro.

Bóg dał człowiekowi prawo szukania swojego szczęścia nie na jednym punkciku ziemi, ale na całym świecie. Niechże ta istota rozumna stara się korzystać z tego przeznaczenia, stając się godną wysokich zamiarów Opatrzności względem siebie.

ROZDZIAŁ V. KOBIETA W AMERYCE

Im przesąd jest niesprawiedliwszy i niedorzeczniejszy, tym głębiej wkorzenia się w umysł Francuza. Jest to naród dowcipny, lecz hołdownik rutyny większy niż każdy inny; przyjmuje opinię już gotową, skoro ta wydaje się śmieszna lub dowcipna, i nie zadając sobie pracy w przekonaniu się, czy jest sprawiedliwa czy nie, popiera ją całą mocą.

Trudno rozprawić o czymkolwiek z wieloma Francuzami, bo często na najpoważniejsze dowodzenie odpowiedzą igraszką słów lub zdaniem przeciwnym, paradoksem.

Inni tak zaczynają rozmowę: „Každy człowiek mądry i rozumny musi dzielić moje zdanie”.

To znaczy: „Jeżeli przypadkiem nie jesteś mojego zdania, to po prostu dlatego, że jesteś głupi”. W takim razie wszelka dyskusja staje się niepodobna.

Są osoby, które poprzestają na twierdzeniu: „Tak jest”. — „Ale proszę o dowody” — ktoś powie. One odpowiadają: „Na co dowody? Rzecz sama przez się widoczna, znana!”.

I tak Francuzi trzymają się dwóch przesądów: pierwszy, że kobieta mniej udarowana od natury niż mężczyzna, że inteligencja jej niższa jest od męskiej, niezdolna do nauk poważnych, a zupełnie niedostępna dla nauk ścisłych i filozofii. Jeżeli ktoś się odezwie, że ta opinia jest czczym przypuszczeniem, że nie opiera się na doświadczeniu, na pewności nabytej, gdyż dotychczas dawano kobietom bardzo ograniczone wykształcenie, słabe pojęcie o naukach, a zatem nie mogły one okazać swoich zdolności lub niezdolności, bo nikt

Kobieta

¹³¹stopa — dawna jednostka długości równa ok. 30 cm. [przypis edytorski]

nie rodzi się uczonym, ale tylko mniej lub więcej sposobnym do stania się takowym — na takie lub tym podobne wnioski większa część Francuzów odpowie tylko, nie troszcząc się o przeciwdowody:

— To przecież rzecz wiadoma, że kobieta pod względem umysłowym niższa jest od mężczyzny.

Drugi przesąd przez nich przyjęty jest ten: że byłoby nawet niebezpiecznie wysoko kształcić umysł kobiety, bo nauki poważne i ściśle sprowadziłyby ją z drogi jej przeznaczenia na żonę i matkę, że edukacja wyższa i dokładniejsza pozbawiłaby jej piękności, która jest najglówniejszym wdziękiem kobiety, a dla poparcia swego twierdzenia przytaczają kilka zdań oklepanych lub cztery sławne wiersze Moliera:

*Nos pères sur ce point, étaient gens fort sensés,
Qui disaient qu'une femme en sait toujours assez,
Quand la capacité de son esprit se hausse
A connaître un pourpoint d'avec un haut-de-chausse.* ¹³²

Obok takich ludzi są i poważni, ludzie postępowi i sercowi, którzy pojmują całą niesłusznosc stanowiska kobiety, chcieliby je złagodzić, ale tymczasem zastanawiają się i naradzają, czy rzeczywiście nie będzie to rzeczą niebezpieczną wysoko kształcić kobiety.

Prawdziwego postępu nie będzie nigdy w kraju, który ma przeszłość za sobą, bo ta ma więzy, z których umysły najmocniejsze wyrwać się zupełnie nie są w stanie.

Przeszłość Francji ciąży na jej teraźniejszości; długo jeszcze nad nią ciążyć będzie i szkodzić jej przyszłości. Siła i potęga Ameryki na tym właśnie się zasadza, że łąd ten nie miał wcale przeszłości. Ten naród kosmopolityczny amerykański nie potrzebował walczyć z historią, z podaniami, zbijać rutyny; mógł zatem śmiało puszczać się w zawody, wprowadzać nowe pomysły i dlatego postęp sunął krokiem olbrzymim w tym nowym świecie i dziś stare narody zmuszone są go kopiować, jeżeli chcą zrobić coś nowego.

Zamiast płonnych rozpraw o mniejszej lub większej inteligencji, jaką posiada kobieta, zamiast sztydzenia z niej wtenczas, kiedy żąda być objaśnioną, wyjść z niewiedzy, Amerykanie powiedzieli: My dajemy kobietom to, co i innym obywatelom: wykształcenie bezpłatne, wszystkie nauki i sztuki będą im dozwolone, kolegia, szkoły, uniwersytety dla nich otwarte; niech się kształcą, pracują, osądzimy je podług ich dzieł, bo sądzić i potępić, nie dawszy sposobności działania, byłoby rzeczą stronną i zupełnie niesprawiedliwą.

Czyż myślicie, panowie Francuzi, że to działanie nie jest mądrzejsze od waszych wiecznych żarcików z kobiet? Czy nie ma w tym więcej logiki? „Ale nam wcale nie idzie o logikę” — odpowiecie mi może? O, wiem o tym; logika nie znamionuje rozumu francuskiego, jest ona, owszem, słabą jego stroną.

Oto rezultat otrzymany z systemu przyjętego przez naród amerykański; rezultat ten odpowiada zwycięsko na wszystkie opozycje stawiane we Francji przeciwko emancypacji kobiet.

We wszystkich szkołach, we wszystkich uniwersytetach, kursach dodatkowych, kursach wyższych, w kolegiach mieszanych, płeć żeńska podług zeznania profesorów i dyrektorów pod żadnym względem nie stoi niżej od męskiej w jakiegokolwiek gałęzi wiadomości ludzkich.

I tak na uniwersytecie Vassar¹³³ na przykład jest czterysta młodych panienek, które wraz z czterystu chłopcami słuchają najwyższych kursów we wszystkich przedmiotach; profesorowie zapewniali mnie, że idą na równi ze swymi towarzyszami, okazują się równie zdadne, a pilniejsze od nich. Kobiety w Ameryce nie tylko korzystają ze wszystkich nauk, ale mają wolny przystęp do każdego zawodu. Zapytajcie się mężczyzn tamtejszych, czy przeszkadza im taki porządek rzeczy?

Powiedzą wam, że są z niego zadowoleni; bo naprzód mężczyzna, żeniąc się, ma tylko błogą pewność, że w razie jego śmierci, kiedy zostaną dzieci, a interesy będą zawikłane,

¹³²*Nos pères sur ce point, étaient gens fort sensés...* — Nasi ojcowie pewnie w głowie mieli olej/ Gdy mawiali, że taka jest stworzenia kolej/ I że kobieta doszła swych rozumów miary/ Gdy pozna co opończa, a co szarawary (Molier, *Uczone białogłowy*, akt II, scena 7, tłum. Tadeusz Boy-Żeleński). [przypis edytorski]

¹³³*Vassar College* — prywatna szkoła wyższa otwarta w roku 1865, początkowo tylko dla kobiet, obecnie koedukacyjna, ufundowana przez bogatego filantropa Matthew Vassara w małym mieście Poughkeepsie, 120 km na północ od Nowego Jorku. [przypis edytorski]

żona jego stanie się głową rodziny i że nie tylko zarobi na swoje i dzieci utrzymanie, ale każdy zawód będzie przed nią otwarty.

Zapytajcie ich jeszcze, proszę, czy ta poważna nauka czyni ich żony pedantkami? Czy bawią się w naśladowanie śmiesznych kobiet wykwinicie wymuszonych? (*les précieuses ridicules*). Odpowiedzą wam bez wątpienia, że te kobiety są doskonałymi żonami, najlepszymi gospodyniami i z pewną złośliwością nadmieniają, że Amerykanki dość są poszukiwane na żony przez Europejczyków, szczególnie przez Francuzów, gdy tymczasem bardzo nieczęsto się zdarza, żeby Amerykanie żenili się z Francuzkami. Uważają je za prostytutki i istoty nie mające praktycznego wykształcenia.

Amerykanie przyznają z przyjemnością, że dzięki emancypacji, jakiej używają ich żony, kobiety pod względem umysłowym wyżej nawet stoją od mężczyzn. Oni są z tego dumni i szczęśliwi.

Nie można przecież powiedzieć, żeby kobieta amerykańska stanowiła wyjątek, bo naród ten nie składa się z osobnej rasy, ale po prostu z mieszaniny wszystkich ras i narodowości europejskich.

Francuzi, lubiący odpowiadać szyderstwem, kiedy mowa o usamowolnieniu kobiet, mniemają, że gdy te ostatnie otrzymają swoje prawa, to domy będą puste, dzieci opuszczone, a kobiety zasiadać będą w klubach, kawiarniach i zgromadzeniach publicznych. Nie myślą jednakże ci panowie tak na serio. Każdy mężczyzna wie, że jest jeden przymiot, który kobieta posiada w wyższym stopniu od niego, to jest takt. Takt nie pozwoli jej stać się tym rodzajem *virago*¹³⁴, jaką ją malują. Nie zapomni ona, że skromność i baczność na siebie to główne jej zalety.

Nie ma ona również zamiaru zaniedbać starania około piękności swojej płci, bo tę ceni jako rzecz potrzebną. Wierzyć, że nauka poważna, wyższa może kobietę odwrócić od obowiązków matki, żony i gospodyni, to znaczy zaprzeczać tej wielkiej prawdzie, uznanej przez ludzi wyższego rozumu: „Nauka umoralnia człowieka i czyni go zdolniejszym do pełnienia obowiązków”.

Czyż można przypuścić, że to, co jest zdrowe i moralne dla mężczyzny, jest niezdrowe i niemoralne dla kobiety?

Nie, byłoby to niedorzecznością.

Zresztą Ameryka odpowie zwycięsko na ten wniosek z nabytego doświadczenia. Niektórzy mężczyźni udają jeszcze, że mają przekonanie, jakoby kobiety, rzuciwszy się do życia czynnego za domem, opuszczały gospodarstwo. W Ameryce są kobiety pełniące obowiązki doktorów, bankierów, kapitanów okrętu. Sto tysięcy z nich znajduje zajęcie szaczone i korzystne w nauczycielstwie. Mają przystęp wolny do wszystkich władz krajowych. Ale też są i kobiety-żony, oddające się przyjemnościom światowym lub obowiązkom samego gospodarstwa.

Te zaś tylko obierają zawód, pracują w biurach, które są niezamożne, a mają rodziców starych, niedołężnych, albo wdowy lub także mężatki, których mężowie niezdolni do pracy lub chorzy.

Są kobiety światowe w Ameryce, ale w razie jakiegoś nieszczęścia, jakiejś ruiny, umieją zapracować na chleb i z łatwością im to przychodzi. Gdyby Francuzi, którzy powstają na tę męską edukację kobiety, którzy utrzymują, że całym jej zadaniem jest wychowywać dzieci i pilnować garnka, postarali się tak urządzić cały układ społeczeństwa, żeby kobieta nigdy nie znalazła się w nędzy, wtenczas żądania nasze byłyby mniej zasadne.

W Turcji na przykład kobieta uważana jest za istotę niższą, niemogącą zajmować żadnego miejsca, ale jeżeli ci dobrzy Turcy niezbyt są grzeczni, to przynajmniej są dość logiczni. Bo proszę, kobieta dostaje posag od swojego męża, który zapewnia jej wygody lub zbytek stosownie do klasy społecznej, do której należy. Dziewczyna niezamężna musi być żywiona przez swoich rodziców, a jeżeli nie ma rodziny, to rząd wyznacza jej pensję.

Ale we Francji kobieta nie tylko nie dostaje posagu, ale sama go wnieść musi. Panny bez majątku, jeżeli nie natrafiają na jakiegoś nierozważnego starca, to rutkę siać¹³⁵ muszą.

Kiedy po śmierci jakiegoś urzędnika zostaje żona i dwie lub trzy córki bez żadnego majątku, coż się stanie z młodymi osobami? Czy wyjdą za mąż?

¹³⁴*virago* (łac.) — mężyca; kobieta o fizycznych lub psychicznych cechach męskich. [przypis edytorski]

¹³⁵*rutkę siać* — szukać, ale nie móc znaleźć męża, pozostawać w staropaniństwie (rutę siały panny na wydaniu, żeby wypłatać z niej wianki ślubne). [przypis edytorski]

Bez posagu niepodobna.

Do jakiego wezmą się zawodu?

Czy zechcą dawać lekcje muzyki?

Ale do tego trzeba i doskonałości, do której dojść nie można było inaczej, jak kształcąc się u najpierwszych metrów i płacąc po 20 franków za godzinę, czego w żaden sposób nie mógł zrobić ojciec przy pięciu lub sześciu tysiącach pensji. Zresztą nauczycieli muzyki więcej jest niż uczących się.

Może wezmą się do lekcji literatury?

O te równie trudno jak i o pierwsze.

Pozostaje im więc smutna ostateczność chodzenia od sklepu do sklepu, prosząc o robotę; a gdy już takową dostaną, to muszą pracować trzynaście godzin dziennie i psuć oczy dla zarobienia dwóch lub trzech franków. Najmniejsza przerwa w robocie lub brak takowej naraża młodą osobę na głód lub... niesławę.

Prawa społeczne we Francji, charakter francuski stawiają wszystkie kobiety bez majątku, a tych jest niemało, w konieczności rzucenia się do Sekwany lub sprzedania się; to wszystko nie przeszkadza panom moralistom pisać długie artykuły o niemoralności kobiet, bez względu na to, że właśnie organizacja krajowa sama winna złu.

Wierzę, że są kobiety zdolne zaprzedać się za naszyjnik z pereł, za powóz, ale przekonana jestem, że te ofiary zaczęły zaprzedać się dla chleba i że trzecia część ich pozostałaby pocziwa, gdyby była mogła zarobić na swoje utrzymanie.

Niemoralność panuje wielka, straszna we Francji, ale wymagać, żeby kobieta została cnotliwa przy głodzie i nędzy, znaczyłoby to uważać ją za anioła, a nie za istotę ludzką, zdolną do cnót i poświęceń, ale zarazem skłonną do upadku i słabości. Naród amerykański zasługuje i tu na pochwałę; godzien szacunku ludzi szlachetnych i dobrze myślących, on pierwszy zarządził demoralizacji kobiety przez pracę i przemysł; kobieta w Ameryce przy swojej urodzie posiada przymioty trwałe, jest dobrą małżonką i w razie choroby lub śmierci męża staje się głową rodziny.

Słyszałam nieraz we Francji, jak krytykowano edukację angielskich i amerykańskich miss.

Niektóre ciasne umysły oburzają się na wolność, jakiej tam mogą używać.

Co do mnie, uważam ten sposób wychowania za mądry i logiczny, o tyle o ile francuski jest nielogiczny i bezzasadny.

Przypatrzmy się obydwu systemom i rozważmy ich następstwa.

We Francji panna, którą nazywają dobrze wychowaną i skromną, nie zna wcale życia rzeczywistego, nie domyśla się nawet na jakie niebezpieczeństwa narażić ją może niemoralność niektórych mężczyzn, matka nie chce jej o tym uprzedzić, unika rozmowy z nią o miłości i o jej materialnych skutkach. Im więc młoda osoba jest niewinniejsza i naiwniejsza, tym łatwiej wpada w sidła zastawione na jej honor; to jest rzeczą niezawodną; a naród, który przyjął ten przesąd, że trzeba zostawić panienkę w niewiedzy niebezpieczeństw, jakie jej zagrażają, nie ustanowił przeciw żadnego opiekuńczego prawa dla dziewcząt, a dozwolił i zostawił w bezkarności wszystkie namiętności mężczyzn, wolno im uwodzić, oszukiwać, nadużywać łatwości kobiet. Cała odpowiedzialność, cała wina spada na tę istotę słabą, bezbronną.

Czy to sprawiedliwie? Proszę mi powiedzieć.

Nie, doprawdy, Francuzka błędząca ma prawo do pobłażliwości! Ma nawet prawo robić wyrzuty swoim rodzicom, że nie powierzyli honoru i cnoty jej samej, a chcąc sami tylko czuć nad tymi skarbami, zblądzili, są odpowiedzialni.

W Ameryce inaczej się dzieje: tu matka z troskliwością przedstawia córce jak ma walczyć z okazjami, pokazuje jej życie takim, jakie jest rzeczywiście, mówi jej, że są między mężczyznami szlachetni i dobrzy, ale nie tai, że są i niegodziwi, prawi jej bez ogródki, na co się narażić może, jeżeli da się uwieść któremuś z nich.

To powierzenie młodej osobie własnego jej honoru i cnoty ma podług mnie coś wzniosłego i pełnego godności i pochwalam to uczucie u Angielek, Amerykanek i Niemek; jest to dowód zaufania, którym obdarzona panienka nie zwykła błędzić, staje się roztropna i przezorna.

Amerykanka uczęszcza do szkoły mieszanej, rozmawia, śmieje się ze swymi towarzyszami. Kiedy jest już zdolna kochać, szuka sama mężczyzny, któremu mogłaby oddać

Bieda, Praca, Kobieta
"upadła"

Głód, Bieda, Cnota,
Kobieta "upadła", Praca

Kobieta, Nauka

Kobieta, Nauka

swoją przyszłość, swoje szczęście. Rodzice zezwalają na jej wybór i bynajmniej nie narzucają jej starego milionera.

Tu powaga rodzicielska nie rozporządza przyszłością dzieci, ich szczęściem lub nieszczęściem całego życia. W Ameryce nie znają małżeństw zawartych dla interesu. Ci ludzie, jakkolwiek lubią złoto, żenią się jednak podług serca, biorą żonę, a nie majątek, powszechnie więc nie daje się posagu córkom.

Często zdarza się widzieć młodych ludzi, mężczyznę i kobietę, uczęszczających do kolegium, zaręczonych już w piętnastym lub szesnastym roku życia: składają razem egzaminy, a kiedy otrzymają patenty na profesorów, wchodzą w związki małżeńskie.

Toż samo dzieje się i na kursach medycyny; często młoda uczennica zaprzyjaźnia się z swoim kolegą; ta przyjaźń rychło zamienia się na miłość i młoda para się łączy. Mąż ma swoich pacjentów, żona znowu swoją praktykę, składającą się wyłącznie z kobiet i dzieci.

Niektóre osoby we Francji nie uważają za stosowne i przyzwoite, żeby panny poświęcały się nauce medycyny. Co do mnie, że sędzę właściwiej pod względem skromności, żeby kobiety były pielęgnowane przez kobiety, aniżeli żeby panny i młode mężatki leczone były przez mężczyzn; zresztą kobieta zrozumie lepiej i pozna cierpienia kobiece niż najuczepszy z doktorów.

Dzieci znajdują w niej learkę cierpliwą, z poświęceniem, bo kobieta ma serce matki.

Wiele bardzo kobiet w Ameryce poświęca się zawodowi lekarskiemu. Koledzy ich płci silnej przyznają im wielką zdolność do medycyny, szczególnie do chirurgii, z powodu delikatności rąk; kiedy zachoruje żona lub dziecię jakiegoś doktora, to wzywa do nich zwykle koleżkę płci żeńskiej.

Byłam obecna przy konsyliach składających się z doktorów obojej płci i przekonałam się, że ci panowie naradzali się bardzo poważnie z kobietami, przyjmowali ich uwagi i zastosowywali się do nich.

W Nowym Jorku jest jedna sławna kobieta, która jest profesorem w Fakultecie Medycznym i doktorem w klinice: zarabia więcej jak sto tysięcy franków rocznie.

Są także w Ameryce kobiety agentami bankowymi, bardzo poważane na giełdzie i zaszczytane zaufaniem.

— Ależ — powiedzą Francuzi lub przynajmniej niektórzy z nich — te kobiety lepiej pilnowałyby garnków i zajmowały się wychowywaniem dzieci.

Jedna z tych agentek ma sześcioro dzieci. Mąż jej przez nieszczęśliwe spekulacje dostał pomieszania zmysłów ze zmartwienia; zamknięto go w domu wariatów. Żona jego byłaby przywiedziona do nędzy z sześciorgiem dzieci, ale przyszło jej na myśl poprawić interesy męża. Udała się do bankierów, przyjaciół jej rodziny, przedstawiła im swoje położenie. Znam kraj, w którym połowa takich bankierów, jeżeli nie wszyscy zrobiliby poniżające propozycje tej kobiecie, daliby jej do zrozumienia, że dzięki swej młodości i urodzie znajdzie u nich wsparcie bez pracy. Kraj ten chępli się cywilizacją.

Bankierzy amerykańscy przeciwnie, podali rękę nieszczęśliwej, mówiąc: „Bądź pani spokojna, przy energii wszystkiego dokazać można, możesz pani rachować na naszą pomoc. Ile pani potrzeba pieniędzy na początek?”

Znalazła u nich kredyt, otworzyła na nowo kantor męża i wzięła się do czynności. Kilka kobiet zaczęło u niej pracować i dziś nie tylko polepszyła interesy, ale doskonale je prowadzi na swoją rękę. Czy myślicie, że się z niej wyśmiewają, że nazywają to miniciem się z powołaniem kobiety? Nie, owszem, szanują ją, chwala i mówią: „Oto kobieta prawdziwie odważna, mądra i doskonała matka!”. Mąż jej ma się już lepiej, wkrótce może opuści dom wariatów, a powróciwszy do siebie, zamiast nędzy i wstydu znajdzie dostatek i poważanie.

— Ależ — powie ktoś może — kobieta niezdolna do prowadzenia takich interesów, to przechodzi jej inteligencję.

Tak jest, we Francji, ale nie w Ameryce, a to dlatego, że ten agent bankowy, zamiast przepędzać czas wolny w klubie, siedział w domu, rozmawiał z żoną, objaśniał jej swoje czynności; jeżeli miał nawał roboty, ona mu pomagała, wiedziała więc, co się dzieje, była obznajomiona z tym rodzajem interesów i to jej dozwoliło w potrzebie zastąpić głowę rodziny.

W Nowym Świecie kobieta jest rzeczywiście towarzyszką, współniczką mężczyzny,

Kobieta, Lekarz

Kobieta, Lekarz

Kobieta, Interes

Małżeństwo, Praca, Interes

dlatego też ten ostatni ma nieograniczone zaufanie w jej rozumie, radzi się jej we wszystkim, wtajemnicza w swoje interesy; wiedząc, że śmierć może go zaskoczyć, pragnie, żeby żona mogła go godnie zastąpić.

Inna dama, bardzo miła osoba, którą miałam przyjemność znać, jest dzisiaj kapitanem okrętu. Rzecz to nie tak śmieszna i nie tak zadziwiająca, jak się wydaje.

Miss V. uczęszczała na kursy do Instytutu, pan M. chodził tam także. Ona miała lat osiemnaście, on dwadzieścia. Pokochali się i zaręczyli; chcąc być dłużej razem ze swoim narzeczonym, panna postanowiła uczyć się sztuki żeglarskiej. Ta nauka zajęła ją bardzo i miała w niej upodobanie. Skoro tylko M. został kapitanem, młoda para pobrała się. Francuz zostawiłby swoją żonę na lądzie, pan M. wziął ją z sobą. Przez pięć lat podróżowała, nie opuszczając swego męża, dwoje dzieci urodziło się im na okręcie i wychowywało się na nim. Mąż wyjaśniał jej obroty na morzu, naukę żeglugi; ona często go zastępowała albo mu pomagała.

Jednego razu, gdy jadła obiad na ich statku, pan M. rzekł do mnie:

— Czy wiesz pani, że moja żona jest również dobrym żeglarzem jak ja? Powierzyłbym jej bez wahania mój okręt; oficerowie moi radzą się jej w razach niebezpieczeństwa.

Osiem miesięcy temu w czasie burzy maszt zgruchotał nogę kapitanowi. Ten zwołał całą służbę okrętową i oświadczył, że zdaje dowództwo żonie. Wszyscy żeglarze zawołali: „*All right! Vivat* nowy nasz kapitan!”. Objęła dowództwo; wywiązała się z niego dobrze, doprowadziła okręt cało i zdrowo do Nowego Jorku.

Mężowi jej musiano odjąć nogę.

Wypadek ten byłby prawdziwą ruiną dla młodych małżonków bez majątku.

Ale ona udała się do właścicieli okrętów, opisała im swoje położenie, prosząc, aby jej pozwolili zastąpić męża, co otrzymawszy, zajęła się nowym ładowaniem statku. Trwało to miesiąc cały. Męża jej tymczasem przeniesiono na pokład; dziś młoda kobieta, pielęgnując męża i dzieci, dowodzi statkiem.

Znam inną jeszcze żonę kapitana okrętu, która jak się zdaje, bardzo jest biegła w astronomii i sztuce żeglarskiej; napisała kilka pięknych artykułów w tym przedmiocie, a kiedy rozmawia, żeglarze i uczeni słuchają jej z zajęciem.

W uniwersytetach, we wszystkich instytucjach amerykańskich znajdują się zarówno kobiety, jak mężczyźni między profesorami wyższych kursów. Kobieta ma wolność ubiegania się o miejsce wraz z mężczyznami, nie żąda ona ani łaski, ani pobjaźnienia: przestaje na prawie przypuszczającym ją do konkurencji.

Znałam także jedną panią zajmującą katedrę greckiego języka w jednym z uniwersytetów; nie przeszkadza jej to być dobrą gospodynią, czułą małżonką i wzorową matką.

Amerykanie zrozumieli to, czego Francuzi zrozumieć nie chcą, że bezczynność umysłowa zgubna jest dla kobiety. Jej żywa wyobraźnia potrzebuje celu poważnego, inaczej błąka się, szuka ideałów, staje się romansowa, sentymentalna albo ma się za istotę niepojętą. Takie usposobienia koniecznie prowadzą kobietę do cudzołóstwa, bo mąż nie urzeczywistnia nigdy ideału kobiety... Małżeństwo nie zaspakaja westchnień romansowych.

Wiedząc o tym dobrze, Amerykanin stara się dać praktyczne wykształcenie kobiecie, zdrowy pokarm jej umysłowi, słowem rozwija go, żeby była równowaga między sercem i rozumem. Czyni jej dostępną każdą naukę, każdą umiejętność, każdy zawód; tym sposobem daje cel jej ambicji.

Francuzki, Hiszpanki i Włoszki, przeciwnie, rzucone są na pastwę sercu. Miłość jest jedynym celem ich życia, a jeżeli go nie znajdują w małżeństwie, to niewiele z nich ma odwagę żyć bez celu.

— Myśmy stworzone do miłości — mówią — musimy jej szukać.

Nie znajdując jej na prawo, idą na lewo.

Dziewczę amerykańskie nie jest ani romansowe, ani sentymentalne; ono chodzi po ziemi, wie, że celem życia jest małżeństwo, rodzina. Szuka męża rozumnie, bada jego charakter, obyczaje; nie spodziewa się znaleźć w nim półboga, rycerza, niewolnika, lecz przyjaciela, towarzysza czulego i przywiązanego, ale zarazem człowieka z wadami i niedoskonałościami. Nie doznaje więc zawodu, bo nie żywiła swojej wyobraźni czytaniem o miłościach nadzwyczajnych, silniejszych i piękniejszych niż w naturze. Ona poprzestaje na spokojnym przywiązaniu swego męża.

Kobieta, Okręt

Kobieta, Nauka, Wiedza

Kobieta, Miłość,
Małżeństwo

Jeżeli ma zmartwienie w pożyciu małżeńskim, to w pracy umysłowej znajduje lekarstwo na cierpienia duszy.

Jeżeli mąż w złych jest interesach, nie zarabia dosyć na potrzeby gospodarstwa, to żona, nie robiąc mu żadnych wyrzutów, bierze się sama do pracy.

Wiarołomstwo kobiety jest prawie nieznanne w Ameryce.

Może przyczyną tego jest także łatwość rozwodu. Kiedy małżonkowie mają ważne uchybienia do zarzucenia sobie, to rozwodzą się i każde z nich szuka godniejszego przedmiotu miłości; nim to jednak nastąpi, dochowują sobie przysiężonej wiary.

Jednakże wypadki rozwodu mniej są częste w Ameryce niż separacje we Francji i to dowodzi rozsądku tak mężczyzn, jak kobiet. Mówią oni: każdy mężczyzna, każda kobieta ma swoje wady; ja mam swoje, moja żona swoje, trzeba umieć znosić niedoskonałości drugich, żeby nasze znoszono. Leży to także w poczciwości charakteru Yankee, Amerykanie nie zgadzają się na to, i trzeba ich za to pochwalić, żeby osoba stająca się przyczyną niespokojności i niesławy w małżeństwie, mogła bezkarnie nosić miano uczciwego człowieka.

Każdy, kto by zakochawszy się w mężatce, stał się *de facto* jej kochankiem, każdy taki byłby nazwany nieuczciwym człowiekiem. Panny nie chciałyby iść za niego, drzwi wszystkich domów zamknęłyby się przed nim.

Nie tylko pogarda, ale i prawa dosięgłyby winnego. Z donżuanami obchodzą się tam tak, jak na to zasługują wszędzie, jak z najgorszymi złodziejami. I dlatego też niewielu ich tam naliczyć można. Stan bezzenny jest źle widziany w Ameryce i należy do wyjątków. W osiemnastym, najpóźniej w dwudziestym roku Yankee się żeni. To chwalebne uczucie, które ochrania Amerykanina od oplakanej manii umizgania się do żon swoich przyjaciół, jest także produktem rozumu praktycznego i logicznego tego narodu.

Lekkomyślność Francuzów i ich brak logiki są powodami zbyt częstych w tym kierunku zbrodni.

Francuzi chętnie pobłażają wiarołomstwu, uważają je często za rzecz naturalną. Wówczas mają je tylko za ohydne, kiedy jest z ich szkodą. Kobiety więc nie mogą pojąć, dlaczego ono z ich strony jest zbrodnią, a u drugich tylko grzechem powszednim.

Francuz ma dwie moralności: jednej używa względem swojej żony, drugiej względem żony przyjaciela.

Ten brak logiki źle wpływa na moralność kobiet. Chcąc powstrzymać zło, mężczyźni powinni zdecydować się na nazwanie cudzołóstwa zbrodnią, a popełniających go zbrodniarzami, i trzymać się jednej i tej samej zasady względem wszystkich.

To mi przypomina jedną historyjkę autentyczną, która poprze prawdę tego, co powiedziałam.

Dwóch przyjaciół żeni się prawie jednocześnie; żony ich zaznajamiają się, a nawet zaprzyjaźniają.

Wkrótce pan D. znajduje żonę swojego przyjaciela nierównie przyjemniejszą od swojej. Ma więcej rozumu, bystrości, zaczyna więc jej nadskakiwać. Ta jednakże, chociaż widziała, że mąż jej przyjaciółki grzeczniejszy od jej męża, opiera się temu, mówi o przysiędze na wierność, nazywa... błąd zbrodnią... „Zbrodnia! Co znowu — pisze do niej pan D. — powiedz pani raczej: grzech przyjemny, godzien przebaczenia, bo miłość wszystko uświęca, a ja panią kocham! Pamiętaj pani o przysiędze, dlatego tylko że mnie nie kochasz! Ach, gdybyś pani miała dla mnie jakąś cząstkę tej nieprzewyciężonej miłości, jaką ja mam dla pani, przyznałabyś, że przysięgi mogą być łamane, gwałcone!...”

Pan D. mnóstwo listów pisze w tym rodzaju do pani P., która opiera się tej szczególnej nauce moralności. Ale ten początek intrygi miłosnej zajmuje ją, jest zimna, obojętna dla swego męża, który myśli o zemście, zwracając swoje afekty do żony swego przyjaciela, pana D. Ma się rozumieć, że nie domyśla się bynajmniej, iż znowu ten uwodzi jego żonę...

„Pani — pisze on do pani D. — jesteś łagodna, dobra, nie znasz kokieterii, jesteś kobietą przeze mnie wymarzoną, jedynie godną kochania. Niestety, czemuż nie jesteś moją żoną! Jakżebym cię kochał!... ubóstwiał!”

I tak przez miesiąc pan P. potraçał strunę żalów i sentymentów, później mówił wyraźnie o swojej miłości, z odwagą wspominał o wiarołomstwie... Pani D. przeraziła się.

— A cnota! A prawość! A religia! — powiedziała.

Małżeństwo

Kochanek, Zdrada

Małżeństwo, Młodość

Zdrada

Żona

— Precz z tym wszystkim! — odpowiedział pan P. — Stara to piosneczka, próżne słowa, dobre dla straszenia dzieci i głupców!

„Przecież to zbrodnia” — pisała pani D.

„Daj pani pokój — odparł żywo pan P. — jesteś naiwnym dzieckiem!... Miłość oczyszcza wszystko. Czyż pani myślisz, że wszystkie kobiety wierne swoim mężom? Czyż pani nie wie, że pani X. kocha pana M.? Świat wie o tym, uniewinnia ich, bo się kochają. Zresztą zło leży tylko w zgorzeniu, ale my się ukrywamy, nikt nie domyśli się naszych stosunków”.

Przez pół roku obydwaj mężowie prawili żonom przyjaciół o wdziękach i okolicznościach łagodzących winę... Kobiety jednakże wytrwały...

„Widzi pani — pisał jednego dnia pan D. — skrupuły pani zabawne, mąż panią oszukuje, to rzecz widoczna, czyż pani nie spostrzega jak mało dba o nią”.

„A więc, kochanko mej duszy — pisał znowu pan P. — przestań mówić mi już o obowiązkach, nie rób mnie najniezszczęśliwszym z ludzi, wierzaj moim uczuciom. Mąż twój nie troszczy się o ciebie. Jestem pewien, że cię oszukuje, jakże on jest obojętny dla ciebie”.

Intryga zaszła już tak daleko, gdy jednego razu pan D., wchodząc niespodzianie do pokoju żony, zobaczył ją zamykającą z pośpiechem szufladę od biurka. Podejrzanie przeszło mu przez głowę, korzystając więc z nieobecności żony, w kilka godzin później otworzył biurko, szukał w wiadomej szufladzie... znalazł pakiet listów... pisanych przez przyjaciela do jego żony. Przeczytał je.... Jakież było jego oburzenie....

— Nędzny! Podły!... Chciał uwieść moją żonę!... O!... Ja go zabiję i ją także, bo czyż powinna była przyjmować listy? Nie, zapewne, powinna była wyrzucić za drzwi tego niegodziwca i mnie uprzedzić!...

Gdyby jego żona tam była, byłby ją może zabił, bo wpadł we wściekłość, ale jej nie było. Czując potrzebę wybuchnąć gniewem, z listami w rękę pobiegł do wiarołomnego przyjaciela, znalazł tylko ojca jego żony....

— Pański zięć jest podłym uwodzicielem! — zawołał. — Czytaj pan, oto listy, które pisał do mojej żony.

Ojciec czytał na głos i wkrótce oburzenie jego równało się oburzeniu pana D. Wtem nadchodzi P. Teść chce zacząć reprimendę, ale pan D. wstrzymuje go, mówiąc:

— Pozwól mi najprzód z nim pomówić! — A rzucając mu listy w twarz, rzecze: — Miałbym prawo cię zabić, nie chcę jednak użyć tego prawa. Za godzinę świadkowie moi będą u ciebie, a jutro rano bić się będziemy o dziesięć kroków; walka zakończy się śmiercią jednego z nas.

W tej chwili pani P. podnosi portierę i ukazuje się z pakietem listów w rękę... a zwracając się do pana D.:

— Cóż to — powiedziała — pan nazywasz mego męża podłym, nikczemnym uwodzicielem, człowiekiem bez honoru... a to wszystko dlatego, że on umizgał się do pańskiej żony, że wmawiał w nią, że zwodzić męża to rzecz naturalna. Ale zechciej także przeczytać swoje listy i przypomnieć sobie, żeś do mnie pisał to samo.

Pan D. zmieszał się, P. woła:

— Jak to! On do ciebie pisywał?...

— Tak, panie — odpowiada pani P. — twój przyjaciel pisywał do mnie słodkie bicileki. Usiądź, przeczytam listy pisane do pani D. i te, które były do mnie; zobaczymy, który z was, moi panowie, jest bardziej winny...

Dwaj małżonkowie chcą się bronić.... ale pani P. rzecze:

— Ja tego żądam, panowie!

Musieli się poddać i wysłuchać wzajemnie odczytania swoich listów.

Gdy pani P. skończyła czytać, rzekła:

— Myśleć o pojedynku jest rzeczą nierozsądną, panowie, pani D. i ja mamy tylko prawo się pomścić. Przebaczymy jednakże, żądając, żeby nie było pojedynku, i radząc, żebyście na przyszłość nie nauczali żon swoich przyjaciół okoliczności łagodzących winę wiarołomstwa, bo w końcu uwierzemy, że ta zbrodnia nie jest tak czarna, jak nam ją wystawiano.

Pojedyńku nie było, ale dwaj przyjaciele nienawidzą się i obwiniają wzajemnie o niepoczciwość i niedelikatność.

Zapewne, czyż może być coś nielogiczniejszego nad to uczucie francuskie, które pozwala mówić mężczyźnie:

— Uważam to za przyjemny grzeszek, kiedy mi się uda uwieść mężatkę... Ale ten grzeszek staje się zbrodnią, gdy go popełni moja żona, zbrodnią, za którą gotówem¹³⁶ ukarać śmiercią mojego rywala i moją żonę!...

Amerikanin praktyczniejszy, ma więcej logiki, tylko się trzyma jednej zasady. Nie chcąc, żeby uwodono jego żonę, nie patrzy na żonę sąsiada. Wielkie ma poszanowanie dla kobiet w ogólności. Ma względy dla niej, gotów oddać jej przysługę, ustępuje jej z drogi, nie dlatego, że ona jest istotą słabą, ale owszem, bo w jego oczach jest wyższa od mężczyzny. Można powiedzieć, że kobieta jest królową w Ameryce, mężczyźni gotowi są jej służyć, pomagać, opiekować się nią. Ale ta gotowość bynajmniej niepodobna do grzeczności francuskiej. W Ameryce każda kobieta, stara lub młoda, doznaje tych względów, gdy tymczasem we Francji tylko młoda i ładna ma prawo do grzeczności mężczyzn.

W grzeczności francuskiej jest coś co obraża kobietę pocziwą, bo zakrawa na imperytynencję i często jest nieuszanowaniem i obelgą; chęć zaś przysłużenia się Amerykanina ma pewną woń prawdy i uczciwości, która się podoba i pozwala kobiecie przyjąć ją.

Kiedy Francuz jest uprzedzający, trzeba się mieć na ostrożności, to nie bez interesu. Z Amerykaninem zaś jest się bezpieczną i dlatego stosunki przyjaźni między kobietą a mężczyzną są serdeczniejsze w Ameryce niż we Francji.

I dlatego młoda panienska, młoda mężatka mogą podróżować bez narażenia swej cnoty. Ta ostatnia gdy powie: „Jestem mężatką”, powstrzyma mężczyznę chcącego jej się przymilać. Panna zaś może podróżować z młodym człowiekiem z całą spokojnością i bezpieczeństwem.

Zdarza się często, że młody człowiek starający się o rękę panny oddaje jej wizytę, nie będąc przedstawionym rodzicom. Dziewica amerykańska nie tylko ma za sobą prawo karzące uwodziciela, ale ma i społeczeństwo przyznające jej prawo pomśzczenia się samej.

Jeżeli mężczyzna złamie swoją przysięgę, skompromituje pannę, opuści ją, to ta bierze pistolet, czatuje na przeniewiercę i zabija go.

Oburzają się we Francji na ten sposób zemsty trochę za surowy... Jednakże kiedy kobieta sama ma strzec swego honoru, swojej cnoty, musi jej być wolno mścić się za nie wszelkimi sposobami, nawet z bronią w ręku.

W Ameryce nie nazywają kobiety istotą słabą, niższą od mężczyzny; uważana jest za równą, jednakże ma swoje różne prawa, nadto prawo używania broni.

We Francji mają kobietę za istotę słabą, a pomimo tej słabości nie bronią jej w żaden sposób i nie ma ona prawa bronić się sama. Prawa uważają ją za coś ważnego wobec kar i obowiązków, a za niższą wobec przywilejów i słuszności.

Szczególny sposób pojmowania słabości i sprawiedliwości.

Na zakończenie o Nowym Świecie przyznać trzeba, że prawa tam są mądre i doskonałe. Mężczyźni zostawiają trochę do życzenia. Owe pięć tysięcy przybyszów europejskich przyjeżdżających tu corocznie trochę niemoralności wprowadza. Jakkolwiek bądź Ameryka jest najprzyswoitszym narodem w świecie. Jest ona najmłodsza, nie chyli się do upadku, ludzie postępują naprzód. Tak postępując, dojdą może do doskonałości.

Życzę im tego.

Zdrada

Zdrada

Kobieta

Kobieta, Prawo

¹³⁶gotówem — gotów jestem. [przypis edytorski]

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/audouard-podroz-po-ameryce-polnocnej/>

Tekst opracowany na podstawie: Olympe Audouard, *Podróż po Ameryce Północnej*, Gebethner i Wolff, Warszawa 1872.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego. Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową w Warszawie z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów Biblioteki.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec-Gryz, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-6505-1

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.